

DR KAROL NAWROCKI APELUJE:

WESTERPLATTE

– MUSIMY PRZYWRÓCIĆ ŚWIATU TEN SYMBOL!



JÓZEF ORZEŁ OSTRZEGA:

IDEOLOGIA GENDER TO NIE MIT, – NA KOŃCU JEST ZNIEWOLENIE



ROBERT TEKIELI DORADZA, CO WARTO CZYTAĆ I OBEJRZEĆ, A CO JEST BZDURĄ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 27 (396) 2020
29 czerwca–5 lipca 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KTO NAPRAWDĘ STOI ZA TRZASKOWSKIM

PRZEZ LATA BYŁ WIERNYM ŻOŁNIERZEM PLATFORMY. WYKONYWAŁ POLECENIA TUSKA. TERAZ UDOWADNIA, ŻE JEST W STANIE PRZEMALOWAĆ SIĘ NA DOWOLNY KOLOR. I WYSYŁA SYGNAŁY DO LUDZI DAWNYCH SŁUŻB

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

BGK
BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

Tarcza Antykryzysowa



MOJA MAMA ZYSKAŁA MOC TARCZY.

TARCZA ANTYKRYZYSOWA daje jej moc uśmiechów,
bo nie martwi się o swoją pracę.

Dzięki **rządowej Tarczy Antykryzysowej**, firmy i pracownicy bezpiecznie przejdą przez obecny kryzys spowodowany pandemią koronawirusa. Za pośrednictwem BGK udzielono już wsparcia w kwocie **10 mld zł** w formie kredytów zabezpieczonych gwarancjami BGK. Dzięki temu uratowane zostały **miliony miejsc pracy.**

www.bgk.pl/pakietpomocy

eprasa.pl 4fcee5af34

Chcą zastraszyć

Narastająca w trakcie kampanii agresja zwolenników Rafała Trzaskowskiego musi niepokoić. Portal wPolityce.pl informuje o coraz częstszych przypadkach atakowania ludzi, którzy wywieszają plakaty prezydenta Andrzeja Dudy. W niektórych miejscach – np. w podwarszawskich gminach Izabelin i Stare Babice – plakaty prezydenta były niszczone lub kradzione systemowo. „Są w stanie w ciągu jednej nocy zniszczyć 20 takich bannerów. Oczywiście do tego potrzeba samochodów i dużej grupy ludzi" – relacjonują lokalni działacze PiS.

Docierają do nas także sygnały od osób, które z obawy chcą pozostać anonimowe. „Powiesiliśmy banner w wiosce na Podkarpaciu. Po kilku dniach wybito nam lampę w samochodzie. Nigdy wcześniej nic takiego nie miało miejsca" – informują nas czytelnicy. Osoby obserwujące kampanię w terenie oceniają, że „poziom zastraszania jest w tym roku wyjątkowy". Wielu wyborców zwyczajnie boi się wywiesić banner.

Cel jest jasny: chodziło o zdemobilizowanie i zastraszenie tych grup wyborców, które popierają Andrzeja Dudę. Bo ilekolwiek by pięknych słów padło ze strony obozu KO, to przecież prawda jest dobrze znana: III RP opierała się na przemocy. Głównie symbolicznej, ale gdy trzeba – także fizycznej.

Wraca wszystko to, co Polacy odrzucili w 2015 r. To był system niezwykle brutalny, agresywny wobec wszystkich, którzy realnie mu się przeciwstawiali. Teraz, gdy wyczuł szansę, znów pokazuje swoją naturę. Znów przymierza się do „dorżnięcia watahy".

Nienawiść jest po stronie opozycyjnej starannie pielęgnowana i podsycana. Jest także bardzo często bezkarna z racji ochrony medialnej, międzynarodowej i także sądowej. Jeśli wygra, poczuje się jeszcze pewniej.

Jacek Karnowski



Kolejny krok w rozwoju portalu wPolityce.pl

W tych dniach portal wPolityce.pl, kierowany przez redaktor Marzenę Nykiel, współtworzony przez nasze środowisko, świętuje 10-lecie. To już dekada ciężkiej pracy dla Polski, służby prawdzie, obrony wartości chrześcijańskich, troski o polskie dziedzictwo i siłę państwa. Taka jest nasza misja: pilnowanie Polski, pilnowanie prawdy, pilnowanie wolności.

Za każde dobre słowo, gest wsparcia, sympatię każdego z państwa – dziękujemy! Za każdą słabość – przepraszamy. Prosimy też, by państwo pamiętali, w jak trudnych warunkach działamy. Skuteczność, skromna, ciężka praca, konsekwencja – tego system III RP nie lubi najbardziej. Woli krzykaczy, efekciarzy, pieczeniarzy. Bywają tygodnie, że kłody lecą pod nogi seriami.

Ale się nie poddajemy, cieszymy tym, jak wiele udało się zbudować, i idziemy dalej.

Właśnie wystartowała nowa oferta tygodnika „Sieci" i portalu – strefa PREMIUM. To możliwość dostępu do dodatkowych tekstów, które dotychczas ukazywały się wyłącznie na łamach tygodnika „Sieci" lub zostaną specjalnie przygotowane dla strefy PREMIUM.

By je przeczytać bądź zobaczyć, bo będą to także dodatkowe materiały multimedialne, trzeba dołączyć do SIECI PRZYJACIÓŁ, czyli wykupić e-prenumeratę tygodnika „Sieci", wchodząc na stronę www.siecprzyjaciol.pl.

Bardzo liczymy, że i państwo dołączą do SIECI PRZYJACIÓŁ, zyskując dostęp do strefy PREMIUM i publikowanych tam ciekawych tekstów, a jednocześnie wspomogą rozwój portalu wPolityce.pl i tygodnika „Sieci".

Zapraszamy!

Michał Karnowski



Reklama | 39/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

SIECI spis treści



22 *Z Januszem Cieszyńskim, wiceministrem zdrowia, rozmawia* ***Anna Raciniewska***



70 **Polacy, którzy zmienili świat** ***Dodatek specjalny***



78 **Pan profesor i mali chłopcy** ***Aleksandra Rybińska***

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **GOTOWIEC SZTABOWY**
Krzysztof Feusette

9 **RYJE, MORDY I FACJATY**
Dorota Łosiewicz

12 **TRZASKOWSKI ZAPOMNIAŁ**
Bronisław Wildstein

13 **CO WOLNO POLSCE?**
Jan Pietrzak

14 **PREZYDENT LAUREATEM NAGRODY PORTALU wPOLITYCE.PL**
relacja z urodzinowej gali

18 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

20 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

21 **KULTURALNA KONSEKWENCJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

26 **ZDJĘCIA Z PODRÓŻY PRZEMYSŁAWA BABIARZA**
Michał Korsun

27 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

TEMAT TYGODNIA

30 **TRZASKOWSKI, CZYLI KTO?**
Marek Pyza

KRAJ

34 **SIŁA PRZEPŁYWÓW**
Stanisław Janecki

37 **DŁUGA DROGA DO PAŁACU**
Marcin Wikło

40 **Z JÓZEFEM ORŁEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

43 **MARSZE PO WŁADZĘ**
Aleksander Nalaskowski

46 **Z WALDEMAREM KRYSIAKIEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

48 **CO DALEJ Z PANDEMIĄ?**
Konrad Kołodziejski

52 **Z DR BEATĄ GÓRKĄ-WINTER**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

SIECI KULTURY

55 **WOJOWNIK**
Jolanta Gajda-Zadworna

57 **WYŚPIEWAĆ NADZIEJĘ**
Adam Ciesielski

58 **3 MIŁOŚCI**
Robert Tekieli

60 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

62 **OSTATNI TAKI PISARZ**
Grzegorz Górny

HISTORIA

64 **WOJENNE CEZURY**
Karol Nawrocki

70 **SŁAWNI POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT**
Dodatek specjalny

ŚWIAT

74 **POLSKA „WĘZŁEM" EUROPEJSKIEGO BEZPIECZEŃSTWA**
Marek Budzisz

78 **PAN PROFESOR I MALI CHŁOPCY**
Aleksandra Rybińska

82 **KANDYDACI W KARCERACH**
Jan Rokita

86 **CHORWACJA: CZY MOŻLIWY JEST ZWROT W PRAWO**
Goran Andrijanić

GOSPODARKA

90 **PANDEMIA POMOŻE W CYFROWEJ EWOLUCJI**
Debata „Gazety Bankowej"

NATURA DLA LUDZI

94 **GDZIE ZGINĘŁY TYSIĄCE DZIKICH GĘSI?**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

98 **MOJE SMAKI: IDA KULAWIK**
Jolanta Gajda-Zadworna

99 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

100 **WOLNOŚĆ**
Wojciech Reszczyński

101 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

102 **SAMOCHÓD ŻONY**
Aleksander Nalaskowski

104 **NIE MIEJCIE NADZIEI**
Ryszard Makowski

105 **BALLADA O ZŁOTEJ GAŁĘZI**
Leszek Długosz

106 **JADWIGA NA JASNEJ GÓRZE**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 17/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

ORLEN W PORTFELU

orlenwportfelu.pl



Weź udział

w unikatowym Programie dla Akcjonariuszy Indywidualnych PKN ORLEN

- **OSZCZĘDZISZ NA PALIWIE** AŻ DO 540 ZŁ ROCZNIE
- **KUPISZ TANIEJ** NA STACJACH ORLEN
- **ZYSKASZ WIEDZĘ O RYNKACH FINANSOWYCH** W AKADEMII INWESTOWANIA
- **OTRZYMASZ CERTYFIKAT** SYGNOWANY PRZEZ CFA SOCIETY POLAND

PARTNER PROGRAMU Biuro Maklerskie

PARTNER EDUKACYJNY AKADEMII CFA Society Poland

PARTNER MERYTORYCZNY PROGRAMU Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych

eprasa.pl 4fcee5af34



Sygnalista nadaje

Adam Michnik wciąż to samo, jak zacięta płyta, i to dość stara: „Jak ja słucham wystąpień polityków PiS-u, to jakbym słyszał reprezentantów frakcji moczarowskiej w PZPR w 1968 r. To było nasycone tępotą, nienawiścią, ksenofobią. Wtedy akurat o seksualizmie się nie mówiło, ale to jest temat wymienny – to mogą być uchodźcy, Żydzi, syjoniści, kułacy, bandyci z AK. […] W retoryce Kaczyńskiego też ci źli ludzie się zmieniali". W retoryce Michnika źli ludzie rzeczywiście się nie zmieniali, przynajmniej od końca lat 80. Zawsze zwalczał tych samych.

Michnik nawiązał także do słów prof. Andrzeja Nowaka: „Zgadzam się z pewnym prawicowym komentatorem, który powiedział w wywiadzie, że te wybory mają charakter cywilizacyjny. To jest pytanie, w jakiej cywilizacji chcemy żyć. Czy w europejskiej, demokratycznej, czy w zaśmierdłej, barbarzyńskiej, nietolerancyjnej, opartej na kłamstwie i korupcji". Zgoda. Dziś lewica rzeczywiście proponuje głównie nowy zamordyzm i przemoc wobec myślących inaczej.

W ramach promocji wzajemnego szacunku były szef MSZ w rządzie Donalda Tuska przekonywał, że wizyta w Waszyngtonie... zaszkodzi polskiemu prezydentowi. „Koledzy z PiS-u zawsze mówili, że poklepywanie po plecach przez obcych polityków to rzecz naganna. A tu dostał takie klepnięcie na całego. Raczej bym się spodziewał, że mu to zaszkodzi". Po czym dodał: „Wie pan, pisowskie mózgi mają inne okablowanie". Znów zgoda: przeciętnie są mniej przeżarte silnymi substancjami różnego rodzaju.

Wałęsę zapytano, czy „tłumy wokół Trzaskowskiego w miastach" oznaczają jego zdaniem „gotowość do zmiany w Polsce". Odpowiedział: „Ludzie chcą zmian, teraz szukają takiego, komu można uwierzyć. I masy intelektualne uwierzyły Trzaskowskiemu, natomiast masy wiejskie i małomiejskie jeszcze wierzą Kaczyńskiemu". Obraz jest, rzecz jasna, bardziej złożony, ale Wałęsa dobrze to złapał: Trzaskowskiemu klaszczą ci sami, co zawsze, tylko głośniej.

Przekonania o różnicach genetycznych między elektoratami PiS i opozycji muszą być szeroko rozpowszechnione wśród myślicieli III RP. Już dwa lata temu Maria Nurowska stwierdziła: „Oni mają ordynarne ryje i to wszystko elektorat PiS. PS A ich baby! Nie lepsze!". Teraz to hasło wróciło, ale w innym kontekście: przywołują je piękne dziewczęta popierające PiS, prezentujące w mediach społecznościowych swoje zdjęcia obok specyficznego wizerunku pisarki. W sumie dobrze się stało: ta różnica już dawno powinna wybrzmieć.

„Jestem osobą wierzącą" – podkreśliła w przedwyborczym wywiadzie Małgorzata Trzaskowska, żona kandydata KO na prezydenta. „Ja też jestem osobą wierzącą" – mówi w tym samym wywiadzie Rafał Trzaskowski. Zapewne dlatego półtora roku temu pani Małgorzata wręcz się chwaliła, że nie posłała swojego syna do Pierwszej Komunii, a dzieci nie chodzą na lekcje religii. Przypomina się słynny ołtarzyk z krzyżem i świętymi wizerunkami, ustawiony jako tło do zdjęcia rodziny Tusków. Wówczas, w 2005 r., oszustwo nie pomogło. Tym razem też nie pomoże.

I jeszcze jeden cytat z Rafała Trzaskowskiego: „Gośka planuje wszystko, jeśli chodzi o życie osobiste, ja nie planuję w domu niczego, bo muszę to robić w pracy. Lubię obudzić się w sobotę rano i nie wiedzieć, co będę

eprasa.pl 4fcee5af34

robił, a żona musi mieć zaplanowaną każdą minutę dnia". Ten fragment brzmi wyjątkowo wiarygodnie. Dlatego Trzaskowski teraz tak się stara: wizja długiej laby musi być bardzo kusząca.

Trzaskowski nie musi przepraszać za swoją wypowiedź z Wrocławia („Dzisiaj w Polsce prawie milion osób straciło pracę"). Dlaczego? Bo zdaniem sądu „wypowiedź dotycząca miliona ludzi, którzy utracili dziś pracę, powinna być rozumiana jako jednak wypowiedź niejednoznaczna. Pojęcie »dziś« nie może być traktowane dosłownie, a jeżeli mówimy, tak jak wnioskodawca proponował, »dziś«, czyli w ostatnim czasie, to już wchodzimy w różne interpretacje". Przekładając na polski: kandydat opozycji może bezkarnie kłamać.



Inny sąd orzekł z kolei, że Wojciech Sadurski nie musi przepraszać partii PiS za określenie jej mianem „zorganizowanej grupy przestępczej". Dlaczego? Ponieważ „nie jest wykluczone posługiwanie się nawet drastycznymi, wywołującymi kontrowersję formami ekspresji i poglądów w kwestiach o doniosłym znaczeniu społecznym". Ciekawe, czy podobnie sąd orzekłby w drugą stronę. Pewnie nie. Wówczas stwierdziłby, że „krytyka, nawet ostra i subiektywnie uzasadniona, nie może oznaczać stawiania bezzasadnych zarzutów w istocie kryminalnych" czy jakoś tak.



Portal wPolityce.pl ustalił, że tzw. drag queen symulujący w czasie happeningu podcinanie gardła abp. Markowi Jędraszewskiemu, usłyszał zarzuty prokuratorskie. „Podejrzany usłyszał zarzuty publicznego nawoływania do zabójstwa duchownego i nienawiści na tle różnic wyznaniowych, a także znieważenia wyznawców Kościoła katolickiego" – poinformowała Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Trzeba stwierdzić jasno: w Polsce naprawdę szerzy się faszyzm, a nawet nazizm. Przed drag queen trzeba bić pokłony, a nie ciągać po sądach!



Zdaniem prof. Jana Grabowskiego winę za obecną sytuację ponoszą Niemcy. Dlaczego? Bo biorąc wyłączną odpowiedzialność za Holokaust, Niemcy pomagają się wybielić innym sprawcom. „Chcąc przejąć całą odpowiedzialności za Holokaust, (wy, Niemcy) pozbawiacie nas, Polaków, nas, Węgrów, nas, Francuzów, członków wielu innych narodów prawa do poczucia winy za własną niespokojną i dramatyczną historię. Tak, Niemcy, wasi przodkowie, stworzyli ten projekt, wprawili koła w ruch i wykonali plan – bez wątpienia. Ale czy możecie odmówić nam, innym Europejczykom, naszego prawa do konfrontacji z własną przeszłością?" – pyta dramatycznie „naukowiec". To jest rzeczywiście nowe dno.



Paweł Kukiz skrytykował bon turystyczny, który ma trafić do rodzin z dziećmi. „Jestem generalnie wrogiem socjalizmu, ale już taki socjalizm wyborczy, rzucanie ochłapów przed wyborami jest obrzydliwe" – stwierdził. Słusznie. Spójność społeczna i solidarność są całkowicie zbędne. Można żyć jak w Ameryce Południowej: biedni w fawelach, bogaci w pięknych dzielnicach, ale z bronią pod poduszką, za pancernymi szybami, stale obawiając się porwania.

Również w związku z bonem turystycznym podczas obrad sejmowej komisji polityki społecznej i rodziny ***Grzegorz Braun*** złożył do ustawy nietypową poprawkę. „Żeby wszyscy byli zdrowi, piękni bogaci, a Pani Minister Emilewicz, aby miała własny helikopter do rozrzucania pieniędzy nad Polską na każde wezwanie" – odczytał poseł Konfederacji. Dowcipne, ale niemądre. II Rzeczpospolita też wierzyła, że nie należy nikomu nic dawać, i dlatego tak późno wyszła z wielkiego kryzysu. Cena za doktrynerstwo bywa wysoka.

W czasie spotkania z młodzieżówką PiS ***Jarosław Kaczyński*** wygłosił krótki wykład o wolności. „Jeśli spojrzeć na historię, to wolność jest dobrem rzadkim, jest w historii rzadkim gościem. Tak nie było i tak nie jest dzisiaj. Czy wolność dzisiaj w świecie triumfuje? Czy może jest zagrożona?" – pytał lider PiS. I odpowiadał: „Wolność jest zagrożona i właściwie można powiedzieć, że dzisiaj się cofa w wielkiej części tych państw, gdzie w sensie prawnym gwarancje wolności istnieją". Tak, los tych pokoleń, które dziś dorastają, jawi się marnie. To w sferze wolności dzisiejszy Zachód zdradza i przeszłość, i przyszłość, budując w istocie nowy totalitaryzm.

Wspomniany wyżej portal wPolityce.pl skończył w czerwcu 10 lat. Powstał z pragnienia wolności, ze sprzeciwu wobec tego, co działo się wówczas w Polsce obolałej po tragedii smoleńskiej. Pierwsza redakcja mieściła się na czwartym piętrze (bez windy) w jednym, podnajętym pokoju na warszawskich Bielanach. Pierwsze pieniądze pochodziły z prywatnych oszczędności dziennikarzy oraz ze sprzedaży legendarnych już kubków. Po dekadzie wPolityce.pl – razem z braterskim tygodnikiem „Sieci" i siostrzaną telewizją wPolsce pl – stało się ważnym głosem w debacie publicznej i wciąż broni najważniejszych polskich wartości. Nie byłoby to możliwe bez lojalności naszych Czytelników. I za to bardzo dziękujemy.

Fot. Andrzej Wiktor x4

eprasa.pl 4fcee5af34

Gotowiec sztabowy*

**wzór przemówienia po pierwszej turze wyborów prezydenckich – do wygłoszenia przez dowolnego kandydata, niezależnie od wyniku, jaki osiągnął*



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wygraliśmy! Za chwilę wyjaśnię, ale najpierw powiem coś bardzo ważnego: to była dobra kampania. Dziękuję Basiu, Jasiu, Kasiu, Stasiu, kłaniam się nisko Bożenko, Krystynko, Marzenko, Grażynko, wybaczcie, jeśli kogoś pominąłem, a przecież jeszcze Zdzisiu, a przecież także Rysiu, Heniu, Renia, Geniu, Stenia... To dzięki wam mogę tu dzisiaj stać i powiadomić was, kochani, a może nawet bardziej – uświadomić wam, że ten wynik to nasz wielki sukces. Mamy z czego się cieszyć i tej radości nie zepsuje nam chór załamanych malkontentów, którzy nigdy nie życzyli nam dobrze. Nie damy sobie odebrać naszej euforii i dumy z każdego oddanego na nas głosu. Na nas, czyli na mnie, bo wy to ja.

A zatem – wygraliśmy! Ktoś powie: „Jak to? Jak mogłeś wygrać, skoro nie wygrałeś? Jak mogłeś wygrać, skoro wybory jeszcze trwają?". Ale jeśli meczu nie można wygrać, zanim się nie skończy, to i przegrać nie można. Więc wygraliśmy. Co najmniej moralnie, a może nawet w znaczeniu szerszym, metapolitycznym i geopolitycznym. Pamiętamy, pod jak strasznym byliśmy ostrzałem. Nie zapraszały nas media inne niż nasze, a w tych, które zapraszały innych, wylewano na nas hektolitry pomyj, szkalowano, kłamano w żywe oczy. To były setki, jeśli nie tysiące fake newsów, podłe ataki personalne, hejt w internecie, że o memach nie wspomnę. Rysowano po plakatach, naśmiewano się z naszych haseł, grzebano w dawnych wypowiedziach, by dziś kłuć nimi w oczy, szukano haków. Nie oszczędzono nam żadnej obelgi i niech to będzie ostateczny dowód na to, jak wpływowi są nasi wrogowie. A jednak podnieśliśmy głowy, mimo kłód rzucanych przez wieprze, mimo piachu sypanego w szprychy i wiatru w oczy, mimo ciosów po twarzy i potwarzy poniżej pasa. Wybaczcie wzruszenie, ale wciąż nie mogę zapomnieć o tych dzielnych rodakach, którzy nie bacząc na kampanię nienawiści wymierzoną w nas przez wiadome siły i środowiska, zdecydowali się oddać głos na moją najskromniejszą osobę. Tym goręcej dziękuję. Wszystkim, dzięki którym możemy dziś z otwartą przyłbicą i pełnym przekonaniem zawołać: „To my wygraliśmy te wybory! To jest nasze zwycięstwo!". Bo to dzięki wam, kochani i kochane, udało się osiągnąć, co ja mówię – osiągnąć, udało się wykręcić naprawdę dobry wynik. Zwłaszcza, biorąc pod uwagę to, w jak trudnych okolicznościach i uwarunkowaniach przyszło nam prowadzić kampanię. A jednak setki, jeśli nie tysiące ludzi dobrej woli wykazały, nawet jeśli tylko w internecie, wielkie zainteresowanie naszym programem. Przypomnę go pokrótce: Polska może być lepsza i my możemy być lepsi. Albo coś podobnego, bo nie chciałbym teraz być łapanym za słówka.

Wygraliśmy zatem moralnie i mentalnie. Ale czy ten sukces to jest wyłącznie moja zasługa? A skąd. Nigdy bym tak nie powiedział ani nie pomyślał. Ten wynik – dodajmy, wynik znakomity, zwłaszcza, jak na wiadomo co – to dzieło nas wszystkich. Czyż nie jesteśmy świetni? Czy nie jesteśmy genialni, skoro tyle udało nam się zrobić? Czy to może być nasze ostatnie słowo? Czy mamy prawo zawrócić z kierunku, który poparła konkretna liczba konkretnych obywateli? Nie możemy. I nie zejdziemy. Ani z ringu, ani z drogi, którą obraliśmy, wsłuchując się od kilku tygodni w głosy, które słyszeliśmy codziennie. To były głosy zwyczajne i to jest właśnie nadzwyczajne. Bo nikt nie wie lepiej, czego chcą zwyczajni Polacy od zwyczajnego Polaka!

Dzięki temu wszystkiemu daliśmy radę. Ja dałem. Wiem, nie o mnie tu chodzi, ale o Polskę. Żeby w tym kraju można żyć godnie, żeby każdy mógł znaleźć dobrze płatną pracę, żeby nie było nienawiści. Czas zasypać rowy i podziały, czas usiąść do rozmów, merytorycznych i konstruktywnych, czas zakończyć wojnę polską-polską. I my tę wojnę zakończymy. Wyciągam dziś rękę do moich politycznych konkurentów i wzywam: przyznajcie, że przegraliście. Że liczyliście na więcej. Chcieliście nas zgnieść, ale myśmy się policzyli. I z wami też się policzymy. Bo nas nie da się zakrzyczeć! Zakrzyknijmy to hasło tak, by cała Polska nas słyszała: nas nie da się zakrzyczeć!

Na zakończenie, zanim rzucimy się w wir świętowania naszego sukcesu w naszych stacjach telewizyjnych, chcę wyjaśnić coś ważnego. Jeszcze ważniejszego niż to, co mówiłem wcześniej, a przyznacie, że nie były to sprawy błahe. Ktoś może zapytać: no, dobrze, ale czy to jest ostatecznie wynik dobry czy zły? Powiem tak: po pierwsze, to w ogóle nie jest wynik, tylko badania exit polls. Po drugie, miejsce w pierwszej dziesiątce to zawsze jest wielkie osiągnięcie, niezależnie od konkurencji, w jakiej się startuje. Najważniejsze, że wygraliśmy. Bo wygrała demokracja. A demokracja to my.

Reklama | 3/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34



DOSTĘPNY W APTEKACH

TRISEPT MAX

Bezpieczeństwo każdego dnia

TRISEPT MAX – skuteczny środek do codziennej dezynfekcji rąk

Działa **wirusobójczo, bakteriobójczo i grzybobójczo**

Produktów biobójczych należy używać z zachowaniem środków ostrożności. Przed każdym użyciem należy przeczytać etykietęi informacje dotyczące produktu.

Trisept MAX Płyn. Produkt służący do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji rąk o działaniu wirusobójczym, bakteriobójczym, grzybobójczym. Produkt do powszechnego stosowania oraz do zastosowania w obszarze medycznym. Skład: Etanol 73%, Propan -2 ol, 10%, gliceryna 10%, woda oczyszczona. Producent: Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa" S.A. 03-176 Warszawa, ul. A. Fleminga 2; Wysoce łatwopalna ciecz i pary. Działa drażniąco na oczy. Może wywoływać uczucie senności lub zawroty głowy. Pozwolenie nr 0001/TP/20 TRI/501/07/05/2020

TZF

eprasa.pl 4fcee5af34

WIEŻA BAB

Ryje, mordy i facjaty

Borys Budka ma rację. Powinna wygrać uśmiechnięta Polska. Ale nie jest nią ta Rafała Trzaskowskiego

Podczas jednego z wyborczych wieców wyrwało się Borysowi Budce coś o uśmiechniętej Polsce Rafała Trzaskowskiego. „Wybór dzisiaj jest bardzo prosty. Mamy wybór pomiędzy uśmiechniętą, wspólnotową Polską, jaką proponuje Rafał Trzaskowski, i rozkrzyczaną, rozhisteryzowaną Polską Andrzeja Dudy, Mateusza Morawieckiego czy Jarosława Kaczyńskiego" – powiedział lider Platformy Obywatelskiej. Zaczęłam więc uporczywie grzebać w pamięci i szukać tej uśmiechniętej Polski Trzaskowskiego.

Przecież nie miał chyba Borys Budka na myśli Marii Nurowskiej, która swego czasu pisała o mordach i ryjach pisowskich? „ Odbyłam dziś bitwę z trollami, przy okazji blokad miałam możliwość zobaczyć te twarze, a właściwie mordy. Oni mają ordynarne ryje i to wszystko elektorat PiS. PS A ich baby! Nie lepsze!" – pisała Nurowska na Facebooku. Traf chciał, że słowa Budki zbiegły się w czasie z internetową akcją, w której piękne Polki postanowiły pokazać swoje uśmiechnięte „ryje" pani Nurowskiej. I szczerze trzeba przyznać, że literatka wypadła w tej konkurencji dość blado.

Nie przypominam sobie także uśmiechu na twarzy Franciszka Jagielskiego „Farmazona", gdy podczas jednego z protestów Obywateli RP wrzeszczał na drobniutką reporterkę „W tyle wizji": „Więcej mam szacunku dla k...y spod latarni niż dla ciebie. Tamta przynajmniej wie, o co chodzi, a ty jesteś sprzedajna za nic...". Nie widziałam też cienia uśmiechu na twarzy psychoterapeutki Elżbiety Podleśnej, która wrzeszczała ordynarne hasła pod budynkiem TVP. Być może uśmiechała się wtedy, gdy wieszała na toaletach sprofanowane wizerunki Matki Bożej z tęczową aureolą.

Ciężko też stwierdzić, czy uśmiechał się Jacek Poniedziałek, gdy wyborców PiS nazywał „zakałą świata": „Biedny, otumaniony 500+, tanio kupiony pseudodumą rodem z paska wiad. tvp 40-procentowy »narodzie« – rozpłyń się i przepadnij. Jesteś zakałą świata!". Raczej nigdy, gdy mówi o wyborcach PiS, nie uśmiecha się Krystyna Janda. Czasem mam wręcz wrażenie, że w kącikach jej ust widać wąziutką, wolno spływającą stróżkę jadu. Być może rechotała złowieszczo wówczas, gdy tuż po ostatnich wyborach parlamentarnych udostępniała na FB grafikę porównującą elektorat PiS do prostytutek. Raczej nie był też uśmiechnięty Jerzy Stuhr, gdy twierdził, że wyborcy PiS mszczą się za wielowiekowe ciemiężenie, oraz przyznawał, że są „potomkami chłopów folwarcznych". Za to na pewno ubaw miała publiczność podczas skandalicznego występu Macieja Stuhra na gali Orłów: „Chciałbym być dobrze zrozumiany. Aktorzy drugiego planu to nie jest jakaś armia artystów wyklę... przeklętych. Aktor drugiego planu to nie jest ktoś, kto gdzieś tam się wałęsa... pałęta. Aktor i aktorka drugiego planu to nie jest ktoś, na czym stoi film jak na oponce... opoce. Przepraszam, bo miło być poważnie, a państwo mają... tu polew".



Cienia uśmiechu nie było na twarzy Grzegorza Schetyny, gdy mówił o konieczności strząśnięcia „ze zdrowego drzewa pisowskiej szarańczy", czy na twarzy Radosława Sikorskiego, gdy chciał dorzynać pisowską watahę.

Pamiętam za to, że do rozpuku śmiała się Elżbieta Bieńkowska podczas rozmowy z Pawłem Wojtunikiem, gdy szef CBA opowiadał jej m.in. o sprawie podpalenia budki pod rosyjską ambasadą w trakcie Marszu Niepodległości. „Ale jaja, ale jaja" – cieszyła się była minister, gdy Wojtunik opowiadał jej, jak swoje rządy sprawuje minister Sienkiewicz: „Do mnie się nie odzywał, jak na koordynatora dwumiesięczna cisza w rozmowach. [...] Bartek się nauczył zarządzać wszystkim przez telefon. [...] Widzisz, ale facet nauczył ich tak, że on dzwoni i on im rozkazuje. I tak samo poszli, spalili budkę pod ambasadą, bo minister osobiście wymyślił taką...". Faktycznie, jaja jak berety, że takich mieliśmy ministrów.

Pragnę serdecznie przeprosić panią Nurowską za mój ordynarny ryj, ale nic nie poradzę, że taką facjatą Bóg mnie obdarzył. Nawet nie śmiem przy pani Marii stanąć. A Borys Budka ma rację. Powinna wygrać uśmiechnięta Polska. Ale nie jest nią ta Rafała Trzaskowskiego.

Dorota Łosiewicz

Reklama | 16/0220/F

Gdy wracacie, **wraca uśmiech!**



Drodzy Pasażerowie,
dziękujemy, że wracacie, bo to Wasze podróże nadają naszej pracy sens. Razem sprawimy, że wzbijające się w powietrze samoloty znów wywołają uśmiech.

#WeAreAviation
#TogetherWeAreStrong

LOTNISKO CHOPINA WARSZAWA

eprasa.pl 4fcee5af34

BRONISŁAW WILDSTEIN

Trzaskowski zapomniał



Na wiecu wyborczym Rafał Trzaskowski oświadczył, że cztery lata temu nie zasiadał w Sejmie jako poseł, a więc nie brał udziału w głosowaniach na temat wieku emerytalnego. Kiedy schodził ze sceny, zatrzymał go Sławomir Nitras i szepnął coś do ucha. Kandydat na prezydenta zawrócił, aby oświadczyć, że przypomniał sobie, że posłem był, ale nie głosowano wówczas sprawy, o której mowa. Było to kolejne kłamstwo. Głosował przeciw obniżeniu wieku emerytalnego.

Piszę o kłamstwie, gdyż niepamięć o sprawowaniu przez cztery lata poselskiego mandatu, tudzież głosowaniu w najgłośniejszej wówczas sprawie, oznaczałaby skrajną demencję, która uniemożliwia samodzielne funkcjonowanie. A cokolwiek mówić, w sprawach elementarnych kandydat na prezydenta daje sobie radę całkiem nieźle.

Co oznacza więc tego typu ostentacyjne mijanie się z prawdą? Interpretacja, która się narzuca, zwana jest za grypserą więzienną „pójściem w zaparte". Sprawca poważnego przestępstwa uznaje, że konsekwentne kłamstwo daje mu większe szanse niż przyznanie się. I tak działa współczesny marketing polityczny.

Politycy obecnej, medialnej ery uczą się, że najważniejszy jest wizerunek, który nie musi mieć żadnego związku z faktami, a pamięć obywateli sprowadzonych do roli wyborców i bombardowanych niesprawdzalnymi informacjami jest krótsza niż chomika. Jeśli fakty się nie liczą, pozostaje gra o wizerunek, a kłamstwa da się relatywizować.

Rządy PO w epoce Donalda Tuska w całości podporządkowane zostały marketingowej strategii. Wielkie kampanie, które miały prowadzić do zasadniczych reform państwa czy jego konkretnych sektorów, miały wyłącznie charakter spektakli dla widzów, którzy nie zajmowali się już ich efektami. Możliwe było to z powodu przytłaczającej opiniotwórczej dominacji zwolenników ówczesnej władzy, co powodowało, że media w ogóle nie rozliczały jej obietnic i zapewnień. Kto pamięta dziś owe wielkie projekty, w trakcie których Tusk przeprowadzał się do Sejmu, aby osobiście nadzorować przebieg ich realizacji? Wypełniały one wszystkie serwisy informacyjne, ale o tym, że za czas jakiś kończyły się literalnie niczym, z tych samych mediów nie sposób się było dowiedzieć. Wielka publiczna debata o ochronie zdrowia transmitowana przez telewizję publiczną, w której uczestniczyli premier i członkowie rządu, przyniosła zero, powtarzam: zero efektów, ale tego widzowie telewizji publicznej się już nie dowiedzieli.

Zapewnienia Tuska, że nigdy nie podwyższy podatków ani nie podniesie ręki na fundusze emerytalne, także utonęły w niepamięci, jak i obietnice, że jeśli minister skarbu nie znajdzie inwestorów do stoczni, pożegna się ze stanowiskiem. Inwestorów nie było, stocznie zbankrutowały, a Aleksander Grad nadal był ministrem. To była szkoła polityczna Trzaskowskiego. Nic dziwnego więc, że gdy usłyszał niewygodne pytanie, odpowiedział, że ze sprawą nie ma nic wspólnego, a posłem nie był.

We w miarę normalnych warunkach kandydat na prezydenta, który zapomina, że był posłem i jak głosował w podstawowych kwestiach, musiałby być skompromitowany. Osobnik taki może przecież zapomnieć, że jest prezydentem i jakie decyzje podejmuje. A jednak ostentacyjne kłamstwa Trzaskowskiego nie wybrzmiewają jak powinny. Można odnieść wrażenie, że nie tylko polityczni i medialni zwolennicy Trzaskowskiego, ale również jego przeciwnicy nie potraktowali ich serio. Widocznie wszyscy uznają, że trudno się dziwić, iż w kampanii opowiada on niestworzone rzeczy i łże jak najęty.

Czy powinniśmy się jednak na to zgadzać?

Trzaskowski od początku do końca jest marketingową kreacją wymyśloną pod gusta „aspirującego" wyborcy. Właściwie nie wiemy o nim nic poza tym, że wykazał się indolencją jako prezydent Warszawy. Jak widać, nie ma to żadnego wpływu na jego pozycję. Przystojny, relatywnie młody, „mówi językami", jest „światowy" i „europejski", co to jednak znaczy poza tym, że przez dostojników unijnych klepany będzie po plecach nieomal tak samo często jak Tusk i jaką cenę przyjdzie nam za to zapłacić, nikt już nie pyta. Nie wiemy, jakie ma poglądy na cokolwiek, bo tak jak jego partia może mieć każde. Mędrcy w Brukseli ustalają obowiązującą wykładnię wszystkiego, rozumni Europejczycy powinni się pod nią podpisać i problemy z głowy. No, trzeba jeszcze wypalić rozpalonym żelazem PiS, które wskazuje jakieś kłopoty.

Na wiecu w Sorkwitach Trzaskowski zademonstrował, że reaguje jak marketingowy automat. Rozsądkiem wykazał się Nitras, który zrozumiał, że akurat tej sprawy tak łatwo pod dywan nie da się zamieść.

Czy marketingowcy wybiorą nam prezydenta i jaki będzie tego koszt?

eprasa.pl 4fcee5af34

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Co wolno Polsce?



Jan Pietrzak

W zmierzającej do finału kampanii wyborczej parokrotnie przypominano, i słusznie, historyczne pytania premiera Jana Olszewskiego, kiedy „nocna zmiana" odwoływała jego rząd. „Jaka będzie Polska? Czyja będzie Polska?". Warto postawić kolejne pytanie z tego cyklu: „Co wolno Polsce?". Jeżeli kandydat Trzaskowski uważa, że nie wolno nam przekopać mierzei, zbudować centralnego lotniska, połączyć Uznamu z Wolinem, bo to gigantomania, może niech ogłosi, co nam wolno robić na polskiej ziemi poza jednopłciowymi ślubami i wylewaniem szamba do Wisły.

Jego partia przez osiem lat rządzenia konsekwentnie przekonywała, czego nam nie wolno. Nie wolno kupić rakiet Patriot, nie wolno trzymać Wojska Polskiego po wschodniej stronie Wisły, nie wolno się domagać od Putina wraku samolotu, nie wolno tworzyć jednostek obrony terytorialnej, nie wolno oponować przeciw inwazji imigrantów, nie wolno reformować sądownictwa, nie wolno uczyć historii Polski w liceach... itd.

Można mówić, jak Trzaskowski na wiecach, że to odległe sprawy. Powiedzieć w ogóle można wszystko, nawet w pięciu językach. Nie są to jednak sprawy błahe ani nie powinny być zapomniane. Polacy trwają dzięki dobrej pamięci. Przez 123 lata pamiętali I Rzeczpospolitą i z uporem walczyli o jej wskrzeszenie. Przez pół wieku od napaści Niemiec i Rosji, po zamordowaniu 1/4 narodu przez okupantów, kultywowali w sercach II Rzeczpospolitą, by mogła się odrodzić jako solidarnościowa, wolna ojczyzna.

Dokładna pamięć o tym, co kto zrobił dla Polski w trakcie tworzenia 30-letniej niepodległości, to jest klucz do dobrej decyzji wyborczej. Przewinęło nam się w ciągu trzech dekad przed oczyma tylu cwaniaków, oszukańców, zapominalskich, krętaczy, że gołym okiem widać, komu nie można powierzyć naszego losu. Wybory prezydenta to nie jest gra losowa, to nie zabawny quiz, to jest wielka odpowiedzialność za swoje rodziny, za kraj, ale także za sens walki bohaterów Bitwy Warszawskiej sprzed 100 lat.

Przez pięcioletnią kadencję Andrzej Duda codziennie zdawał egzamin z odpowiedzialności za Polskę. Należy mu się reelekcja, co zauważył nawet amerykański prezydent Donald Trump. God save America! Niech żyje Polska!



Koronawirus w świecie bankowości

Banki zawsze pełniły istotną funkcję w rozwoju gospodarki. – Wraz z pojawieniem się koronawirusa wzmocniły swoją pozycję jako partnera w walce z ekonomicznymi skutkami kryzysu, uczestnicząc w rządowych projektach pomocowych – mówi Iwona Duda, p.o. prezes Alior Banku

Pandemia przyniosła bezprecedensowy kryzys zdrowotny o zasięgu globalnym, który w bezpośredni sposób załamuje koniunkturę na świecie. Jej wpływ na przedsiębiorstwa zależał od rodzaju prowadzonej działalności, ale też źródła spadku popytu. Najbardziej dotknięte ograniczeniami społecznymi sektory, jak: transport, turystyka, kultura czy handel wielkopowierzchniowy, ucierpiały na ograniczeniu popytu, co też przełożyło się na utratę większości przychodów.

WSPARCIE PRZEDSIĘBIORSTW

Pogorszenie na rynku pracy, powiązane z jednoczesnym spadkiem dochodów gospodarstw domowych, rzutowało również na pozostałe gałęzie gospodarki, osłabiając zapotrzebowanie na towary i usługi, w konsekwencji pogarszając sytuację finansową przedsiębiorstw.

– Wspieranie i stymulowanie rynku przez banki powinno odbywać się poprzez zaangażowanie w rządowe programy pomocowe, które pomagają w utrzymaniu płynności sektora przedsiębiorstw – zaznaczyła Iwona Duda podczas debaty ekspertów na temat wpływu koronawirusa na sektor bankowy.

WPŁYW PANDEMII NA SEKTOR BANKOWY

Najważniejszym źródłem niepewności są zaburzenia makroekonomiczne dotykające zarówno konsumentów, jak i przedsiębiorców. Ich konsekwencją jest spadek popytu na kredyty, niższe zyski oraz wzrost kosztów ryzyka. Już w kwietniu odnotowano istotne zmniejszenie zainteresowania produktami kredytowymi oraz zaostrzeniem polityki ryzyka. Banki zmuszone są przyjąć pewne restrykcje w procesie kredytowym, a jednocześnie maksymalnie zwiększyć poziom zabezpieczenia swojej działalności.

– Przed sektorem stoją liczne wyzwania, takie jak konieczność dostosowania się do nowej sytuacji gospodarczej, środowiska niskich stóp procentowych czy zmian legislacyjnych. Jednocześnie wymuszone zmiany procesowe oraz nowe oczekiwania konsumentów względem usług finansowych sprawią, że banki będą jeszcze w większym stopniu inicjatorami rozwoju technologicznego – podsumowała Iwona Duda.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 30/0520/F

eprasa.pl 4fcee5af34



Prezydent laureatem nagrody portalu wPolityce.pl

Portal wPolityce.pl ma już dziesięć lat! Na uroczystej gali urodzinowej wręczona została nagroda Biało-Czerwone Róże. W tym roku uhonorowany tym wyróżnieniem został prezydent Andrzej Duda

eprasa.pl 4fcee5af34



Od lewej: Michał Karnowski, Romuald Orzeł, Henryk Uzdrowski i Marzena Nykiel z tegorocznym laureatem nagrody Biało-Czerwonych Róż portalu wPolityce.pl prezydentem Andrzejem Dudą

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

Laudację na cześć laureata wygłosił Michał Karnowski, członek zarządu Grupy Medialnej Fratria. „W lutym 2015 r., rozpoczynając marsz po prezydenturę, na słynnej konwencji Andrzej Duda nawiązał do dorobku śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, którego był współpracownikiem. »Jego misja nie została zakończona, nie dokończył swojego dzieła. Dziś ja wierzę, że Polacy oczekują tego, że tamto dzieło zostanie podjęte na nowo, że Polska znów będzie się zmieniać w Polskę sprawiedliwości, uczciwości, równych szans!« – mówił wtedy Andrzej Duda. Tak też się stało. Program, z jakim wystąpił w kampanii, był ambitny. Obejmował próbę podniesienia Polski wyżej, uczynienie ją silniejszą, bardziej dumną, bogatszą, zakładał obronę jej tradycji, dobrego imienia przodków, promowanie szacunku dla jej chrześcijańskiego charakteru. Nie było ważnego dla Polski tematu, sprawy, która by Andrzeja Dudy nie obchodziła" – mówił Michał Karnowski.

Jak podkreślił: „Można było liczyć na prezydenta w trudnych reformach, od programów prorodzinnych przez edukację po wymiar sprawiedliwości, choć i tutaj zawsze miał na względzie dobro wspólne, czasami pilnując – jak to ujął profesor Andrzej Zybertowicz – by ten pociąg dobrej zmiany się nie wykoleił". I dodał: „Skala przemiany jest ogromna. Polska doświadczyła sytuacji, w której ambitne zobowiązania polityka zostały potraktowane serio. Zostały zrealizowane we współpracy z obozem politycznym Jarosława Kaczyńskiego. To zostanie w pamięci narodowej".

Michał Karnowski zwracał uwagę na to, że trzeba bronić tego, co udało się osiągnąć w Polsce w ostatnich latach. „Jeżeli ten dorobek naprawdę doceniamy, to musimy też pamiętać, że nie jest to dane raz na zawsze. Jeżeli jacyś źli ludzie ponownie obejmą władzę w Polsce, to myślę, że bardzo szybko może się okazać, że znowu pieniędzy na nic nie ma [...]. Żeby zło zwyciężyło, wystarczy często bierność i ślepota dobrych ludzi. Mam nadzieję, że tym razem tak nie będzie" – zaznaczył.

Nagrodę prezydentowi Andrzejowi Dudzie wręczyli: Romuald Orzeł, prezes zarządu Grupy Medialnej Fratria, Michał Karnowski i Henryk Uzdrowski, członkowie zarządu tej grupy, oraz Marzena Nykiel, redaktor naczelna portalu wPolityce.pl. Skierowała ona do Andrzeja Dudy następujące słowa: „Panie prezydencie, wspólnie z czytelnikami naprawdę bacznie przyglądaliśmy się pańskiej kadencji, obserwowaliśmy każdy dzień pańskiej pracy. Chcemy

PARTNER ZŁOTY

ORLEN

PARTNERZY STRATEGICZNI

LOTOS

TAURON

PARTNERZY GŁÓWNI

Bank Polski

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY

PARTNERZY

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Energa

KGHM POLSKA MIEDŹ

PFR Polski Fundusz Rozwoju

PGE

PGNiG

Poczta Polska

eprasa.pl 4fcee5af34

przy tej uroczystej okazji podziękować Panu za wierność prawdzie, oddaną służbę Polsce, za przywrócenie nam dumy narodowej, walkę o tożsamość narodową, polską rodzinę i piękną, suwerenną Polskę. Dziękujemy Panu bardzo".

Odbierając Biało-Czerwone Róże, prezydent Andrzej Duda powiedział: „Bardzo serdecznie dziękuję, czuję się ogromnie uhonorowany. [...] Chciałbym podziękować portalowi wPolityce.pl, całej redakcji i wszystkim mediom związanym z tym portalem, dlatego że śmiało mogę mówić, że razem realizujemy pewne dzieło od 10 lat, które wierzę, że prowadzi do naprawy Rzeczypospolitej". I precyzował, że tym dziełem jest „realizowanie tego, o czym mówił i co swoją wizją wyznaczył nam kiedyś pan prezydent Lech Kaczyński". „Mam głębokie poczucie, że dzisiaj ta wizja Polski się realizuje" – zaznaczył.

Prezydent podkreślał, że należy przełamywać wiele nieuprawnionych relacji stworzonych już na początku III RP, które często trwają do dzisiaj.





Laureatem specjalnego wyróżnienia rocznicowego portalu wPolityce.pl został Jacek Sasin, wicepremier i minister aktywów państwowych

„Trzeba je przełamywać, rozbrajać. To nie są relacje, jakie występowałyby w prawdziwie wolnym, suwerennym, nowoczesnym państwie, a ja takiej Polski właśnie chcę. Takiej Polski, która będzie dumna, ale z drugiej strony nowoczesna. Takiej Polski, która będzie oparta na swoim żelazobetonowym fundamencie, jakim jest ponad 1050 lat naszej tradycji, kultury, tego wszystkiego, co zawsze trwało w naszych rodzinach, a nowoczesności, ale tej właściwie pojmowanej – gospodarczej, technologicznej. Wierzę, że to właśnie oznacza nowoczesne państwo" – mówił prezydent.

Podczas gali wręczono jeszcze jedną nagrodę. Laureatem specjalnego wyróżnienia rocznicowego portalu wPolityce.pl został wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin. Laudację na cześć wyróżnionego wygłosił Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej". „Stajemy dziś w wyjątkowym momencie dziejowym dla gospodarki. Nie tylko tej polskiej, narodowej, ale też gospodarki w skali makro, światowej i europejskiej. Od podejmowanych dziś decyzji zależeć będzie to, jak poradzimy sobie z pandemią COVID-19" – podkreślał Maciej Wośko. „Między innymi dzięki postawie ludzi zarządzających spółkami skarbu państwa, dzięki zdecydowanej postawie wicepremiera Jacka Sasina, ministra aktywów państwowych, dziś zamiast liczyć straty, liczymy wartość udzielonej pomocy" – mówił szef „Gazety Bankowej".

„To wspaniałe wyróżnienie, wspaniała nagroda. Bardzo serdecznie za to dziękuję. Traktuję to wyróżnienie jako potwierdzenie słuszności polityki PiS [...]. Mówiliśmy o tym, że państwowa własność w gospodarce jest ważna, nie jest żadnym obciążeniem. Nie jest czymś, co powinno zniknąć, ale jest ważnym elementem naszej państwowej suwerenności, siły Polski" – podkreślił laureat. Zwracał uwagę na to, że w czasie pandemii koronawirusa udało się stworzyć poczucie, iż dla spółek skarbu państwa liczy się nie tylko interes ekonomiczny, lecz istotna jest też społeczna odpowiedzialność biznesu.

Podczas urodzinowej gali nie zabrakło także podziękowań dla czytelników portalu wPolityce.pl. „Jesteśmy razem już dekadę. Odbyliśmy wspólnie naprawdę nieprawdopodobną podróż. Spotkaliśmy się po raz pierwszy w zupełnie innej Polsce od tej, w której spotykamy się dzisiaj. Gdy Jacek i Michał Karnowscy w 2010 r. postanowili założyć portal, nikt nie przypuszczał, że kiedyś wyrośnie na tak liczące się medium. Potęga mainstreamowych konkurentów była wtedy ogromna. Różniły nas niewspółmierne środki finansowe, wsparcie biznesowe, zaplecze kadrowe i polityczne. Wszystko to było poza naszym zasięgiem. Ale było w naszym portalu coś, co nas odróżniało, motywowało, gromadziło ludzi, pozwalało budować wspólnotę: głód prawdy i pragnienie sprawiedliwej, silnej, prawej Polski" – powiedziała red. Marzena Nykiel. I dodała: „Zapraszamy państwa do dalszej, wspólnej podróży. Niech nas łączy ten sam głód prawdy, pragnienie silnej, suwerennej, wolnej, mądrej i dumnej Polski".

Adam Stankiewicz

Reklama | 29/0520/F

eprasa.pl 4fcee5af34

TAURON

Fotowoltaika
dla domu

- **Fotowoltaika** – od czego zacząć?
- Jak sfinansować zakup **fotowoltaiki?**
- **Fotowoltaika –** czy to naprawdę się opłaca?
- Kiedy zwróci się Twoja inwestycja w **fotowoltaikę?**
- Jak dzięki **fotowoltaice** obniżyć koszty ogrzewania domu?



67 stron praktycznej wiedzy

Pobierz **BEZPŁATNY PORADNIK**
i znajdź odpowiedź na te i wiele innych pytań

Więcej na:
tauron.pl/ebook

tauron.pl/fotowoltaika

Niemcy

Lenin wiecznie żywy

W Gelsenkirchen w Nadrenii Północnej-Westfalii odsłonięto pomnik Włodzimierza Lenina. Pomnik powstał z inicjatywy założonej w 1982 r. skrajnie lewicowej Marksistowsko-Leninowskiej Partii Niemiec (MLPD), która od lat znajduje się pod obserwacją kontrwywiadu. Ugrupowanie wywodzi się z ruchu maoistycznego lat 70. i jest klasyfikowane jako „polityczna sekta". Pomnik wywołał spore kontrowersje za Odrą.

Jak pisze portal Cicero, mogło się wydawać, że „komunizm dawno wylądował na śmietniku historii". A tu „w chwili gdy pod zarzutem rasizmu i kolonializmu strąca się bohaterów z pomników i usiłuje wymazać z pamięci zasługi takich mężów stanu jak Otto von Bismarck czy filozofów jak Immanuel Kant, w Gelsenkirchen nagle wyrasta rzeźba komunistycznego zbrodniarza". I prawie nikt nie protestuje. Według portalu to efekt tego, że wielu Niemcom, szczególnie zachodnim, Lenin kojarzy się z sympatycznym zawodowym rewolucjonistą, który – inaczej niż Stalin – nie dopuścił się jakoby żadnych zbrodni. Dlatego w niemieckim Schwerin wciąż stoi, do niedawna jedyny, pomnik Lenina. Postawił go tam w 1985 r. Horst Sindermann, członek politbiura rządzącej w NRD Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED). Wielokrotnie próbowano usunąć statuę, ale mieszkańcy chcą, by została. Jeden z nich powiedział rozgłośni Deutschlandfunk, że pomnik przypomina mu młodość i studia marksizmu-leninizmu w Moskwie. Ostatni godny odnotowania protest przeciwko pomnikowi odbył się w 2015 r. i wzięła w nim udział tylko garstka ofiar enerdowskiej dyktatury. Magistrat, choć krytycznie nastawiony do pomnika, postanowił go więc zachować.



Fot. 360b/Shutterstock.com

Także władze Gelsenkirchen próbowały zapobiec zainstalowaniu Lenina, powołując się przy tym na względy historyczne i estetyczne. Można zapytać: kto dziś w Niemczech produkuje pomniki Lenina? Ano nikt, rzeźbę odlano w 1957 r. w Związku Sowieckim, a następnie stała długie lata przed fabryką maszyn w Czechosłowacji. MLPD nabyło ją na aukcji internetowej za pieniądze „zebrane u darczyńców".

Według przewodniczącej partii Gabi Fechtner Lenin to „symbol walki o wolność i demokrację". „Kapitalizm jest dziś w najgłębszym kryzysie. Ludzie znów potrzebują takich idoli jak Lenin" – dodała. Dla burmistrza Gelsenkirchen Franka Baranowskiego z SPD widok pomnika „jest trudny do zniesienia". Ponieważ Lenin na razie zostaje, miasto uruchomiło multimedialny projekt pod hashtagiem #keinplatzfuerlenin (nie ma miejsca dla Lenina), który ma przypomnieć mieszkańcom, że ojciec bolszewickiej rewolucji wymyślił „państwowy terror". Miasto uruchomiło także wystawę o zbrodniach komunizmu.

Aleksandra Rybińska

Słowacja

Walka o rząd dusz na lewicy

Na Słowacji rozpoczęła się wojna na górze. Peter Pellegrini (premier w latach 2018–2020) rzucił wyzwanie Robertowi Fico (premierowi w latach 2006–2010 i 2012–2018). Stawką jest przywództwo w obozie lewicy narodowej, którą do niedawna reprezentowała z dużymi sukcesami partia SMER.

SMER to dziecko Roberta Fico – byłego działacza postkomunistycznej Partii Demokratycznej Lewicy, który 1999 r. postanowił założyć nowe ugrupowanie. Jego formacja trzy razy zwyciężała w wyborach parlamentarnych (2006, 2012, 2016). Trzykrotnie też lider SMER był desygnowany na premiera Słowacji. Jego trzecia kadencja została jednak nagle przerwana na początku 2018 r. po gwałtownych protestach ulicznych wywołanych zamordowaniem dziennikarza śledczego Jána Kuciaka. Ujawniona wówczas skala korupcji w obozie władzy spowodowała, że Fico musiał ustąpić. Udało mu się uniknąć przedterminowych wyborów, w których jego partia poniosłaby niechybną klęskę. Usunął się dyskretnie w cień, pozostając nadal szefem SMER i wysuwając na nowego szefa gabinetu swego zaufanego człowieka, dotychczasowego wicepremiera Petera Pellegriniego.

Wbrew pozorom Pellegrini nie okazał się figurantem kierowanym z tylnego siedzenia. Szybko się wybił na niezależność, sprawnie zarządzał krajem, zdobył osobistą popularność i wydobył partię z sondażowego dołka. Po lutowych wyborach SMER co prawda stracił władzę, ale skala porażki była mniejsza, niż się spodziewano. Uzyskując 18 proc. Mandatów, stał się drugą siłą w parlamencie.

Pellegrini uznał, że największym obciążeniem wizerunkowym dla ugrupowania jest obecność skompromitowanego Fico, dlatego wezwał go do ustąpienia ze stanowiska przewodniczącego. Większość struktur partyjnych opowiedziała się jednak po stronie swego założyciela. W tej sytuacji Pellegrini zapowiedział stworzenie własnej formacji politycznej. Dołączyło do niego kilkunastu znanych polityków SMER. Słowacką scenę polityczną czeka więc w najbliższym czasie walka o rząd dusz na lewicy.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 4fcee5af34



Fot. Yerchak Uladzimir/Shutterstock.com

Białoruś

Łukaszenka robi się nerwowy

Władze na Białorusi zdecydowały się na scenariusz siłowy, na który zanosiło się już od momentu powołania nowego rządu zdominowanego przez ludzi w mundurach. Nowy wicepremier i szef Komitetu Kontroli Państwowej, generał KGB Iwan Tertel przyspieszył śledztwo (trwające jakoby, choć nikt w to nie wierzy, od 2016 r.) przeciwko kierownictwu Biełgazprombanku, którego szefem był najpoważniejszy konkurent Łukaszenki do prezydenckiego fotela Wiktar Babaryka. Przeszukania centrali banku, powiązanych z nim firm, zatrzymania menedżerów doprowadziły w końcu do aresztowania głównego rywala Łukaszenki.

21 czerwca Babaryka i jego syn usłyszeli zarzuty prania brudnych pieniędzy oraz popełnienia przestępstw podatkowych. Ludzie niemal natychmiast zaczęli protestować, a władze przystąpiły do aresztowań. Zatrzymywano demonstrujących, którzy utworzyli łańcuchy protestu, oraz wielu reporterów. Przy czym, jak zauważają białoruscy komentatorzy, obecna skala sprzeciwu jest w historii kraju czymś dotychczas niespotykanym. Zdaniem politologa Aleksandra Klaskouskiego władze już od pewnego czasu roztaczały wizję spisku wymierzonego w białoruską niepodległość. Iwan Tertel mówił publicznie o „pociągających za sznurki" rosyjskich oligarchach z Gazpromu i o wrogach Białorusi, usadowionych być może jeszcze wyżej. Babaryka, który kierował białoruskim bankiem kontrolowanym kapitałowo przez Gazprom, jest człowiekiem niezmiernie, jak na miejscowe realia, zamożnym, a przy tym o pokaźnej tuszy, więc doskonale nadaje się do opowieści o „tłustych bankierach" chcących przekształcić egalitarną Białoruś w państwo kontrolowane przez oligarchów. Wydaje się jednak, że Białorusini nie dają się złapać na tego rodzaju opowieści. Nie zamierza rezygnować również Babaryka, którego zwolennicy złożyli w komisji wyborczej ponad 434 tys. podpisów pod jego kandydaturą, co w przypadku opozycyjnego kandydata jest nie tylko rekordem w historii Białorusi, lecz i stawia władze w trudnej sytuacji, bo odmowa zarejestrowania polityka cieszącego się takim poparciem może być odebrana jako tchórzostwo. Już zza krat Babaryka wezwał swoich zwolenników do zbierania podpisów pod wnioskiem o referendum, którego celem ma być przywrócenie starej demokratycznej konstytucji, pochodzącej sprzed objęcia władzy przez Łukaszenkę.

Społeczeństwo jest coraz bardziej zdeterminowane w dążeniu do zmian i świadome własnej siły, więc władza robi się nerwowa. Politolog Artiom Szrajbman uważa, że taki scenariusz może doprowadzić nawet do rozlewu krwi. Niestety, jak na razie nie widać perspektywy wyjścia z tej sytuacji.

Marek Budzisz

USA

Zemsta czy ostrzeżenie?

John Bolton był przedstawiany jako najtwardsze skrzydło administracji Donalda Trumpa. Zaczynał karierę jako asystent prokuratora generalnego w administracji Ronalda Reagana, a ostatnio, w latach 2018–2019, był doradcą prezydenta Trumpa ds. bezpieczeństwa. Uważano go za „jastrzębia", bo popierał wojnę w Iraku i krytykował administrację Baracka Obamy za porażkę w Syrii.

Jednak Bolton należy do neokonserwatywnego skrzydła amerykańskiej prawicy, a zatem nigdy nie był naturalnym sojusznikiem igrającego z tonami izolacjonistycznymi Trumpa. Jego najnowsza książka „The Room Where It Happened" może – zdaniem wielu komentatorów – bardzo zaszkodzić Trumpowi. Choć Bolton nie jest pierwszym współpracownikiem Trumpa, który ujawnia pracę w Białym Domu (wcześniej zrobili to ekscentryczny doradca i jeden z architektów sukcesu Trumpa Steve Bannon oraz finansista Anthony Scaramucci), to jego głos ma większą siłę przebicia.

Pierwsze omówienia książki skupiają się na opiniach Trumpa o europejskich przywódcach. Nie są one zbyt dobre. Przykładowo podczas negocjacji w sprawie umowy nuklearnej z Iranem w 2019 r. Trump miał powiedzieć, że „wszystko, czego się dotknie Macron, zamienia się w gówno". Generalnie Trump ma mieć o Europie bardzo niskie mniemanie. Najbardziej oburzyło go zawarcie umowy z Rosją na budowę gazociągu Nord Stream 2. „To bardzo smutne, kiedy Niemcy zawierają z Rosją wielką umowę na ropę i gaz. My ich chronimy, a oni zawierają taką umowę" – miał się skarżyć podczas spotkania z sekretarzem generalnym NATO Jensem Stoltenbergiem.

Według Boltona prezydent USA uważa Unię Europejską za coś gorszego od Chin. Trump miał powiedzieć Angeli Merkel, że Unia powstała tylko po to, aby zaszkodzić USA. Jednak samą Merkel, pomimo licznych spięć, Trump ma traktować z szacunkiem, ponieważ łączą go z nią niemieckie korzenie. Według autora książki Trump najbardziej ceni premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona i premiera Japonii Shinzō Abe.

Bolton przekonuje dziś w wywiadach, że Trump nie nadaje się do pełnienia funkcji prezydenta, i straszy, iż nie jest pewien, czy po przegranych wyborach dobrowolnie opuści on Biały Dom. „W administracji Trumpa nie możesz być niczego pewien" – twierdzi. Trump w odpowiedzi nazwał Boltona „nudnym głupkiem, który chciał tylko iść na wojnę".

Czy można ufać Boltonowi, który sugeruje niestabilność emocjonalną Trumpa? Czy książka jest tylko jego zemstą na prezydencie, który go usunął z administracji? Możliwe, że tak. Jednak nie można też zapominać o słowach wysokiego polityka w administracji Reagana Jamesa A. Bakera III, który powiedział, że: „Bolton jest ponadprzeciętnie bystrym facetem".

Łukasz Adamski

eprasa.pl 4fcee5af34

OGNIEM NA WPROST

Kampania i szczury



Marxloh to dzielnica niemieckiego Duisburga opanowana przez imigrantów. Pod koniec 2018 r. 11,7 tys. osób, czyli 56,1 proc. mieszkańców Marxloh, było cudzoziemcami nieposiadającymi obywatelstwa niemieckiego. „Uchodźcy" skupieni na jednym terenie poczuli się jak w domu i zaczęli wprowadzać swoje porządki. Najpierw zorganizowali się w gangi klanowe, by po latach kontrolować okolicę. W zeszłym miesiącu policja zmierzyła się z tłumem około 200 mieszkańców, próbując aresztować młodocianego gangstera. Użyto gazu łzawiącego i poradzono sobie dopiero po wezwaniu posiłków. Zatrzymanie nastolatka wzbudziło wściekłość ojców chrzestnych klanów, którzy poinformowali mailowo policję, że: „Duisburg-Marxloh to nasza dzielnica... Zabraniamy wszystkim niewierzącym wjazdu do naszej dzielnicy. Odepchniemy lub zabijemy wszystkich funkcjonariuszy policji, dziennikarzy i innych niewiernych siłą broni. Dla nas obowiązuje tu tylko radykalny szariat. Mamy 2 tys. karabinów szturmowych AK-47 z Turcji i Rosji z wystarczającą ilością amunicji. Allahu Akbar, zabić wszystkich niewiernych". Mimo takich zapowiedzi niemiecka polizei do położenia kresu tej anarchii zabiera się jak pies do jeża. Do tej pory skończyło się na „wymianie uprzejmości", a życie w dzielnicy (czytaj: przemoc, handel narkotykami i bronią) kwitnie w najlepsze pod czujnym okiem lokalnych mułłów.

Awantura o nazwę państwa Macedonia trwa w najlepsze. Ze 154 państw oficjalnie nazwę uznało 125, w tym Polska. Ale już np. Niemcy, Francja i Hiszpania trzymają z Grekami i za nic uznać nazwy „Macedonia" nie chcą. Najbardziej zdeterminowani są oczywiście Grecy. Ostatnio dziesiątki tysięcy ludzi zgromadziły się w Salonikach, aby zaprotestować przeciwko używaniu nazwy „Macedonia" w tym niekończącym się sporze między dwoma państwami. Do protestu dołączyli także posłowie nacjonalistycznego Złotego Świtu oraz konserwatywnej Nowej Demokracji. Skoro pojawili się narodowcy, nie mogło zabraknąć drugiej strony – Antify, której sporna nazwa sąsiedniego państwa jest generalnie obojętna, odwrotnie niż walka z własnymi urojeniami, zwana przez nich walką z faszyzmem. Jednak demonstranci ruszyli z kopyta na lewaków i po krótkiej utarczce przegonili intruzów, paląc przy okazji ich dwupiętrowy squot. Antifa jest wściekła, bo nie dość, że spuszczono jej łomot, to teraz musi się błąkać grupkami po mieście w poszukiwaniu noclegu. Ich aktywność spadła do zera, nie szkodzą więc państwu ani społeczeństwu.

Na warszawskiej Pradze-Północ pod nieobecność prezydenta miasta zajętego kampanią wyborczą rozpanoszyły się szczury. Ponieważ nikt im nie przeszkadzał, gryzonie pojawiły się na klatkach schodowych, a potem zaczęły wygryzać dziury w podłogach i zajmować mieszkania. Niczym działacze Antify anektujący wszelkie pustostany. Mieszkańcy walczą, jak mogą. „Ja od dwóch tygodni nie mogę przebywać w mieszkaniu. Szczury nawet rano wychodzą – relacjonuje jedna z lokatorek. – Podłogi drewniane, wystarczą dwie–trzy godziny i jest dziura wielkości pięści. Administracja olewa temat. W ciągu dwóch tygodni zacementowałam 15 dziur". Inna, słabsza psychicznie, poddała się i od prawie trzech tygodni śpi z synem w samochodzie. Znikąd nie ma pomocy. Ratusz sparaliżowany, bo „król na wyjeździe". A wiadomo, jak nie ma kota, to szczury harcują. Mieszkańcy są załamani, ponieważ szykuje się druga tura. Mogą nie wytrzymać do połowy lipca.

Panujący w latach 1772–1792 szwedzki król Gustaw III znalazł się na celowniku Afro-Szwedzkiej Federacji Narodowej. Konkretnie chodzi o jego pomnik w Sztokholmie. Władca ten, zapatrzony we francuski model ustrojowy, dążył do absolutyzmu oświeconego. W 1777 r. został pierwszą formalnie neutralną głową państwa na świecie, która uznała Stany Zjednoczone podczas wojny o niepodległość z Wielką Brytanią. „Przy okazji" aneksował karaibską wyspę Saint Barthélemy i umożliwił przez to przywrócenie (raczej symboliczne) szwedzkich kolonii zamorskich w Ameryce. Trochę pohandlował niewolnikami, bo już w 1878 r. wyspa wróciła do Francji. Pochodzący z Burundi Kitimbwa Sabuni, prezes Afro-Szwedzkiej Federacji Narodowej, uważa, że król kierował Szwecję w stronę transatlantyckiego handlu niewolnikami i jego pomnik musi zniknąć. Wszelkie inne zasługi Gustawa III są panu Sabuni całkiem obce i nie przekonują go żadne argumenty o europejskim dziedzictwie kulturowym. „Ludzie muszą się nauczyć, że posągi nie są żywymi podręcznikami historii w czasie pokoju, ale przekazują różne projekty ideologiczne – poucza pan Murzyn. – To nigdy nie jest czysta historia". Wszak nie od dziś wiadomo, że nie wszystko jest czarno-białe.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4fcee5af34

Kulturalna konsekwencja



Marta Kaczyńska-Zielińska

Prezydent Lech Kaczyński w liście na VI Kongres Kultury Polskiej, który w 2009 r. odbywał się w Krakowie, wyraził przekonanie, że: „Staranie o rozwój gospodarczy i cywilizacyjny, zapewnienie bezpieczeństwa naszego kraju i dążenie do budowania jego silnej pozycji na arenie międzynarodowej należą do znamiennych priorytetów polskiej racji stanu, łącząc całą klasę rządzącą ponad podziałami partyjnymi. Wszystko to może jednak okazać się ułudą, jeśli zlekceważona będzie rola życia duchowego dla przyszłości narodu, jeśli zaniedbana będzie promocja kultury. Rzeczpospolita potrzebuje na tym polu aktywnych działań, ponieważ potrzebuje książek współczesnych pisarzy polskich, filmów i przedstawień teatralnych, wystaw polskich artystów, debat intelektualnych na tematy nurtujące rodaków".

Mocne wsparcie dla kultury i dziedzictwa narodowego było jednym z priorytetów w działaniach Lecha Kaczyńskiego jako prezydenta Warszawy i jako prezydenta Polski, by wspomnieć tu tylko zainicjowanie budowy Muzeum Powstania Warszawskiego i Muzeum Historii Żydów Polskich.

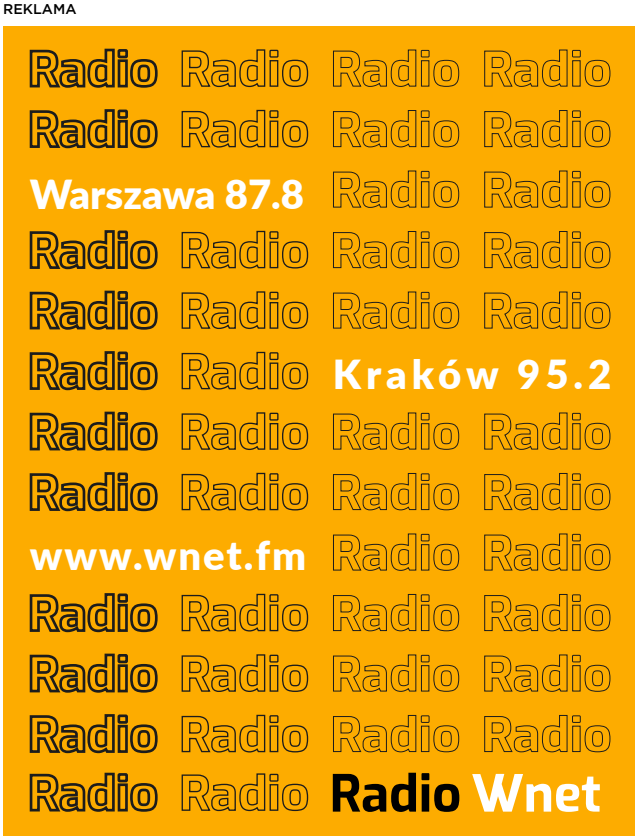
Rząd Zjednoczonej Prawicy kontynuuje tę politykę. W latach 2015–2019 wydatki z budżetu państwa na kulturę wzrosły o 34 proc. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego podejmuje wiele inicjatyw, a w szczególności rozbudowuje, współprowadzi jako nowe instytucje ok. 30 muzeów i miejsc pamięci. Wśród nich: Muzeum Historii Polski na warszawskiej Cytadeli, Muzeum Domu – Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej, Muzeum Kresów, Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce, Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II Wojny Światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej, Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku oraz Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 r.

Najnowszy sukces ministerstwa to wynegocjowanie rozszerzenia wsparcia dla projektów kulturalnych w Unii Europejskiej. Wskutek wysuwanych przez przedstawicieli polskiego rządu argumentów Komisja Europejska zmieniła projekt rozporządzenia określającego zakres wsparcia Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego i Funduszu Spójności w latach 2021–2027, dodając nowy priorytet dotyczący wykorzystania potencjału kultury i turystyki nie tylko do ożywienia gospodarczego, lecz także społecznego rozwoju Europy – budowy innowacyjnego i kreatywnego społeczeństwa. Pierwotny projekt rozporządzenia z maja 2018 r. ograniczał możliwości finansowania projektów z zakresu kultury w stosunku do obecnej perspektywy finansowej. Wsparcie dla kultury miało być kierowane wyłącznie do inwestycji dotyczących dziedzictwa kulturowego wpływających na rozwój gospodarczy, realizowanych na poziomie lokalnym.

Rząd Zjednoczonej Prawicy udziela też specjalnego wsparcia twórcom w związku z pandemią koronawirusa. Tarcza antykryzysowa 4.0 pozwala instytucjom kultury – zarówno państwowym, jak i samorządowym – uzyskać dofinansowanie wynagrodzeń pracowników objętych przestojem ekonomicznym albo obniżonym wymiarem czasu pracy w następstwie wystąpienia epidemii. Wszystkie państwowe i samorządowe instytucje kultury, które odnotowały spadek przychodów w związku z pandemią, będą mogły zwrócić się z wnioskiem o przyznanie świadczeń na rzecz ochrony miejsc pracy. Większość rozwiązań dostępnych w ramach tarczy antykryzysowej, a także pomocy udzielanej przez samorządy, ma zastosowanie do sektora kultury, m.in. w ramach rządowych dopłat do wynagrodzeń pracowników, pomocy dla samozatrudnionych lub osób pracujących na umowach cywilnoprawnych, ulg podatkowych, zmian harmonogramów płatności rat podatkowych, pożyczek na pokrycie kosztów bieżących mikroprzedsiębiorstw oraz lokalnych obniżek czynszów.

W okresie lockdownu ministerstwo zainicjowało program „Kultura w sieci". W ramach tego projektu dotacyjnego prawie 1,2 tys. instytucji otrzyma dofinansowanie w wysokości przekraczającej 12 mln euro. W programie stypendialnym wsparcie otrzyma ponad 2 tys. twórców i artystów.

REKLAMA



42/0520/F

eprasa.pl 4fcee5af34



Co dalej po e-recepcie?

Fot. Andrzej Wiktor

Cyfryzacja w ochronie zdrowia to proces, w którym stopniowo pojawiają się nowe funkcjonalności ułatwiające Polakom dostęp do służby zdrowia. Po kilku latach od wprowadzenia pierwszych e-usług trudno sobie wyobrazić życie bez ich wsparcia. I właśnie dzięki postępowi w e-zdrowiu dajemy sobie radę w trudnych czasach pandemii. O dostępnych e-usługach w ochronie zdrowia, o tym jak Polacy z nich korzystają, z *Januszem Cieszyńskim*, wiceministrem zdrowia odpowiedzialnym za cyfryzację, rozmawia Anna Raciniewska

Zdrowie online to cały pakiet usług spiętych Internetowym Kontem Pacjenta. Z czego już mogą korzystać Polacy, a jakie funkcjonalności zostaną dodane niedługo?

Janusz Cieszyński: Bardzo dokładnie analizujemy, do czego Internetowe Konto Pacjenta jest używane w praktyce. Widzimy, że polscy pacjenci korzystają z możliwości dostępu do dokumentów od niedawna wystawianych elektronicznie, czyli np. e-recepty, ale także do funkcjonalności wcześniej dostępnych poprzez serwis Narodowego Funduszu Zdrowia – czyli informacji o finansowanych przez fundusz usługach. Do tych dwóch najważniejszych usług na Internetowym Koncie Pacjenta wkrótce dołączy e-skierowanie, nad którym obecnie intensywnie pracujemy. Ważną nowością na IKP jest możliwość samodzielnego sprawdzenia wyniku testu na koronawirusa. Plany rozwojowe konta dotyczą również rozszerzenia dostępu poprzez aplikację mobilną o nazwie „mojeIKP", co pozwoli mieć informacje medyczne zawsze pod ręką, w telefonie każdego pacjenta. Dzięki środkom finansowym z Unii Europejskiej – otrzymaliśmy 120 mln zł – rozpoczęliśmy prace nad kolejnymi funkcjonalnościami, takimi jak centralna rejestracja umożliwiająca zapisanie się na wizytę przez internet czy przekształcenie teleporady w wideoporadę, która dostępna jest na portalu **pacjent.gov.pl** w zakładce „E-wizyta". Ponadto e-recepty na choroby przewlekłe będą wydawane w sposób uproszczony i na IKP pojawi się możliwość składania wniosków o ich wystawienie już w momencie, gdy pacjent widzi, że leki się kończą.

Internetowe Konto Pacjenta jest centrum dowodzenia swoim zdrowiem: poprzez dostęp do wymienionych przez pana usług. Ma jednak szersze zastosowanie: poprzez udostępnianie wspierających profilaktykę zdrowotną funkcjonalności. Czy profilaktyka jest ważnym elementem troski o zdrowie?

Bardzo ważnym. Złota zasada mówi: lepiej zapobiegać, niż leczyć. Na Internetowym Koncie Pacjenta poza zestawieniem informacji na temat historii leczenia udostępniamy ankietę oceny własnego stanu zdrowia. Warto ją przeprowadzić i uzyskać informację o programach profilaktycznych udostępnionych przez Ministerstwo Zdrowia, dobranych specjalnie pod konkretne potrzeby pacjenta.

Jak została przyjęta przez Polaków e-recepta: czy chętnie korzystają z „przedłużania" recept bez wizyt w przychodniach?

Podczas epidemii okazało się, że e-recepta znacznie ułatwiła życie tym, którzy w normalnej sytuacji musieliby pójść do gabinetu lekarskiego. Nawet cztery na pięć wizyt odbywało się w formie teleporady, gdyż nie było konieczności odebrania recepty w postaci papierowego dokumentu. E-recepty stanowią dziś ponad 95 proc. wystawianych recept. Wprowadziliśmy także opcję wystawiania e-recepty ważnej przez rok

eprasa.pl 4fcee5af34

i z tej możliwości skorzystało już ponad milion pacjentów i ponad 18 tys. lekarzy. Dzięki temu, jeśli nasz stan zdrowia na to pozwala, na podstawie jednej wystawionej e-recepty systematycznie w ciągu roku wykupujemy przepisane leki.

E-wizyta jest usługą, która pozwala Polakom czuć się bezpiecznie. Dostępność 24/7, czyli pewność, że lekarz „przyjmie" nas zawsze. Jakie zasady obowiązują przy e-wizycie?

Teleporada to w praktyce rozmowa przez telefon. E-wizyta natomiast to konsultacja online z lekarzem lub pielęgniarką udzielana za pomocą wideorozmowy. Wystarczy wejść na stronę **pacjent.gov.pl** i tam zapisać się na e-wizytę, podając m.in. numer telefonu i adres e-mail, by otrzymać zwrotną informację o dostępności lekarza. E-wizyty są dostępne bardzo szybko: średni czas oczekiwania na naszej platformie wynosi 11 min w ciągu dnia i ok. godziny w nocy (22.00–7.00). Czas reakcji jest znacznie szybszy niż w przypadku, gdybyśmy mieli osobiście udać się do lekarza i taką pomoc uzyskać. Bywa jednak, że tradycyjna wizyta jest konieczna, o czym decyduje każdorazowo diagnozujący nas pracownik medyczny. Telemedycyna zawsze będzie uzupełnieniem systemu, który funkcjonuje w formie stacjonarnej.

Czas pandemii i wynikające z niej obostrzenia dotyczące pozostawania w domu mogły mieć dramatyczne skutki, gdyby nie możliwość e-wizyty. Czy ta usługa zostanie z nami, gdy koronawirus odejdzie?

Teleporada to był tylko wstęp, pierwszy etap, który zaplanowaliśmy jeszcze w ub.r. Kiedy w Polsce pojawił się koronawirus, zdecydowaliśmy uruchomić kolejne możliwości, w tym e-wizytę, aby ułatwić pacjentom zdalny dostęp do porady medycznej. Widzimy, że liczba e-wizyt systematycznie wzrasta, więc zamierzamy w ten kanał konsultacji inwestować i udostępnić go wszystkim podmiotom w Polsce. We współpracy z Chmurą Krajową tworzymy platformę, na której każdy lekarz będzie mógł świadczyć porady na odległość z wykorzystaniem wideo, bez ponoszenia dodatkowych kosztów, na podstawie jednego wystandaryzowanego interfejsu znanego pacjentom.

E-receptę zna prawie każdy Polak (93 proc.), a czterech na pięciu ocenia ją pozytywnie. Niemal 100% badanych nie ma problemu z jej realizacją. Dla 40proc. Polaków e-recepta to wygoda i ułatwienie

Badanie „Świadomość i postrzeganie Internetowego Konta Pacjenta", ARC Rynek i Opinia, kwiecień 2020

E-recepta, e-wizyta plus planowane e-skierowanie to kompleksowa opieka nad chorym. Czy to również sposób na skrócenie kolejek do gabinetów lekarskich: zarówno POZ, jak i specjalistów?

W przypadku e-skierowania chcemy wprowadzić bardzo ważny standard: wychodząc z gabinetu lekarskiego, chory będzie miał już umówioną następną wizytę. To bardzo uporządkuje ścieżkę pacjenta. Mówi się, że w polskim systemie ochrony zdrowia pacjent jest zagubiony. Aby to zmienić, wprowadzamy jako element e-skierowania informację: gdzie i kiedy ma udać się w następnym kroku. Mechanizmami NFZ chcemy premiować te placówki, które wystawiając e-skierowania, umawiają kolejną wizytę.

Rodzice chwalą sobie możliwość kompleksowego zarządzania zdrowiem całej rodziny w jednym miejscu. Lekarze z kolei otrzymali źródło wiarygodnych informacji dotyczących pacjenta w jednym miejscu. Czy warto się dzielić dostępem z zaufanymi osobami?

To jest bardzo indywidualna sprawa. Dane medyczne to najbardziej wrażliwe informacje. Ale taka możliwość istnieje i w niektórych przypadkach świetnie się sprawdza. Na przykład: jeśli opiekujemy się starszą, niesamodzielną osobą i potrzebuje ona leków. Po otrzymaniu od niej dostępu do Internetowego Konta Pacjenta możemy te leki wykupić w jej imieniu. Decyzja zawsze należy do pacjenta i musi on mieć pewność, że jego dane są bezpieczne u osób, którym udzielił pełnomocnictw. Jeśli chodzi o lekarzy – automatycznie dostęp posiada tylko lekarz pierwszego kontaktu. Pozostałe osoby pacjent wskazuje sam.

Jako że dane na temat naszego zdrowia to najbardziej wrażliwe informacje o nas, czy możemy mieć pewność, że system obsługujący e-zdrowie jest bezpieczny?

Dane są szyfrowane, dostęp jest bardzo ściśle kontrolowany. Nikt bez naszej wiedzy i zgody nie może do tych danych zajrzeć. Wprowadziliśmy też możliwość sprawdzenia na Internetowym Koncie Pacjenta, kto i kiedy ten dostęp do naszych danych uzyskał.

Z pewnością zdrowie online to wygoda pacjentów. A jak widzą go pracownicy ochrony zdrowia? Czy cyfryzacja kolejnych usług odejmuje im pracy papierkowej i pozwala zaoszczędzić czas, który mogą oddać pacjentowi?

Pewne uproszczenia, np. zmiany dotyczące dokumentacji medycznej, sprawiły, że nie trzeba prowadzić już ewidencji wydanych e-recept *pro familia* i *pro auctore*. Dla medyków to ważne, ponieważ oznacza rozszerzenie kręgu osób, którym można wystawiać takie recepty. Technologia docelowo eliminuje konieczność wykonywania rutynowych zadań administracyjno-urzędowych, a to pozwala lekarzom w większym stopniu skupić się na diagnostyce.

eprasa.pl 4fcee5af34



Bezpieczne wakacje z e-wizytą od ręki

Zbliżają się wakacje. Prawdopodobnie większość z nas w nadchodzące lato nie wyjedzie za granicę z obawy przed koronawirusem. To oznacza, że zamiast starań o kartę EKUZ musimy rozważyć, jak zabezpieczyć swoje zdrowie podczas wypoczynku w kraju. Rozwiązanie jest bardzo proste – e-wizyta, która umożliwia dostęp do lekarza z każdego miejsca w Polsce i o każdej porze dnia i nocy

Ostatnie miesiące były poligonem testowym dla usług e-zdrowia. Dziś już wiemy, że telemedycyna sprawdziła się w tych ekstremalnych warunkach. I choć nigdy nie zastąpi leczenia stacjonarnego, jest jego doskonałym uzupełnieniem. E-wizyta zapewnia dostęp do personelu medycznego przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Może z niej skorzystać każdy, kto źle się czuje, a nie ma możliwości skontaktować się ze swoim lekarzem rodzinnym. Podczas wypoczynku to także najszybszy sposób na rozwianie wątpliwości w niecodziennych sytuacjach, takich jak ukąszenie kleszcza czy zaobserwowanie niepokojącej zmiany skórnej. E-wizyta jest także najlepszym rozwiązaniem dla osób, które potrzebują e-recepty na leki, których zapomnieliśmy zabrać ze sobą na wakacje.

E-wizyta to konsultacja online z pracownikiem medycznym za pomocą wideorozmowy lub rozmowy przez telefon, w trakcie której pacjent uzyska zalecenia takie jak podczas tradycyjnej wizyty w przychodni. Lekarz przeprowadzi wywiad, odpowie na pytania, wystawi e-receptę i e-zwolnienie, jeśli zajdzie taka konieczność. W uzasadnionych przypadkach zaleci wizytę w placówce medycznej.

E-wizyta jest bezpłatną usługą Ministerstwa Zdrowia dostępną w serwisie **www.pacjent.gov.pl**. Aby z niej skorzystać, wystarczy mieć dostęp do internetu oraz komputera lub telefonu. Jeśli nasz komputer jest wyposażony w kamerę i mikrofon – podczas wideorozmowy będziemy widzieć i słyszeć się z pracownikiem medycznym.

JAK „ZAREJESTROWAĆ SIĘ" NA E-WIZYTĘ?

1. Wejdź na stronę **www.pacjent.gov.pl/ewizyta**
2. Wypełnij formularz zgłoszeniowy, podając swoje dane osobowe, numer telefonu, adres e-mail, a także informacje o miejscu pobytu. Możesz wybrać, czy ma być to wizyta lekarska czy pielęgniarska.
3. Instrukcje techniczne otrzymasz e-mailem. Kiedy termin twojej konsultacji będzie się zbliżać, otrzymasz SMS z taką informacją.

Średnia długość e-wizyty to ok. 20 minut. Od uruchomienia e-wizyty skorzystało z niej prawie 3000 pacjentów z całej Polski, najwięcej z Warszawy, Krakowa i Wrocławia.

E-wizyta zapewnia nam szybki i łatwy kontakt z lekarzem lub pielęgniarką. Dzięki temu możemy spokojnie spędzać wakacyjny czas na łonie polskiej przyrody.

Anna Raciniewska

Jak przygotować się do e-wizyty?

1. Zdecyduj, czy chcesz połączyć się za pomocą rozmowy wideo czy telefonicznej.
2. Miej pod ręką numer PESEL, datę urodzenia, adres e-mail, numer telefonu.
3. Sprawdź, czy komputer spełnia wymagania techniczne. Postępuj według instrukcji otrzymanej e-mailem.
4. Przygotuj coś do pisania i znajdź spokojnie miejsce do rozmowy.
5. Zastanów się, o co chcesz spytać. Spisz swoje objawy, historię choroby oraz jakie leki przyjmujesz.
6. Bądź punktualny. Jeśli nie podłączysz się o wyznaczonej godzinie, trafisz na koniec kolejki.
7. W trakcie e-wizyty zapisz dokładnie wszystkie zalecenia medyczne.

Otrzymasz:

- ✓ poradę medyczną
- ✓ e-receptę
- ✓ e-zwolnienie

Potrzebujesz:

- komputer
- telefon
- adres e-mail
- dostęp do internetu

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 44/0420/F

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4fcee5af34

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

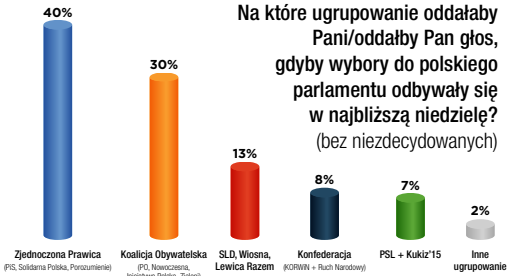
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

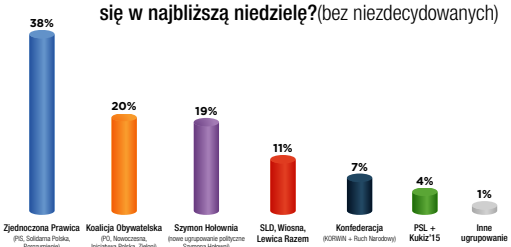
FOT. NA OKŁADCE: GRZEGORZ BUKAŁA / REPORTER / EASTNEWS, GEOFFROY VAN DER HASSELT / POOL / PAP / EPA, EASTNEWS, JULITA SZEWCZYK, SHUTTERSTOCK (5)

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

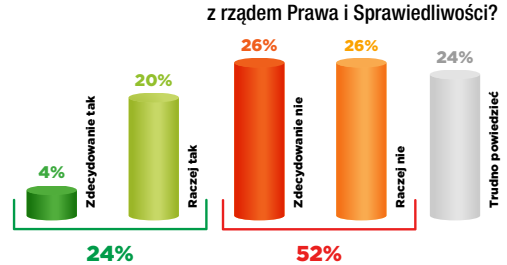
Na które ugrupowanie oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



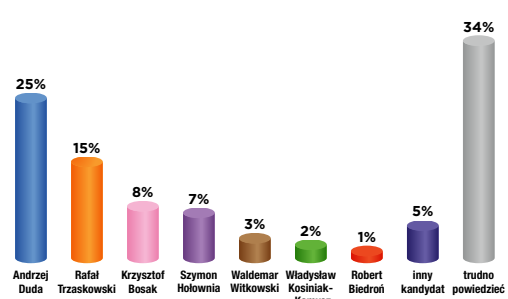
Szymon Hołownia zakłada własną partię (ugrupowanie polityczne). Na które ugrupowanie oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Jak Pani/Pan ocenia, czy Rafał Trzaskowski, jeśli zostanie prezydentem Polski, będzie współpracował z rządem Prawa i Sprawiedliwości?



Który z kandydatów na prezydenta wygrał niedawną prezydencką debatę telewizyjną organizowaną przez TVP? (osoby deklarujące chęć głosowania w wyborach)



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1066.

Zakres czasowy badania 19–23 czerwca 2020 r.

eprasa.pl 4fcee5af34

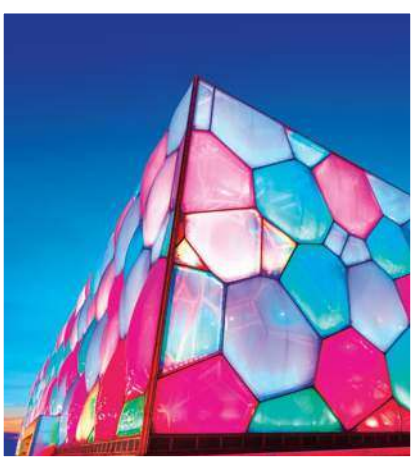
ZDJĘCIA Z PODRÓŻY *Przemysława Babiarza* PRZED KORONAWIRUSEM





Chiny, 2015

Zdjęcie z mistrzostw świata w lekkiej atletyce w Pekinie. Stoję na tle Pałacu Cesarskiego. Jest to ogromny obiekt, w którego obrębie znajduje się 800 pałaców, mniejszych dziedzińców i placów. Na przestrzeni wieków był niszczony przez najeźdźców, ale potem skrupulatnie odbudowywany. Ciekawostką jest to, że podczas rewolucji kulturalnej na terenie tzw. Zakazanego Miasta funkcjonowało wojsko, które chroniło pałac przed zniszczeniem przez komunistyczne bojówki hunwejbinów.



W Chinach to była moja druga wizyta. Siedem lat wcześniej komentowałem zawody na igrzyskach olimpijskich. Mieszkaliśmy nawet w tym samym hotelu. Wówczas znajdował się on na terenie wioski medialnej. Do basenu – słynnej „kostki" – którego kafelki świeciły różnobarwnymi kolorami, miałem 10 min spacerkiem, a na zawody lekkoatletyczne kwadrans.



Podczas drugiej wizyty z kolegami mieliśmy okazję porównać, jak przez te lata obiekty olimpijskie się zmieniły z powodu wiatrów nanoszących piasek znad pustyni Gobi.

Bałtyk, 2018



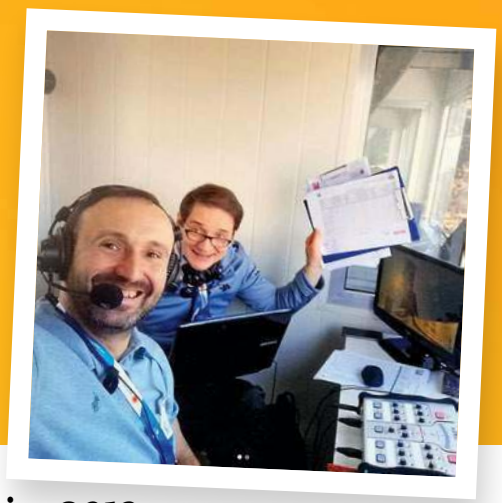
Uwielbiam z żoną jeździć nad polskie morze w okresie, gdy jest bardzo mało ludzi i plaże nie są pokryte parawanami. Zwłaszcza że nasz kochany labrador Akson lubi swobodnie hasać po piasku i kąpać się w morzu. Dlatego jeździmy na początku maja, po długim weekendzie, albo we wrześniu. Mamy swój ulubiony położony na wysokim klifowym nabrzeżu pensjonat w Jastrzębiej Górze, z którego tarasu roztacza się zapierający dech w piersi widok.

Katar, 2019

Mistrzostwa świata w stolicy Kataru Dausze, 2019 r. To była jedna z ostatnich imprez sportowych, która naprawdę się udała tuż przed koronawirusem. Na zdjęciu ze stanowiska komentatorskiego jestem z Sebastianem Chmarą oraz Anitą Włodarczyk, naszą mistrzynią olimpijską w rzucie młotem. Anita z powodu kontuzji, której nabawiła się w okresie przygotowawczym, na te zawody pojechała w charakterze obserwatora i naszej ekspertki. Choć mistrzostwa lekkoatletyczne zazwyczaj rozgrywają się w sierpniu, te ze względu na upały panujące na Półwyspie Arabskim odbyły się w październiku. Dodatkowo na stadionie zostały zamontowane dmuchawy chłodzące, dzięki czemu sportowcy zmagali się w temperaturze nieprzekraczającej 25 st. Celsjusza. W tym czasie poza obiektem sportowym było o co najmniej 10 st. więcej.



eprasa.pl 4fcee5af34

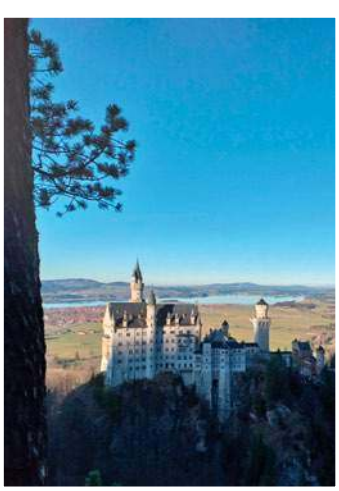


Austria, 2019

Fotografia wykonana podczas mistrzostw świata w skokach narciarskich, na których zawody odbywają się na słynnej Bergisel – skoczni olimpijskiej w Innsbrucku, i na trochę mniejszej, znajdującej się w Seefeld. I to właśnie na tej drugiej wydarzył się cudowny „wypadek". Dawid Kubacki zajmujący 27. miejsce po pierwszej serii wskoczył na najwyższy stopień podium, a Kamil Stoch z 18. pozycji awansował na drugą. Wszystko to zdarzyło się nie bez wpływu trudnych warunków atmosferycznych, gęsto padającego śniegu. A dla nas, komentatorów, to była próba charakterów. Łatwo było zwątpić na półmetku, na szczęście z Sebastianem Szczęsnym nie straciliśmy wiary do końca.

Niemcy, 2020

Na początku 2020 r., po Turnieju Czterech Skoczni, udaliśmy się z Sebastianem Szczęsnym i Maćkiem Kurzajewskim zwiedzić zamek Ludwika Bawarskiego z połowy XIX w. – Neuschwanstein, znany m.in. jako motyw w logotypie Disneya. Ta eklektyczna budowla, położona nad przepaściami i wodospadami, ściąga co roku tysiące turystów z nadreprezentacją Rosjan i Azjatów. Trasy turystyczne pozwalają na obejrzenie zamku z różnych stron, m.in. z kładki zawieszonej nad 300-metrową przepaścią, na którą wchodzi się gęsiego na miękkich nogach. Najsłabszą stroną tej wyprawy była kawa, którą zamówiliśmy w restauracji widokowej.



Spisał ***Michał*** ***Korsun***
Bohaterem materiału jest dziennikarz i komentator sportowy TVP, mówca motywacyjny, prowadzący szkolenia i wykłady z zakresu power speech

zdjęcia użyte w materiale: Przemysława Babiarza, Sebastiana Szczęsnego, Shutterstock

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wspaniałe zrównanie ras



Dominik Zdort

Równość. Kobiety ponoć są równe mężczyznom i mają takie same zdolności, a na mówienie o tym, że są mniej zdecydowane, mogą już sobie pozwolić tylko wściekli mizogini skręcający w lewo na skrzyżowaniu. A już nie daj Boże stwierdzić, że lepiej nadają się na pielęgniarki, bo są bardziej empatyczne – taki komplement to dziś obraza.

Podobno także małżeństwo, które wychowuje pięcioro własnych dzieci, ma taką samą wartość jak para gejów adoptująca małego chłopca z Wietnamu.

I największa oczywista oczywistość: czarni są tacy sami jak biali. Tylko rysy i kolor skóry się różnią. Umysł, organy ciała – w żadnym wypadku, a każdy, kto temu przeczy, jest rasistą.

W świetnej książce „Gen. Ukryta historia" Siddhartha Mukherjee gdzieś na marginesie głównej narracji opowiada historię mierzenia ilorazu inteligencji w USA. Do pewnego momentu czarni wypadali znacznie gorzej niż biali. Początkowo przypisywano to wrodzonej rasowej słabości, później tłumaczono, że to kwestia wielowiekowych obciążeń społecznych – począwszy od niewolnictwa. Ale nagle, gdzieś ok. lat 70. XX w., wyniki pomiaru inteligencji u białych i czarnych niemal z dnia na dzień się wyrównały. Czarni okazali się równie bystrzy jak biali.

Co się stało? Jakiś cud? Nie, po prostu zmodyfikowano testy, a przede wszystkim ich interpretację. Cechy i zdolności, które częściej występowały u Murzynów, a dotąd nie były uważane za świadczące o inteligencji, teraz zaliczono do pozytywnych. W ten sposób błyskawicznie osiągnięto wspaniałe zrównanie ras.

Piszę o tym dlatego, że w jednej z gazet, w tej najpoprawniejszej z poprawnych, pojawiła się właśnie informacja, iż przyczyną wysokiej śmiertelności Afroamerykanów na COVID-19 (siedmiokrotnie większej niż u białych) jest... kolor skóry. Autor – rzecz jasna – nie pozwala sobie na żadne niebezpieczne rasowe konkluzje. Ale stwierdza wprost: to komórki ciemnej skóry zwiększają niebezpieczeństwo śmierci.

Nie napisałem tego wszystkiego powyżej po to, żeby stwierdzić, że ktoś jest gorszy. Chodzi o to, że kobiety i mężczyźni, geje i normalnoseksualiści, czarni i biali w żadnym wypadku nie są równi i nie warto na siłę takiej równości narzucać. Jesteśmy różni, mamy różne talenty i cechy. I dobrze by było, żeby każdy robił to, co potrafi najlepiej. Bo przecież „biali nie potrafią skakać".

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 4fcee5af34

„Wojna Gdańska z Polską” nagrodzona. SDP honoruje artykuł tygodnika „Sieci”



Nasi koledzy redakcyjni Marcin Wikło, Marek Pyza i Andrzej Rafał Potocki zostali uhonorowani drugą główną Nagrodą Wolności Słowa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za opublikowany 1 lipca 2019 r. w tygodniku „Sieci” artykuł „Wojna Gdańska z Polską”.

Jury stwierdziło, że był to „znakomicie udokumentowany, obszerny artykuł, rzetelnie przedstawiający fakty z wielowątkowej historii Gdańska oraz jego dzień dzisiejszy”.

Nagroda przyznawana jest za publikacje w obronie demokracji, praworządności, demaskujące nadużycia władzy, korupcję, naruszanie praw obywatelskich i praw człowieka.

Jury przypomniało, że za odważne stawianie pytań władze miasta wytoczyły dziennikarzom tygodnika „Sieci” proces.

Główną Nagrodę Wolności Słowa SDP otrzymał Mariusz Pilis za film „Sprawiedliwość” wyemitowany w październiku 2019 r. w TVP.

Gratulujemy!



Z kulturą w podróżnej torbie

Z Kaliną Cyz, redaktor naczelną TVP Kultura, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Co to znaczy, że kanał TVP Kultura zyska tego lata wymiar „kieszonkowy”?

Kalina Cyz: Pandemia pokrzyżowała plany wakacyjne. Wielu z nas zapewne tegoroczne lato spędzi w Polsce. To świetna okazja do podróży po kraju. Z tej okazji zespół TVP Kultura postanowił przygotować specjalną wakacyjną ofertę programową, która stanowi doskonałe uzupełnienie krajoznawczych wycieczek. Już od 26 czerwca nasze audycje dostępne będą także w internecie, na kanale streamingowym TVP Kultura 2. Dzięki temu śledzić je będzie można za pośrednictwem laptopów i urządzeń mobilnych.



Co zaproponujecie na tym kanale?

Nie będzie to dokładne powtórzenie programu antenowego. Mamy tu trzy czterogodzinne bloki oraz pasmo powtórkowe. W ramach bloku premierowego pokażemy, jak na nowo zakochać się w Polsce. Odwiedzimy regiony, od Lubelskiego po Kujawsko-Pomorskie...

Będziemy pokazywać także programy, z których jesteśmy bardzo dumni, a więc m.in.: „Pomniki historii”, „Zaginione skarby”, „Szlakiem Kolberga”, posłuchamy „Dzikiej muzyki”.

Kolejny blok, czyli „Kultową kulturę”, wypełnią uwielbiane przez widzów filmy i seriale. Specjalne pasmo poświęciliśmy wydarzeniom kulturalnym, które z powodu pandemii odbywają się wyłącznie internecie (to pasmo tworzymy we współpracy z NCK). Przez najbliższe miesiące będziemy po trosze filharmonią, operą, salą koncertową, teatrem, klubem... Zaproponujemy bardzo dużo bardzo różnej muzyki.

Czy łatwo będzie dotrzeć do waszej wersji streamingowej?

15. urodziny TVP Kultura świętowaliśmy 24 kwietnia właśnie na platformie streamingowej. Bez specjalnej reklamy wydarzenie to przyciągnęło tylu widzów, że momentami byliśmy najlepiej oglądanym kanałem na TVP. VOD. Myślę więc, że z dotarciem do nas nie będzie problemu. Serdecznie zapraszamy.

Fot. Materiały prasowe TVP

Reklama | 50/0520/F

eprasa.pl 4fcee5af34

HUAWEI

Najlepsze **aplikacje** pobieraj ze **sklepu HUAWEI**



ODKRYWAJ W
AppGallery

eprasa.pl 4fcee5af34



Trzaskowski, czyli



MAREK PYZA

Dla Rafała Trzaskowskiego wyścig prezydencki był dotychczas spacerkiem. Wszedł weń jako wypoczęty zawodnik „na podmęczonego rywala" i w ciągu kilku tygodni zbudował sobie wizerunek mocno odbiegający od rzeczywistego. Wszystko, czego kandydat Platformy Obywatelskiej mógł się obawiać, pozostawało w cieniu. Jakim człowiekiem naprawdę jest Rafał Trzaskowski? Jakie ma poglądy? Jak kształtowała się jego kariera polityczna?

Aż dziwne, że sztaby rywali nie poszukały odpowiedzi na te pytania. Prezydent Warszawy to bowiem postać w wielu sferach tajemnicza. Przejście przez pierwszą turę suchą stopą zawdzięcza tylko temu, że kampania (z jego udziałem) trwała zaledwie trzy tygodnie, a także żelaznej konsekwencji, z którą ignorował wszystkie

eprasa.pl 4fcee5af34



Prezentacja Zespołu Doradców Rafała Trzaskowskiego ds. Obrony i Bezpieczeństwa Polski. Od lewej: Jarosław Stróżyk, Anatol Wojtak, Rafał Trzaskowski, Mieczysław Cieniuch, Piotr Pytel

Fot. Jan Bielecki/East News

kto?

zaproszenia do mediów, w których wywiady mogły być dla niego trudne. Niewykluczone, że gdyby rywalizował według reguł obowiązujących wszystkich pretendentów, dziś mógłby już skupiać się (albo i nie) na obowiązkach w stolicy.

TAJNY PROGRAM

Dotychczas w historii światowych demokracji ubieganie się o publiczne stanowiska – a w szczególności te najwyższe – wiązało się z przedstawieniem wyborcom programu, czyli nie tylko wizji urzędowania, ale i zbioru najważniejszych postulatów, planów, projektów, które kandydat obiecuje zrealizować po zwycięstwie.

Wiceszef PO to jednak prekursor nowej (czy lepszej?) polityki, który nie ogląda się na archaizmy i za wszelką cenę chce udowodnić, że bez programu też się da. Może to rodzaj partyjnej przypadłości, bo dość zabawne kłopoty z odnalezieniem programu miała przecież na swojej inauguracyjnej konwencji oryginalna kandydatka Platformy. Małgorzacie Kidawie-Błońskiej książeczka z programem gdzieś się zagubiła. Jej dubler z premedytacją go schował.

Dopiero na ostatniej prostej, ostro dociskany, pękł. Wyborcom dał trzy dni na zapoznanie się z tą twórczością. Opublikował kilkudziesięciostronicową prezentację wieczorem przed ostatnim dniem kampanii. Umiłowane wolne media dostały jeszcze mniej – mogą się nią zajmować tylko przez 30 godzin. A może o to właśnie chodziło? O narzucenie agendy na samym finiszu? Efekt? Nie sposób podejść do tego poważnie.

Ale zerkamy do środka. Już przy wstępie zapala się czerwona latarnia. „Wierzę, że obowiązkiem prezydenta jest znosić podziały i budować wspólnotę Polek i Polaków". To prawda, ale nie da się tego robić, zatrudniając w swojej kancelarii (skoro w ratuszu można?) największego internetowego hejtera z SokuzBuraka.

Dalej losowo wybrane fragmenty. „Wspólnie z rektorami uczelni medycznych i izbami lekarskimi zadbam o to, aby na studiach medycznych było więcej studentów, a ich liczba na specjalizacjach odpowiadała zapotrzebowaniu w kraju". Wow! A w jaki sposób zadba? Publicznie pytamy.

A może coś z podsumowania? „Mam wsparcie naszych najważniejszych partnerów z zagranicy oraz doświadczenie współpracy z nimi". Tak brawurowo dzień po spotkaniu Duda–Trump?

Ostatnia szansa. Uruchamiamy maszynę losującą... Edukacja. „Odchudzenie podstawy programowej i dostosowanie jej do wymogów współczesności. Obecnie obejmuje ona zbyt wiele treści i teorii. Uczniowie potrzebują więcej czasu na rozwijanie kompetencji, a mniej na wkuwanie informacji". O, zgrozo! To da się to jeszcze okroić? Na szczęście Trzaskowski nie będzie miał tego dylematu, bo nie kandyduje na stanowisko ministra edukacji. Czyli jednak niepoważne.

Jak i wcześniej w kampanii, gdy co chwilę wyłapywano rozbieżności pomiędzy tym, co głosił kiedyś, a tym, co mówi dziś, gdy próbuje przeprowadzić się do pałacu prezydenckiego.

DUBLER Z ZAWODU

Trzeba jednak przyznać, że to wierny żołnierz, który wypełni każdą misję zleconą przez przełożonych. Gdy jasne się stało, że Hanna Gronkiewicz-Waltz nie może po raz kolejny starać się o prezydenturę w stolicy, bo oddania przez nią losu tysięcy lokatorów w ręce mafii reprywatyzacyjnej już nie da się zapudrować, Trzaskowski zgodził się wcielić w rolę „nowej jakości" w warszawskiej Platformie. Wcześniej kandydował do Sejmu i Parlamentu Europejskiego jako polityk z Krakowa. W 2018 r. już całe serce oddał Warszawie i przekonał jej mieszkańców, że nie ma wiele wspólnego z ekipą HGW. A przecież w 2010 r. kierował jej kampanią wyborczą – skuteczną, co okazało się znakomitą wiadomością dla rzekomych ponadstuletnich kamieniczników.

Wielokrotnie zapewniał, że wypełni kadencję w stolicy, że tak się umówił z warszawiakami. Jednak nadszedł rok 2020 i na wezwanie partii znów trzeba było zmienić zdanie, gdy okazało się, że pierwszy wybór Platformy w wyborach prezydenckich może tę formację zatopić. Wcale nie chodziło o zwycięstwo w tej rywalizacji, a jedynie o ratowanie tonącego ugrupowania.

Widocznie na tym właśnie zależało Donaldowi Tuskowi, bo to on jest politycznym patronem Trzaskowskiego. Gdyby tylko miał szanse w walce o prezydenturę, były premier sam by wystartował. Jednak wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że powtórzyłby się scenariusz z 2005 r., a to największa trauma w karierze Tuska, boląca go do dziś. Dlatego wskazał na prezydenta Warszawy. Zainwestował w niego i oddelegował dlań najwierniejszych druhów. O kształcie kampanii decydują m.in. były szef kancelarii Tuska Sławomir Nowak oraz jego główny piarowiec Igor Ostachowicz.

eprasa.pl 4fcee5af34

– Można powiedzieć, że to jest dubler Donalda – mówi nam polityk PO znający kulisy brukselskich układanek. I dodaje: – Przy tej akcji uruchomienia zagranicy przeciwko rządowi, gdy Trzaskowski pisał rezolucję Parlamentu Europejskiego wymierzoną w Polskę, był wykonawcą poleceń Tuska. On wszystkim zarządzał z tylnego siedzenia. Przyjmował delegacje KOD i innych odłamów polskiej opozycji, rozdzielał robotę. Wszystko szło z biura przewodniczącego Rady Europejskiej.

Nasz rozmówca przypomina, że to Tusk ściągnął Trzaskowskiego do rządu i właśnie wtedy dzisiejszy kandydat na prezydenta wszedł do ścisłego kręgu ludzi ekspremiera.

KONFLIKT Z BUDKĄ

Dziś Trzaskowski ratuje Platformę, ale dla kogo? Dla Tuska? To możliwe. A może dla siebie? – To mało prawdopodobne. Nie jest zbyt dobry w zarządzaniu i nie lubi się tym zajmować. Nie sądzę, by miał ambicje przejąć partię – mówi nam polityk, który przez kilka lat współpracował z wiceszefem PO. Jak dodaje, na pewno nie jest to gest wobec Borysa Budki, bo obu panom nie jest ze sobą po drodze.

Większość doniesień o ich konflikcie jest prawdziwa. Jednak nie wszystkie jego oznaki zostały zauważone. Od polityków PO słyszymy taką relację dotyczącą wiecu w Poznaniu: – Chciał tam wystąpić również Borys. Jednak nie dopuścił do tego Sławek Nitras, który go wręcz fizycznie zatrzymał. Ostatecznie Budka pojawił się na chwilę na scenie – gdy prezydent Poznania witał swojego warszawskiego odpowiednika. Ale do głosu go nie dopuszczono. Dziś Budka marzy o tym, by Trzaskowski przeprowadził się do Pałacu Prezydenckiego i najlepiej wziął ze sobą Nitrasa jako ministra, dla którego byłoby to spełnienie marzeń. To nie jest dziwne. Często niepanujący nad emocjami poseł ze Szczecina przynosi partii więcej kłopotów niż pożytku.

Partii, od której jej wiceprzewodniczący próbuje się nieco odkleić. – Szyld Platformy jest obciążeniem. Dlatego budują wizerunek kandydata pozapartyjnego. Dostrzegamy to na naszych spotkaniach. Ludzie traktują Trzaskowskiego nie jako wiceszefa PO, lecz prezydenta Warszawy, samorządowca, człowieka bez etykietki partii. To niepojęte – nie może się nadziwić osoba ze sztabu Władysława Kosiniaka-Kamysza.

GENERAŁOWIE OD TUSKA

Jeśli jednak przyjrzeć się zapleczu Trzaskowskiego, okaże się, że nie idzie z nim żadne nowe, lecz wraca stare. I to w tym najgorszym wydaniu. 16 czerwca ogłosił powołanie Zespołu Doradców ds. Bezpieczeństwa i Obrony Polski (pisanego wielkimi literami, ale nie wiadomo, czy to jakieś formalne ciało, np. w strukturach ratusza, czy tylko taka kampanijna zabawa). Wśród osób, które miałyby być zapleczem eksperckim dla przyszłego prezydenta w obszarze wojskowości znalazł się m.in. gen. Piotr Pytel, były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego w czasie rządów Tuska i Ewy Kopacz. Ciążą na nim prokuratorskie zarzuty przekroczenia uprawnień przy współpracy z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa. To on świetnie się bawił na zakrapianych imprezach z funkcjonariuszami kremlowskich służb i chętnie pozował do zdjęć w marynarskiej czapce z krążownika „Aurora".

Kolejnym doradcą Trzaskowskiego jest gen. Radosław Kujawa, szef Służby Wywiadu Wojskowego w latach 2008–2015. Podobnie jak Pytel po 2015 r. uczestniczył on w pracach Zespołu Śledczego Platformy Obywatelskiej ds. Zagrożeń Bezpieczeństwa Państwa, czyli partyjnego ciała, które w zamyśle nie miało nic ponad atakowanie obecnej władzy. Gdy Kujawa kierował SWW, miał – według doniesień „Dziennika" – tuszować głośną sprawę zaginięcia szyfranta Stefana Zielonki.

Na liście figuruje też gen. Jarosław Stróżyk, były koordynator wywiadów wojskowych państw NATO. Dziś głównie walczący z dobrą zmianą na Twitterze i wiceszef Fundacji Stratpoints (kierowanej przez innego antypisowskiego gen. Mirosława Różańskiego). W tym gronie nie mogło zabraknąć gen. Mieczysława Cieniucha, byłego szefa Sztabu Generalnego WP, szkolonego jeszcze w Moskwie.

Przy takiej ekipie nie powinno dziwić, że przedstawiony przez Rafała Trzaskowskiego pomysł na polskie wojsko (przypomnijmy, prezydent jest zwierzchnikiem Sił Zbrojnych RP) to audyt i Trybunał Stanu dla Antoniego Macierewicza (który ministrem nie jest już od trzech lat). Oraz zapewne uczynienie wspomnianych panów ważnymi figurami w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego.

To też sygnał „nie zostawimy was" skierowany do ludzi dawnych służb, z którymi bez skrupułów obeszły się rządy PiS. Nie kto inny, a gen. Cieniuch towarzyszył Tomaszowi Siemoniakowi, który w kampanii samorządowej we wrześniu 2018 r. na spotkaniu z emerytami mundurowymi zapowiadał, że PO „odwróci krzywdzącą i opartą na odpowiedzialności zbiorowej" ustawę dezubekizacyjną.

CO PAN MA NA MYŚLI?

Wśród osób, które znają Trzaskowskiego – również z drugiej strony politycznej barykady – panuje zgodna opinia, że to bystry facet. – Był zdolnym studentem, dlatego został asystentem Jacka Saryusza-Wolskiego, gdy ten stał na czele Centrum Europejskiego Natolin, a później współpracował z nim w Parlamencie Europejskim. To otworzyło mu drzwi do wielkiej kariery politycznej – mówi nam jeden z byłych europosłów z kadencji 2009–2014 (gdy w PE zasiadał również Trzaskowski).

Jak dodaje, trudno precyzyjnie zdiagnozować przekonania kandydata PO na prezydenta. – On się krył z poglądami. Jacek wiedział, że Rafał jest liberałem, ale nie sądził, że w sprawach światopoglądowych aż tak skręca w lewo. Edukację zdobył w USA dzięki ojcu jazzmanowi. Można powiedzieć, że jest produktem amerykańskim. Świetnie mówi po angielsku, kończył amerykanistykę. W USA obracał się w kręgach bohemy, o której na pewno nie można powiedzieć, że jest konserwatywna. Ale jednocześnie jest

eprasa.pl 4fcee5af34



Fot. Andrzej Hulimka/REPORTER

w stanie przemalować się na dowolny kolor. To sprawny umysł, ale przy tym człowiek bez kręgosłupa.

To by wyjaśniało, skąd ten problem z programem Trzaskowskiego. Trudno się dziwić sztabowcom, którzy mieli poważny dylemat: ile ma w nim być kampanijnego picu, a ile prawdziwych poglądów kandydata. Przecież to, co dziś głosi Trzaskowski w sprawach obyczajowych (jest „za związkami partnerskimi", ale jak ognia unika odpowiedzi na pytania o małżeństwa homoseksualne), stoi w radykalnej sprzeczności z tym, z czego się zwierzał przed dwoma laty na kozetce u Moniki Olejnik („Bardzo bym chciał być pierwszym prezydentem Warszawy, który mógłby udzielić ślubu parze homoseksualnej").

Tych niekonsekwencji jest więcej. Nawet jeśli zapomniał, że w 2016 r. jako poseł głosował przeciw obniżeniu wieku emerytalnego, to przecież tak było. Dziś jednak stał się już gorliwym obrońcą zmian wprowadzonych przez PiS.

W ub. tygodniu nie chciał ujawnić swojej opinii na temat budowy w Polsce elektrowni atomowej i domagał się „rozpoczęcia dyskusji" w tej sprawie. A przecież, jak cała Platforma, już przed dekadą był za tą inwestycją – w 2010 r. powołano spółki PGE E1 i PGE E2 przeznaczone do przygotowania elektrowni jądrowej.

Zapowiada „ustawę skromnościową", ale – jak podał były warszawski radny, a dziś poseł i wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta – przeciętne wynagrodzenie 133 najbliższych współpracowników Rafała Trzaskowskiego w warszawskim ratuszu wynosi 16,3 tys. zł.

Aż tyle nie zarabia Mariusz Kozak-Zagozda, twórca i mózg hejterskiego SokuzBuraka. Za pracę w biurze marketingu stołecznego Urzędu Miasta dostaje on niespełna 9 tys. zł. Ale na szczęście partia wynagradza go dodatkowo, zatrudniając jako stałego pracownika oraz realizując umowy współpracy z klubem parlamentarnym oraz komitetami wyborczymi we wszystkich elekcjach od 2018 r.

Trzaskowski nie grzeszy również skromnością osobistą. Od byłego polityka PO słyszymy: – Ma o sobie bardzo wysokie mniemanie, uwielbia brylować w towarzystwie (zwłaszcza damskim), więc nie dziwcie się tym kampanijnym ustawkom z pytaniami po francusku czy angielsku od zagranicznych dziennikarzy. Gdy może błysnąć, jest w swoim żywiole. To narcyz.

Musiał więc docenić wpuszczenie do wyjątkowego klubu, światowej elity, za jaką uchodzi Grupa Bilderberg (po raz pierwszy uczestniczył w jej spotkaniu w ub.r., z Polski towarzyszyli mu Radosław Sikorski i... dziennikarka Jolanta Pieńkowska). To międzynarodowe stowarzyszenie wpływowych osób ze świata polityki i wielkich korporacji, które spotyka się raz w roku w Szwajcarii. Niekiedy mówi się o nim, że próbuje pełnić funkcję światowego rządu. Jego sposób funkcjonowania, a także korzenie założycieli nasuwają skojarzenia z masonerią. Faktem jest, że ich obrady są absolutnie tajne. Zupełnie jak (do ostatniego dnia kampanii) program wyborczy Rafała Trzaskowskiego.

eprasa.pl 4fcee5af34



Siła przepływów

Bilans transferów głosów przed drugą turą wyborów prezydenckich jest korzystny dla Andrzeja Dudy



STANISŁAW JANECKI

Najważniejsze pytanie przed drugą turą wyborów prezydenckich dotyczy tego, komu i ile przepłynie głosów od kandydatów, którzy do niej nie weszli. A za tym podstawowym idą pytania o skłonność elektoratów „przegranych" kandydatów do popierania kogoś innego (drugi wybór, wybór rezerwowy, mniejsze zło). O poziom determinacji w głosowaniu na kandydata niebędącego pierwszym wyborem. O samoocenę przywiązania do kandydatów i reprezentowanych przez nich wartości. O znaczenie własnego wyboru wobec wyboru perswadowanego bądź narzucanego. O stosunek do transakcji zawieranych między zwycięzcami a przegranymi. O traktowanie zachęt, sugestii, wskazań czy poleceń własnego przegranego kandydata oraz obietnic bądź miraży, a nawet szantażu moralnego tego, który przeszedł do drugiej tury. O wartość własnych, autonomicznych preferencji i decyzji wyborczych. O skłonność do identyfikowania się z realnymi, sugerowanymi bądź zmanipulowanymi ogólnymi trendami.

Problemem jest to, że choć wyborcami daje się do pewnego stopnia manipulować, wdrukowywać im preferencje, mamić ich, a nawet zastraszać i szantażować, nie da się im wmówić, że pomarańcza jest tym samym, czym są cytryna, jabłko, kiwi, melon bądź truskawka. A tym bardziej nie jest pomidorem, ogórkiem, ziemniakiem czy kapustą. Macherzy od politycznego marketingu chcieliby oczywiście, żeby wyborcy byli pionkami i dawali się dowolnie przesuwać, ale to nie takie proste.

Te zastrzeżenia są potrzebne, aby nie traktować projekcji dotyczących drugiej tury wyborów prezydenckich, popartych siłą (przewagą) mediów, a nawet realizowanych z pomocą dużej dawki przemocy symbolicznej oraz mniejszej porcji rzeczywistej, jako czegoś przesądzonego i w dużym stopniu deterministycznego. Gdyby tak było, pojedynek zwycięzców pierwszej tury nie byłby wolnym wyborem.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4fcee5af34

REMIS MNIEMANY

Prognozy przed pierwszą turą (28 czerwca) dawały Andrzejowi Dudzie zwycięstwo na poziomie – 40–47 proc. głosów. Na drugim miejscu plasował się Rafał Trzaskowski mogący liczyć na 25–30 proc. Po 1989 r. tylko raz zwycięzca pierwszej tury nie został prezydentem: w 2005 r. Donald Tusk wygrał w pierwszej z Lechem Kaczyńskim w stosunku 36,3 do 33,1 proc., aby w drugiej przegrać 46 do 54 proc. To ważna prawidłowość w kontekście transferu poparcia, szczególnie przy dużej różnicy między zwycięzcą a tym drugim, jak zdarzyło się w 1990 r., gdy w pierwszej turze różnica między Lechem Wałęsą a Stanisławem Tymińskim wynosiła 16,9 proc.

Podstawowym problemem w określeniu nie tylko zbliżonego do rzeczywistego poziomu poparcia, lecz też ewentualnych transferów głosów jest to, że „badania" przepływów wyborców często mają skłonić do oczekiwanych zachowań przy urnie. Są też oczywiście rzetelne sondaże, ale i one mogą pełnić funkcje inspiratorskie. Mamy więc znacznie więcej projekcji na konkretne zamówienie niż opisanych rzeczywistych tendencji.

Wyborcy mają do dyspozycji badania przepływów w drugiej turze, np. pracowni Pollster dla „Super Expressu" czy instytutu IBRIS dla Wirtualnej Polski. Wedle danych zaprezentowanych przez te sondażownie wyborcy Szymona Hołowni w 74 proc. poparliby Rafała Trzaskowskiego, a w 17 proc. Andrzeja Dudę (Pollster) oraz w 74 proc. i 7 proc. (IBRIS). Wyborcy Władysława Kosiniaka-Kamysza w 63 proc. głosowaliby na Trzaskowskiego, a w 17 proc. na Dudę (Pollster) i odpowiednio w 70 proc. oraz w 9 proc. (IBRIS). Dla wyborców Roberta Biedronia preferencje wyglądałyby następująco: 85 proc. i 7 proc. (Pollster) oraz 97 proc. i 0 proc. (IBRIS). W wypadku wyborców Krzysztofa Bosaka mamy: 19 proc. i 49 proc. (Pollster) oraz 43 proc. i 23 proc. (IBRIS).

W badaniu Ipsos dla OKO.press Andrzej Duda mógłby liczyć na poparcie 97 proc. wyborców PiS, 33 proc. elektoratu Konfederacji, 19 proc. wyborców PSL i 10 proc. elektoratu Lewicy. Z kolei Rafał Trzaskowski miałby za sobą 96 proc. wyborców KO, 89 proc. Lewicy, 61 proc. PSL oraz 42 proc. Konfederacji. W tym ostatnim badaniu w drugiej turze najwięcej zyskiwałby Trzaskowski wśród kobiet oraz w młodszych grupach wyborców.

To wszystko miałoby wskazywać na bardzo zaciętą walkę w drugiej turze i końcowy wynik bliski remisu (z wyjątkiem sondażu Ipsos, korzystnego dla Trzaskowskiego). Ale to raczej remis mniemany.

Socjolog i specjalista od sondaży oraz badań wyborczych Marcin Palade, mający sukcesy, gdy chodzi o trafne prognozowanie wyników wyborczych (na podstawie wielu badań różnych ośrodków), prognozował, że w pierwszej turze Andrzej Duda miał szansę na 44,5 proc. głosów, Rafał Trzaskowski na 29,1 proc., Szymon Hołownia na 8,5 proc., Władysław Kosiniak-Kamysz na 7,1 proc., Krzysztof Bosak na 7,0 proc., a Robert Biedroń na 3,0 proc. W drugiej turze Andrzej Duda mógłby liczyć na 51,6 proc. głosów, Rafał Trzaskowski zaś na 48,4 proc.

Prognoza Paladego zakłada, że między pierwszą a drugą turą Andrzej Duda jest w stanie pozyskać 7 proc. głosów wyborców Szymona Hołowni, 20 proc. Władysława Kosiniaka-Kamysza, 31 proc. głosów elektoratu Krzysztofa Bosaka oraz 5 proc. wyborców Roberta Biedronia. Z kolei przepływy na rzecz Rafała Trzaskowskiego wyglądałyby następująco: od wyborców Szymona Hołowni – 75 proc., od Władysława Kosiniaka-Kamysza – 65 proc., od Krzysztofa Bosaka – 34 proc., zaś od Roberta Biedronia – 90 proc.

Palade zakłada też możliwość pojawienia się między pierwszą a drugą turą 2 mln nowych wyborców (podobnie jak w 2015 r.). Przy założeniu, że głosy podzieliłyby się po równo na obu kandydatów, ostatecznie Andrzej Duda mógłby liczyć na 51,4 proc., Rafał Trzaskowski zaś na 48,6 proc. Przy podziale 40 proc. dla Dudy i 60 proc. dla Trzaskowskiego urzędujący prezydent ostatecznie zyskałby 50,4 proc. głosów, prezydent Warszawy zaś – 49,6 proc. Rafał Trzaskowski wygrałby ostatecznie wtedy, gdyby z 2 mln nowych głosów przejął 70 proc. Wtedy w finale mógłby liczyć na poparcie 50,6 proc. wyborców, Andrzej Duda zaś – 49,4 proc.

ZWYCIĘZCY I UPOKORZENI

Z różnych badań (np. Ipsos dla OKO.press) wynika, że 80–85 proc. wyborców deklaruje, iż nie zmieni już swoich wyborczych preferencji. Ale 15–20 proc. gotowych do zmiany decyzji to całkiem spory odsetek. I dla tej grupy największe znaczenie miałyby debata kandydatów (dla 11 proc.), relacje z kampanii, w tym medialne (7 proc.), rozmowy z ważnymi dla badanego ludźmi (5 proc.) oraz jakiś impuls pojawiający się w ostatniej chwili (3 proc.).

Najbardziej zdeklarowany co do głosowania na swego wybrańca przed pierwszą turą był elektorat Andrzeja Dudy – trochę ponad 90 proc. Mniejsza determinacja dotyczyła pozostałych kandydatów: w wypadku Rafała Trzaskowskiego – ponad 80 proc., Szymona Hołowni – ok. 75 proc., Krzysztofa Bosaka i Władysława Kosiniaka-Kamysza – ok. 60 proc. Powinno być tak, że im mniejsza deklarowana determinacja w głosowaniu na „własnego" kandydata, tym większa łatwość transferu głosów. W rzeczywistości jest inaczej, szczególnie w wypadku elektoratu Szymona Hołowni, który najwyraźniej traktuje Rafała Trzaskowskiego jako swój drugi wybór, a w części nawet pierwszy. Szczególnie po tym, jak w końcówce kampanii przed pierwszą turą Hołownia zadeklarował przejście na stronę Trzaskowskiego. To mogło zdemobilizować część jego wyborców i albo od razu poparli Trzaskowskiego, albo w drugiej turze nie pójdą do urn.

Nie istnieje natomiast coś takiego jak mechaniczne przekazanie w drugiej turze głosów Szymona Hołowni i Roberta Biedronia Rafałowi Trzaskowskiemu. Przeciwko Trzaskowskiemu działa pycha niektórych jego prominentnych sympatyków. Przed pierwszą turą łatwo obrażali oni wyborców Hołowni, Biedronia czy Kosiniaka-Kamysza, uważając ich za swoją zdobycz. Szczególnie drastycznie wyglądało to w wypadku wyborców Biedronia. Oddany Trzaskowskiemu duszą i ciałem socjolog

eprasa.pl 4fcee5af34

prof. Ireneusz Krzemiński w TVN24 nazwał symetryczną niechęć Biedronia i Lewicy do PiS i PO „chorobą umysłową". Zareagował na to Adrian Zandberg: „W TVN24 »ekspert« nazywa Biedronia chorym umysłowo. Powód? Nie poparł kandydata Platformy (tak, tego, z którym właśnie konkuruje w wyborach)".

Zwycięstwo Trzaskowskiego nad Hołownią i Biedroniem ma pewien upokarzający wymiar – zarówno dla kandydatów, jak i ich wyborców. Mniejszy w przypadku wyborców Biedronia, którzy już w pierwszej turze w większości głosowali na Trzaskowskiego, zamiast na kandydata bliższego im ideowo. Ale dla części porażka Biedronia może być upokarzająca i nie pójdą do urn.

W przypadku wyborców Szymona Hołowni transfer na rzecz Rafała Trzaskowskiego nie musi być wcale oczywisty. Może być tak, jak wPolityce.pl przewiduje prof. Henryk Domański, socjolog z PAN: „Gdybym był elektoratem Hołowni, to chciałbym, żeby wygrał Hołownia. Hołownia nie wygrywa, nie przechodzi do drugiej tury, to jestem trochę zły i rozczarowany. Dlaczego mam głosować na Trzaskowskiego, który wygrał z Hołownią? […] Głosowałem na kandydata, on nie przeszedł, a teraz mówi, żebym głosował na kogoś innego. Właściwie mogę zrobić mu na złość i nie będę tak głosował albo nie pójdę w ogóle".

Tym bardziej może tak być, jeśli „kandydat niezależny" zamierza pozostać w polityce. Gdyby wyborcy Hołowni mieli tak łatwo zmienić zdanie, szanse na jego partię byłyby minimalne, a cały wysiłek włożony w kampanię daremny. Niewiele wskazuje na to, by transfer głosów wyborców Hołowni na rzecz Trzaskowskiego był tak wysoki jak w badaniach Pollster i IBRIS, a to oznacza większe szanse na wygraną Andrzeja Dudy.

JĘZYCZKI U WAGI

Kluczowe może się okazać w drugiej turze zachowanie wyborców Konfederacji, niekoniecznie zależne od tego, co powiedział przed pierwszą turą Krzysztof Bosak: „Nie ma żadnych szans, żeby Konfederacja poparła Rafała Trzaskowskiego". Oficjalnie może nie poprzeć, ale nieoficjalnie mieliśmy przecież takie deklaracje jak Jacka Wilka, dla którego Trzaskowski był realnym wyborem. Nie wydaje się jednak, żeby możliwy był prawie dwukrotnie wyższy transfer głosów wyborców Konfederacji na rzecz Rafała Trzaskowskiego niż na Andrzeja Dudy (jak w badaniu IBRIS). Problemem jest raczej to, ilu wyborców Konfederacji w drugiej turze nie pójdzie do urn i czy nie będą to akurat ci, którzy byliby bardziej skłonni głosować na Dudę niż Trzaskowskiego. Jednak poparcie prezydenta Warszawy mogłoby mieć katastrofalne skutki dla Konfederacji po wyborach. Rola przystawki Koalicji Obywatelskiej, czarno na białym potwierdzona w głosowaniu w drugiej turze, mogłaby rozsadzić dość luźny związek różnych sił politycznych, jakim jest Konfederacja. Oznaczałoby to bowiem „lemingizację" partii w stylu miasteczka Wilanów, a przecież określa się ona mianem „prawdziwej prawicy", uważa za prawdziwych konserwatystów. Gdzieżby zatem miała się znaleźć pod skrzydłami aborcjonistów i wielkich obrońców LGBT? Oczywiście, część wyborców Konfederacji mogłaby chcieć się zemścić na PiS, a więc także na Andrzeju Dudzie, ale ta zemsta byłaby równie zabójcza dla nich samych, więc jest po prostu nieopłacalna.

> Nie istnieje coś takiego jak mechaniczne przekazanie w drugiej turze wyborów głosów elektoratu Hołowni, Biedronia czy Kosiniaka-Kamysza Rafałowi Trzaskowskiemu. Przeciwko prezydentowi Warszawy działa pycha niektórych jego prominentnych zwolenników. Przed pierwszą turą łatwo obrażali oni wyborców jego kontrkandydatów, uważając ich zawczasu za swoją zdobycz

Nie jest wcale oczywisty duży transfer głosów wyborców Władysława Kosiniaka-Kamysza na rzecz Rafała Trzaskowskiego. Jest mało prawdopodobne, żeby prawie czterokrotnie więcej wyborców lidera PSL poparło Rafała Trzaskowskiego niż Andrzeja Dudę. To byłoby możliwe wśród elektoratu miejskiego ludowej partii, ale nie wiejskiego, który od dawna odpływa do PiS, a ci, którzy zostali przy PSL, nie mają żadnych powodów, by popierać Rafała Trzaskowskiego. Wiele wskazuje na to, że prognozy transferu głosów wyborców Kosiniaka-Kamysza na rzecz Trzaskowskiego są co najmniej dwukrotnie przeszacowane. To Andrzej Duda może więcej zyskać niż Rafał Trzaskowski.

Przesadne są też raczej rachuby sztabowców Trzaskowskiego, że to on otrzyma więcej głosów tych, którzy wcześniej nie głosowali, oraz młodych. Ci niegłosujący są w większości beneficjentami programów socjalnych PiS, współtworzonych przez Andrzeja Dudę, więc dlaczego mieliby ryzykować swoje poparcie dla Rafała Trzaskowskiego. Podobnie jest z młodymi wyborcami: od PO nie otrzymali właściwie nic, PiS zaś (a więc także Andrzej Duda) przynajmniej zwolnił z podatku tych niemających 26 lat, stworzył liczne programy dla start-upów i pomaga młodym zaistnieć na rynku, wreszcie – ruszył z tanim budownictwem na wynajem, które miałoby się jeszcze lepiej, gdyby nie bojkotowanie przez samorządy zdominowane przez PO.

W prognozach dotyczących drugiej tury wyborów prezydenckich nie można zapominać o specjalnym doładowaniu, jakim dla Andrzeja Dudy może być jego udana, ważna dla Polski i całego regionu, wizyta w Waszyngtonie. Bilans transferowy wypada więc lepiej dla Andrzeja Dudy.

eprasa.pl 4fcee5af34



Długa droga do pałacu

To miała być najkrótsza kampania prezydencka w historii. Epidemia koronawirusa wywróciła jednak wszystko do góry nogami i sprawiła, że z pozoru prosta droga Andrzeja Dudy do reelekcji stała się trasą pełną niebezpiecznych wiraży



MARCIN WIKŁO

Zacznę nieco przewrotnie od ostatniej prostej. Andrzej Duda zadziwił wielu, lecąc zaledwie cztery dni przed wyborami, na spotkanie z Donaldem Trumpem do Waszyngtonu. Jednak czy można było z tego zaproszenia nie skorzystać?

„Nasze relacje chyba nigdy nie były tak dobre" – Donald Trump do Andrzeja Dudy w Waszyngtonie, 24 czerwca 2020 r.

Warto po tej wizycie prześledzić wypowiedzi polskich polityków, którzy nie są – delikatnie mówiąc – zwolennikami Andrzeja Dudy. Krzysztof Bosak, konkurent w wyborach, krytykuje prezydenta, że ten „zamiast spotkań z Polakami wybrał namaszczenie od Trumpa", Krzysztof Gawkowski (Lewica) i Marek Sawicki (PSL) twierdzą, że „oczekiwania były wyższe". Rafał Trzaskowski, kandydat KO na prezydenta, pisze list, w którym domaga się, by zadeklarować, że do Polski nie zostanie nigdy przeniesiona amerykańska broń atomowa, choć takiego pomysłu nie było.

Ta retoryczna ekwilibrystyka pokazuje jedno. Wizyta prezydenta Andrzeja Dudy w Białym Domu to jego ogromny sukces. Na spełnienie podpisanych deklaracji ws. m.in. 5G i inwestycji przyjdzie czas, ale wizerunkowo – tuż na finiszu kampanii – to nokaut dla kontrkandydatów.

Tym bardziej że dokonania Andrzeja Dudy w relacjach ze Stanami Zjednoczonym już są niezaprzeczalne. Za jego kadencji zniesiono wizy do USA, zwiększyła się znacznie liczebność wojsk NATO na wschodniej flance sojuszu (wojska amerykańskie w Polsce) i rozwija się współpraca energetyczna, co prowadzi do realnej dywersyfikacji dostaw gazu do Polski. Prezydent robi politykę formatu światowego, o którym jego konkurenci mogą co najwyżej poczytać w gazetach. Być może stąd ta frustracja.

„Tak, proszę państwa, oczywiście będę kandydował w wyborach prezydenckich" – Andrzej Duda na spotkaniu w Lubartowie (woj. lubelskie), 5 lutego 2020 r.

Gdy marszałek Sejmu RP Elżbieta Witek ogłaszała datę wyborów 10 maja, Andrzej Duda spotkał się z mieszkańcami Lubartowa. W wypełnionej po



Fot. M. Czutko x2

eprasa.pl 4fcee5af34

brzegi hali sportowej padło pytanie, czy wystartuje. Prezydent potwierdził, że będzie się ubiegał o reelekcję, „I będę państwa prosił o głosy z pełną pokorą" – dodał. Wtedy wszystkim się wydawało, że za 95 dni pójdą zagłosować w pierwszej turze wyborów.

Takich spotkań jak to w Lubartowie było mnóstwo. Andrzej Duda od 2015 r. odwiedził każdy z 380 polskich powiatów. Objazd kraju i spotkania z Polakami nie były więc sposobem tylko na kampanię, tak wyglądała ta prezydentura. Szybko się okazało, że także inni kandydaci doszli do wniosku, iż „należy ruszyć w Polskę". Nie wszyscy dobrze czuli się na otwartych wiecach, gdzie mógł przyjść każdy i zadać każde pytanie.



Fot. Andrzej Wiktor

„Polska jest naszym wielkim zadaniem" – Andrzej Duda na konwencji inaugurującej kampanię wyborczą. Warszawa, 15 lutego 2020 r.

Podczas tego spektaklu, bo tak należy nazwać zorganizowaną z filmowym rozmachem konwencję wyborczą, powstała fotografia, która stała się symbolem walki Andrzeja Dudy o reelekcję. Sylwetka prezydenta wyłaniającego się niczym James Bond z tunelu na tle biało-czerwonej flagi. Parafrazując kinową serię, mówiło się, że Duda to człowiek z „licencją na Polskę".

„Gdybyśmy mogli tylko marzyć o dobrym kandydacie, to sądzę, że miałby on takie cechy, jak Andrzej Duda. Ale nie musimy marzyć, bo mamy Andrzeja Dudę" – w ten sposób prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński zakomunikował, komu jego formacja udzieliła jednogłośnego poparcia w wyborach prezydenckich.

„Polska jest naszym wielkim zadaniem. Wierzę, że będziemy realizowali je jeszcze przez najbliższe lata" – powiedział Duda, dziękując za poparcie. Jednocześnie zapowiedział, że na trasę po polskich drogach powróci znany z kampanii w 2015 r. dudabus.

Dudabus znów w trasie – pierwszy kurs do Łowicza i Turku, 21 lutego 2020 r.

Ten pojazd nie jest żadną ekstrawagancją, w dłuższej trasie jest wręcz dokuczliwy. Ale decyzja Andrzeja Dudy jest jednoznaczna, dudabus to ma być polski Autosan. W pierwszą trasę w tej kampanii ruszył na Mazowsze i do woj. łódzkiego i od razu z szefową kampanii mec. Jolantą Turczynowicz-Kieryłło.

To jedna z większych zagadek tej kampanii. Gdy dzień wcześniej zaprezentowano skład sztabu wyborczego Andrzeja Dudy, natychmiast uwagę mediów zwróciła efektowna brunetka u boku prezydenta. Dotychczas szerzej nieznana, miała zadbać o ocieplenie wizerunku Dudy. Skąd się wzięła w tym gronie? Nie ma nikogo, kto dziś by się chwalił tym, że ściągnął ją do sztabu. Ona sama mówiła, że politycznie blisko jej do Jarosława Gowina. Była brutalnie i nieuczciwie atakowana przez „Gazetę Wyborczą", ale w PiS nie było przekonania, że należy jej zażarcie bronić.

Efekt był taki, że osoba, która w założeniu miała być wzmocnieniem ekipy, stała się jej obciążeniem i w końcu odeszła pod błahym pretekstem. Od niedawna jest „gwiazdą" mediów atakujących Andrzeja Dudę. Podsumowując, to jego kampanijna porażka.

Tzw. mieszkańcy Pucka w akcji: Duda ty ch... – uroczystość 100. rocznicy zaślubin Polski z morzem, 10 lutego 2020 r.

Krytyka jest w polityce czymś normalnym, wręcz pożądanym. Ale tutaj łamane są wszelkie zasady, włącznie z elementarnym poczuciem dobrego wychowania. Stulecie zaślubin Polski z Bałtykiem zostało zorganizowane bardzo godnie, prezydent przyjął zaproszenie na uroczystości z radością, sprawy naszej historii od początku kadencji traktuje bowiem priorytetowo jako łączące i wspólnototwórcze.

Tym bardziej przykre jest, że te państwowe (nie kampanijne) uroczystości w Pucku były zagłuszane przez głośne buczenie przeciwników kandydata Zjednoczonej Prawicy. Gdy prezydent mówił o pomordowanych w pobliskim niemieckim obozie koncentracyjnym Stutthof, od grupy KOD popłynęły najgorsze wyzwiska.

Ta najbardziej agresywna grupa skierowała się później do obecnej na miejscu wicemarszałek Sejmu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej (wówczas kandydatki Koalicji Obywatelskiej na prezydenta), by złożyć jej swoisty meldunek z wykonanego zadania. A wieczorem w stacji TVN nie poinformowano o „chuligańskim wybryku", tylko o protestujących „mieszkańcach Pucka", którzy krytykowali Dudę. Ta lotna grupa zadymiarzy z KOD (tak ją nazwaliśmy) pojawiała się później w wielu miejscach w Polsce.



eprasa.pl 4fc[illegible]5af34



Fot. M. Czutko

„Mówienie, że dwa miliardy mogłyby pójść na onkologię, jest demagogią" – Andrzej Duda dla TV Trwam o ustawie rekompensującej mediom publicznym straty abonamentowe. Chełmno, 5 marca 2020 r.

To był jeden z najbardziej kryzysowych momentów kampanii wyborczej Andrzeja Dudy. I jednocześnie jedno z największych kłamstw lansowanych przez polityków opozycji. Chodzi o postawienie fałszywej alternatywy, że blisko 2 mld zł zapisane w ustawie rekompensacyjnej zamiast do mediów publicznych powinno trafić do chorych onkologicznie. I że życie tych chorych zależy od podpisu Andrzeja Dudy. Prezydent mówił o tym w dniu, gdy miał podjąć decyzję w wywiadzie dla Telewizji Trwam.

Ta sytuacja trochę wymknęła się PiS spod kontroli, swoje zrobiły „życzliwe" media, posłowie opozycji i cała armia internetowych trolli, które ten prosty schemat kolportowały. Oczywiście nie mówiąc, że nie było technicznie takiej możliwości, bo pieniądze dla radia i telewizji to nie była gotówka, tylko obligacje, które do systemu ochrony zdrowia trafić po prostu nie mogły. W to już jednak mało kto chciał się zagłębiać.

Duda był tutaj w podwójnym potrzasku, zaczęło się bowiem nawet plotkować, że niepodpisanie ustawy może oznaczać wycofanie przez PiS poparcia dla niego.

Prezydent od początku stawiał sprawę jasno: zgodzi się na dofinansowanie mediów publicznych, ale chce, by złagodzono język polityki informacyjnej. Ceną za podpis miała być rezygnacja prezesa TVP Jacka Kurskiego, do czego ostatecznie doszło i tuż przed upływającym terminem Andrzej Duda ustawę podpisał.

Kampania mogła wrócić na swoje tory, ale jak się okazało – nie na długo.

„Nie będę organizował dużych spotkań związanych z kampanią prezydencką" - oświadczenie Andrzeja Dudy w związku z zagrożeniem epidemią koronoawiusem. 9 marca 2020 r.

Dzień wcześniej prezydent jeszcze rozdawał kwiaty warszawiankom na Krakowskim Przedmieściu i wziął udział w spotkaniu wyborczym w Pruszkowie. 9 maja już do Radomska (woj. łódzkie) nie pojechał.

Ostateczna decyzja o odwołaniu wszystkich otwartych wieców zapadła po wieczornej naradzie z premierem Mateuszem Morawieckim, ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim i głównym inspektorem sanitarnym Jarosławem Pinkasem.

Mało kto przewidywał wtedy, jak wielki wpływ na nasze życie będzie miał koronawirus, ale stało się jasne, że kampanii w obecnej formie kontynuować nie można. Mało kto też się spodziewał, że z powodu epidemii nie odbędą się wybory w pierwotnie wyznaczonym konstytucyjnym terminie 10 maja. Chociaż ta decyzja to akurat efekt bardziej złożonej politycznej układanki, która na poważnie zachwiała jednością koalicji rządzącej.

Przez kolejne dwa miesiące trwała polityczna licytacja. Czy wybory da się przeprowadzić? Nawet gdy PiS przeprowadziło ustawę o organizacji głosowania korespondencyjnego, opozycja twierdziła, że to niebezpieczne dla zdrowia Polaków. Marszałek Senatu mówił wtedy o „zabójczych kopertach", które miały trafiać do naszych skrzynek.

Teraz wróćmy jeszcze do momentu rozchwiania większości sejmowej. Niewytłumaczona do dziś jest w tym rola Jarosława Gowina, lidera koalicyjnego Porozumienia, który od początku – wbrew swoim koalicjantom – deklarował, że wybory 10 maja się nie odbędą. I nie odbyły się, do czego przyczynili się posłowie jego ugrupowania. Koalicja przetrwała, choć Krystyna Pawłowicz w dramatycznym tonie relacjonowała na Twitterze przebieg narady przy Nowogrodzkiej: „(...) jest przesilenie polityczne, rząd chyba mniejszościowy". Porozumienie zostało w Zjednoczonej Prawicy, ale jego szef zrezygnował z teki wicepremiera oraz ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Nie o personalia chodziło jednak w tej grze.

W PiS wiele osób ma żal do Jarosława Gowina, że pomagając przełożyć wybory, zabrał Andrzejowi Dudzie możliwość łatwego zwycięstwa, a podał tlen dławiącej się Platformie Obywatelskiej. Małgorzata Kidawa-Błońska okazała się kandydatką bardzo słabą. W sondażach zeszła już tak nisko, że wymiana kandydata okazała się dla Platformy walką o polityczne życie.

„Zarządzam wybory prezydenta RP, datę wyborów zarządzam na niedzielę dnia 28 czerwca 2020 r." – marszałek Sejmu Elżbieta Witek na konferencji prasowej, 3 czerwca 2020 r.

Kiedy marszałek Elżbieta Witek ogłosiła datę wyborów, stało się jasne, że to będzie bardzo krótka kampania – do daty głosowania pozostało zaledwie 25 dni. Było już wtedy jasne, że Małgorzatę Kidawę-Błońską zastąpi Rafał Trzaskowski, podaliśmy tę informację jako pierwsi w portalu wPolityce.pl. Politycy PO ze swoją „prawdziwą prezydent" obeszli się wyjątkowo obcesowo, decyzję o rezygnacji ogłosiła samotnie.

Restart kampanii spowodował, że rozkład sił politycznych wrócił do pierwotnego porządku. Andrzej Duda według wszystkich sondaży był faworytem, ale już nie było mowy o zwycięstwie w pierwszej turze. Było jasne, że będzie potrzebna druga tura, ale jego rywalem już nie będą ani Władysław Kosiniak-Kamysz, ani Szymon Hołownia, tylko właśnie kandydat KO.

Nieoficjalnie w otoczeniu Andrzeja Dudy mówiło się, że to akurat dobrze, bo między kandydatem Zjednoczonej Prawicy a popieranym przez Koalicję Obywatelską Rafałem Trzaskowskim są różnice zasadnicze. Zarówno w kwestiach światopoglądowych, jak i w podejściu do gospodarki czy międzynarodowych sojuszy. Ale czy to pomoże Polakom w wyborze? I jaki on będzie? Już wkrótce poznamy odpowiedzi na te pytania.

Fot. M. Czutko

eprasa.pl 4fcee5af34



Na końcu jest zniewolenie społeczeństw

Tu chodzi o władzę nad ludźmi: jeśli zabierasz ludziom dumę, historię, tradycję, wartości, to osłabiasz społeczeństwo i przekazujesz tę siłę strukturom dzierżącym władzę. Czyli mediom, które ogłupiają ludzi, biznesowi, który czyni z nich konsumentów, politykom, którzy prowadzą ich nie tam, gdzie leży ich interes

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Józefem Orłem, liderem dyskusyjnego Klubu Ronina, filozofem, menedżerem, byłym politykiem, współzałożycielem Porozumienia Centrum, działaczem społecznym

Co to jest ideologia LGBT? Czym jest ideologia gender?

Józef Orzeł: Nie używam terminu „ideologia LGBT", lecz „gender", bo ten pierwszy uderza w konkretnych ludzi, którzy najczęściej z tą ideologią nie mają nic wspólnego, tak jak większość robotników w XIX wieku nie miała nic wspólnego z komunizmem. Gender to sposób mniejszości, w tym wypadku elit Zachodu, na uzyskanie nieograniczonej i trwałej władzy nad większością. Metoda na niedostrzegalne przerobienie demokracji w system, w którym władza grup panujących jest nienaruszalna, a częściowo dziedziczna.

To się naprawdę da narzucić społeczeństwom?

Na Zachodzie widzimy, że jak najbardziej. Podporządkowano tam tym ideologiom niemal całe społeczeństwa, bez wojny, bez buntu, z gasnącym oporem.

Wskutek „marszu przez instytucje"? To koncepcja marksistowskiego filozofa Antonia Gramsciego, który uważał, że w ten sposób lewica przejmie władzę, kolonizując struktury społeczne?

To atrakcyjna koncepcja, ale jak się nad nią dłużej zastanowić, niekoniecznie prawdziwa. Nie było żadnego spisku, nie było tajnej organizacji hipisów czy lewaków, którzy postanowili opanować system i to zrobili. Owszem, oni o tym mówili, śpiewali, ale tego sami nie zrobili.

Opanowali jednak wiele instytucji, które zaczęły tę ideologię najpierw propagować, a następnie siłowo narzucać.

Tak, ale dlatego, że zostali do tych instytucji wciągnięci, kooptowani, inkorporowani. Ten marsz przez instytucje faktycznie się odbył, ale za zgodą kierownictw tych instytucji. To one uznały, że warto iść w tym kierunku, że to zwiększa ich władzę.

Jakie stały za tym motywy?

Oceniam, że około 1968 r. elity Zachodu doszły do wniosku, że nie opłaca się rządzić w dotychczasowy sposób, bo dużo większe korzyści, dużo mocniejsze panowanie nad społeczeństwami i państwami, przyniesie rozbicie dotychczasowych struktur demokracji

eprasa.pl 4fcee5af34

i nasycenie ich nową ideologią. To była świadoma decyzja, a nie żadna porażka, pogubienie, słabość. Kontrolowali tę drogę od początku, w ten właśnie sposób organizowała się elita. Ten proces miał swoje kamienie milowe – jednym z nich był raport Klubu Rzymskiego, międzynarodowej organizacji elit, wydany w 1972 r., opisujący przyszłość ludzkości, definiujący wzrost liczby jej mieszkańców jako główne zagrożenie dla planety. Za tym poszły aborcja, eutanazja, postulaty depopulacji.

Dlaczego na tym właśnie się skupiono?

Bo depopulacja, postulat zmniejszenia liczby ludności, to bardzo skuteczne narzędzie. Osłabia potencjalną przewagę Azji i Afryki, zwiększa pozycję Zachodu, ale osłabia poszczególne narody. Zmienia też postawy społeczne, przesuwając zainteresowanie z dzieci, które przestają być celem życia, na samych siebie, na swoje przyjemności.

Dlatego ludzie często nie chcą mieć dzieci?

Jest jeszcze jeden powód: rodzice szybko wyczuwają, że w tym systemie ich dzieci nie należą już do nich, że te ideologie im je porywają. To odbiera motywacje, bo utrzymanie łączności pokoleń, przekazanie własnych wartości jest coraz trudniejsze, a bywa niemożliwe.

Wszystko to uderza w istotę naszego człowieczeństwa, w człowieka jako istotę społeczną. Jakimi metodami realizowane są te cele?

Poprzez pedagogikę wstydu, wykorzystanie historycznej opresji wobec grup takich jak potomkowie niewolników, kobiety, proletariat, mniejszości seksualne. Oczywiście to idzie etapami. Najpierw mamy słuszną walkę o równość, potem uprzywilejowanie – prawdziwe lub tylko głoszone – pokrzywdzonych mniejszości. Wreszcie pojawia się opresja mniejszości – wspomnianych wcześniej elit, a nie grup pokrzywdzonych, które są tylko używane, są przykrywką – wobec większości. Na tym etapie jest dziś już Zachód, do tego nas próbuje się zmusić, uruchomić te instrumenty zarządzania większością, wdrożenia pełnej kontroli nad społeczeństwami.

Mówiąc o „pedagogice wstydu", ma pan na myśli wzbudzanie poczucia winy i konieczność ekspiacji, przeprosin, zadośćuczynienia? Tu jednak pojawia się kłopot – Polacy nie prześladowali Murzynów, kobiety zawsze były szanowane, od razu po odzyskaniu niepodległości otrzymały prawo głosu.

Panowie, zawsze coś się znajdzie! Szuka się spraw, w których jest jakieś ziarno prawdy, ale zmienia się ich proporcje, zakres, także strony, których to dotyczy. W przypadku Polski najczęściej próbuje się budować tę pedagogikę wstydu na zarzucie, że nie obroniliśmy mniejszości żydowskiej w Polsce przed zagładą z rąk niemieckich zbrodniarzy w czasie II wojny światowej, co jest totalnym zakłamaniem, bo w tych warunkach nie było to możliwe.

Nie byliśmy w stanie obronić polskich dzieci – czy to z Zamojszczyzny, czy uwięzionych w łódzkim obozie koncentracyjnym, czy palonych żywcem w powstaniu warszawskim.

To jest prawda historyczna, ale tu nie tego się szuka. Pewnej gazecie, która głównie prowadzi tę akcję, nie chodzi o fakty, ale o taką ich kompilację, by Polacy poczuli się winni, zawstydzeni, uznali swoją podległość, konieczność przejścia procesu reedukacji.

Taka operacja w ogóle jest możliwa? Wymagałoby to całkowitego zapomnienia o niemieckim najeździe, o tym, że państwo polskie i Polacy byli ofiarą tego samego barbarzyństwa, walczyli z nim, płacąc ogromną cenę.

Oczywiście że możliwe. Ten proces postępuje. Przecież w 1989 r. żądanie odszkodowań dla organizacji, które nie mają żadnych praw do mienia pozostawionego przez zamordowanych przez Niemców Żydów, zostałoby powszechnie odrzucone. Dziś są już siły, które rozmowę o tym dopuszczają. I to przesunięcie jest sukcesem organizatorów tej akcji. Natknęli się oni u nas na dwa problemy – najpierw musieli usunąć w cień sprawców, Niemców, rozmyć ten oczywisty dla pokoleń Polaków fakt, a następnie zbudować wizję Polaków rzekomych współautorów Holokaustu, dokonać swego rodzaju podmiany.

Strona żądająca odszkodowań odpowiada – mieszkacie w pożydowskich mieszkaniach. Nasza wina?

To nie jest wynik polskiego działania, to nie jest polska wina. Wszystkie struktury państwa polskiego, podziemne i emigracyjne, Holokaustowi z całych sił się przeciwstawiały. Te fakty są spychane w cień, bo uniemożliwiają zbudowanie konstrukcji, w której po uznaniu własnych „win", poddajemy się władzy mądrzejszych, lepszych, którzy zajmą się naszymi sumieniami i umysłami. A to jest celem. Czyli przeciwieństwem tego, co mówił Zygmunt August, ostatni Jagiellon: „Nie jestem królem waszych sumień".

Nowi władcy odwrotnie – oni właśnie chcą być panami naszych sumień i myśli?

Tak. Gdy „walka o równość i sprawiedliwość" w sferze ideologii osiągnie sukces w postaci poddania się większości pedagogice wstydu, wtedy można zacząć edukację przymusową i opresyjną – dziś w Polsce jesteśmy na początku tego etapu. Taka edukacja wychowa, pod przymusem, bezalternatywnie, nowe pokolenia całkowicie w duchu gender.

Dlaczego opór licznych wspólnot, które muszą porzucić dumę z własnego dziedzictwa, odrzucić własne wartości, zerwać kulturowy łańcuch pokoleń, nie jest w stanie wytrzymać tej presji? Są narody, które przechowywały swoje wartości przez dziesiątki i setki lat okupacji.

Mniemanie, że ludzkość nie podda się procesowi zmian – nienaturalnemu, niezgodnemu z biologią, tradycją i zdrowym rozsądkiem – jest błędne. Chcemy być z natury optymistami, nie dostrzegamy, że ideologia gender już wygrała na Zachodzie, a więc mamy dowód, że można naturę przezwyciężyć w sztuczny, społeczny sposób, można wykonać pranie mózgów. Ale naprawdę ostateczne zwycięstwo gender może nastąpić dopiero wtedy, gdy ogarnie cały świat. Zwracam uwagę, że podobnie o rewolucji komunistycznej mówili komuniści.

A zatem czy ktoś się oprze?

Chiny i Rosja gender u siebie odrzuciły, choć nie mają nic przeciwko temu, by

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 4fcee5af34

panował na Zachodzie. Opór jest więc możliwy, choć my oczywiście jesteśmy w innej sytuacji jako kraj w środku Europy, członek Unii Europejskiej. Ale bronimy się i to ściąga ataki. Trzeba szukać sojuszników, pracować nad swoją elitą, wskazywać, z czym mamy do czynienia.

Dlaczego ta rewolucja tak mocno kręci się wokół seksu?

Istota rewolucji genderowej – walka niby o równouprawnienie mniejszości seksualnych – to redukcja człowieka do seksu, do biologii. W imię równości seksualnej gender chce zmienić cały społeczno-historyczny świat, więc rewolucja musi objąć wszystkich, wszystkich zredukować do seksu. Stąd najpierw dobrowolna, a potem przymusowa praktyczna edukacja dzieci do jak najwcześniejszej i powszechnej seksualizacji, rozwiązłości. To ostatnie wbrew dorobkowi psychologii dziecięcej. Ustanawiając triadę: praca–konsumpcja–zabawa/seks, Zachód dojdzie do utraty wolności, tożsamości, efektywności i konkurencyjności – do twórczej syntezy Orwella i Huxleya, do społeczeństwa niewolniczego.

Może pan tę tezę rozszerzyć?

Społeczeństwo niewolnicze potrzebuje pana. Jest on już od wielu lat gotowy, to silnik rewolucji genderowej – elita Zachodu. Skutkiem ma być monopol rządów tej elity, stały wzrost nierówności społecznych oraz panowanie spekulacyjnego pieniądza i cenzury poprawności politycznej w interesie tej grupy.

Jakie to ma skutki dla społeczeństwa? Dla rodzin?

Gender nie musi się opierać na walce o seks, jest alternatywa: część „edukatorów" za oś rewolucyjnej edukacji przyjęła naturalne u dzieci wzajemne sentymenty, uprzedzenia, nierówności. Dzieciom każą się wstydzić swoich naturalnych odruchów wyniesionych z domów, poglądów i ukrywać przed rodzicami tę edukację. Niszczy to relacje dzieci z rodzicami, z rodziną. Można postawić zatem tezę, że ci edukatorzy walczą więc z naturą, niszczą naturalną konkurencję między dziećmi, homogenizują społeczeństwo aż do identyczności. Tę homogenizację najłatwiej osiągnąć poprzez odebranie rodzicom dzieci przez państwo – od samego początku – od zapłodnienia – sztucznego i sztucznej ciąży. Wychowanie dzieci w duchu gender, skazanie rodziców na ostracyzm (bo wychowali dzieci źle), doprowadzi Zachód do tego samego miejsca, co rewolucja gender przez seks.

Nie zaprzeczy pan jednak, że „studia genderowe" są wykładane na uczelniach. Może to jednak jest nauka?

Gender wymyślony od początku do końca, niezgodny z nauką, nie miałby szans, gdyby tej nauki nie opanował, nie ubezwłasnowolnił. Sprzyjała temu już przedwojenna skłonność sporej części zachodniej elity uniwersyteckiej do socjalizmu i komunizmu. Sfera nauki została zawłaszczona przez gender od wewnątrz, nie poprzez proces naukowy dotarcia do prawdy, którą miałby się okazać gender, lecz dzięki przyjęciu go przez zdecydowaną większość elity uniwersyteckiej (i wszelkiej innej) jako paradygmat, dogmat założycielski nowego systemu społeczno-politycznego. Kryterium uznania teorii przestała być prawda, stał się konsens elity, co oznacza terror wobec mniejszości, która podług Arystotelesa usiłuje szukać prawdy jako zgodności idei z rzeczywistością. I tak „wartości" gender zastąpiły tradycyjne wartości prawdy, sprawiedliwości, prawa naturalnego, a tych, którzy uparcie szukają prawdy, spotyka ostracyzm.

> Chiny i Rosja gender u siebie odrzuciły. Opór jest więc możliwy, choć my oczywiście jesteśmy w innej sytuacji jako kraj w środku Europy, członek Unii Europejskiej. Ale bronimy się i to ściąga ataki

Można to porównywać do komunizmu?

Istotą systemu stalinowskiego była triada: kłamstwo–groźba–nakaz, najlepiej ujęta w podprogowym przesłaniu władzy do społeczeństwa: „Gułagu nie ma, ale jeśli będziesz o nim mówić, trafisz tam". Narzędziem władzy stalinowskiej było double thinking, czyli podwójne myślenie. Ludzie wiedzieli, że gułag istnieje, ale wiedzieli, że nie mogą o tym ani myśleć ani mówić, że muszą temu zaprzeczać. To niszczyło ludzką tożsamość, siłę społeczeństwa, powodowało uległość. O to samo chodzi w gender, jego zasadnicza triada kłamstwo–groźba–nakaz to: „Gender to tolerancja, równość, sprawiedliwość, raj na ziemi itd., a jeśli tego nie uznasz, zostaniesz wykluczony". To zamiana zakłamanego hasła Róży Luxemburg: „Nie ma wolności dla wrogów wolności" (którymi byli dla niej przeciwnicy komunizmu, czyli obrońcy wolności), na równie kłamliwe: „Nie ma tolerancji dla wrogów tolerancji".

Dlaczego ten pożądany postęp nigdy nie jest zakończony? Walka z rasizmem może trwać sto lat, a zastępy wykrytych „rasistów" tylko rosną. Ruchy LGBT mogą mieć wszystko, a i tak będą za mało uprzywilejowane. O co chodzi w tym ruchomym horyzoncie?

Ta walka nigdy się nie zakończy, bo ci, którzy z jej prowadzenia czerpią korzyści, utraciliby je. Tu chodzi o władzę nad ludźmi: jeśli zabierasz ludziom dumę, historię, tradycję, wartości, to osłabiasz społeczeństwo i przekazujesz tę siłę strukturom dzierżącym władzę. Czyli mediom, które ogłupiają ludzi, biznesowi, który czyni z nich konsumentów, politykom, którzy prowadzą ich nie tam, gdzie leży ich interes.

Bezkarnie?

Oczywiście nie. Już dzisiaj ideologia gender na Zachodzie, przez ustanowienie reżimu autorytarnego, osłabia efektywność i konkurencyjność. W tym sensie jest to piąta kolumna Chin, które na tym zyskują, jest samobójczym procesem upadku Zachodu. Dlatego o tym mówię – by Polska chociaż spróbowała uniknąć tego losu.

eprasa.pl 4fcee5af34

Marsze po władzę

Od dawna dostrzegam pewną prawidłowość, która i tym razem dała o sobie znać. Jest to ożywienie, aktywizacja grup spod znaku tęczy w okresie poprzedzającym wszelkie wybory



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Bez względu na wynik wyborów prezydenckich (piszę to we wtorek przed 29 czerwca) nasze realne problemy pozostaną z nami. Są one wręcz przykładem lojalności, a nawet psiej wierności. Afery gospodarcze, polityczne wstrząsy świata czy nawet pandemia nie spowodują, że kłopoty się od nas odczepią. Mam wręcz pewność, że pozostaną z nami na zawsze. Dają o sobie znać w różnych momentach dziejowych, najczęściej zgryźliwie dokuczając. Są jak natrętne telefony od wierzyciela. Mają różną wagę. Bywają symboliczne, jak niemożność ściągnięcia wraku smoleńskiego, tej trumny polskiej elity, dodajmy, że trumny przez Rosjan poniewieranej, dezynfekowanej jak wirus groźnej zarazy. Bywają problemy kulturowe, czyli faktyczny podział naszego kraju na dwie różne kultury myślenia, wiązki przekonań i poglądów (Polska wierna sobie i Polska wierna Michnikowi). Mamy też podział moralny, czyli symbolicznie Kaja Godek vs. Wanda Nowicka. Oczywiście te podziały nakładają się na siebie i tylko na papierze można je wyraziście wyodrębnić. W praktyce tworzą bowiem amalgamat głębokich różnic.

To wszystko wskazuje na nasz głęboki kryzys systemowy, w którym spór toczy się o pryncypia, o fundamenty konstytuujące zarówno państwo, jak i obywatelskość. Natomiast obie te kategorie są składnikami tego, co wieczne – walki o władzę, a władza ma to do siebie, że nikt jej dobrowolnie nie oddaje. Ma bowiem charakter nie tylko strategiczny (związany z realnym zarządzaniem), ale też silnie emocjonalny. Porzekadło, że władza uzależnia, dobrze tę jej cechę ilustruje. Władzę zawsze zdobywa się w walce, a wyznacznikiem walki jest siła. Ta zaś może mieć charakter fizyczny oparty na różnie definiowanej przemocy wynikającej z bezpośredniej przewagi (tak jest w dużej mierze z wychowaniem), może mieć charakter militarny (wojny), rebeliancki (rewolucje, pucze, przewroty), symboliczny (np. profesor vs. student), organizacyjny (przełożony vs. podwładny). Oczywiście szczególną odmianą walki są wybory dające tzw. demokratyczny mandat do rządzenia. Uznanie ich za akt pokojowy coraz bardziej graniczy z przesadą, a ogląd zakończonej kampanii prezydenckiej każe myśleć, że wręcz z kpiną.



eprasa.pl 4fcee5af34

Furia kandydatów do prezydenckiego fotela, liczba wyzwisk, skala manipulacji, hejtu, poniżania, pogardy i kłamstw odbywają się pod parasolem ochronnym kampanii jako czasu, w którym kandydatom wolno niemal wszystko. Nikt jednak się nie zastanawia, czy lżenie urzędującego prezydenta, któremu jako głowie państwa do 6 sierpnia należy się szacunek, to już była mowa nienawiści czy tylko emocje kampanijne.

POMOCNE RAMIĘ LGBT

Od dawna dostrzegam pewną prawidłowość, która i tym razem dała o sobie znać. Jest to ożywienie, aktywizacja grup spod znaku tęczy w okresie poprzedzającym wszelkie wybory. Wystarczy porównać daty wyborów z datami tzw. marszów równości, a właściwie całym ich objazdowym cyklem. Na pierwszy rzut oka widać, że nie jest to przypadek i z tego punktu widzenia można chyba mówić o zależności zdarzeń. A jeśli tak, to pod pozorem i coraz gorzej maskującymi prawdę hasłami równości, tolerancji czy różnorodności mamy do czynienia ze zjawiskiem stricte politycznym, w którym środowiska homoseksualne, a właściwie ich mniej lub bardziej sformalizowane organizacje, stają się realną siłą polityczną, a więc biorą udział w walce o władzę. Na razie był to dla opozycji rodzaj „desantu wspierającego" służącego jako potwierdzenie, że w Polsce potrzebna jest zmiana władzy, która społeczeństwo zaściankowe, nieeuropejskie, moherowe, ulegające wstecznym wpływom Kościoła zmieni w społeczeństwo tolerancyjne, otwarte, uśmiechnięte i uradowane własną różnorodnością, a nade wszystko „prawdziwie wolne". Tym samym homoseksualizm stał się symbolem otwartości i twórczej różnorodności, a norma seksualna znakiem parafiańszczyzny, ciasnoty światopoglądowej i szkodliwego tradycjonalizmu.

Trudno uwierzyć, że główna aktywność środowisk gejowskich, którą są marsze, pikiety etc., ma charakter spontaniczny i oddolny. Organizacja miejsc zbiórek, załatwianie formalności w urzędach, wynajem autobusów obwożących tę samą niemal grupę manifestujących po różnym miastach w Polsce, zawiadamianie mediów o planowanych przemarszach wymagają działania zorganizowanego, zaplanowanego i finansowania, a nade wszystko ludzi, którzy robią to w imię czegoś. A to z kolei w pełni wyczerpuje znamiona ideologii. A jeśli ktoś to kwestionuje, to znaczy, że ma braki w oczytaniu i kompletnie nie wie, o czym mówi. Albo robi to świadomie i cynicznie dla kamuflażu istoty zjawiska. Naprawdę szkoda strzępić języka na dyskusję o kolorach ze ślepym.

> Każda władza dba nie tylko o utrzymanie status quo, ale również ustala drogi i kryteria sukcesji, np. pochodzenie etniczne, pokrewieństwo, partyjność. Takim kryterium doboru do władzy może się w przyszłości stać orientacja seksualna

MIŁOŚĆ DO IDEOLOGII

Ideologia ma to do siebie, że jest zazdrosna o inne ideologie, jest bezdyskusyjna, oparta na przekonaniach, najczęściej emocjonalnych, a więc niepodlegających negocjacjom. Opiera się na zawieszonym w próżni stwierdzeniu, że coś jest takie, bo... jest takie. Bez jakichkolwiek dowodów i kropka. Koniec rozmowy. „Homoseksualizm jest normalny, bo jest normalny". A kto próbuje z tym dyskutować – albo co gorsza się na to nie zgadzać – ustawia się na pozycji wroga, którego trzeba całkowicie wyeliminować. Zniszczyć go w imię poszanowania różnorodności, a lepiej „niewykluczającej miłości", absolutnej równości wszystkich stu płci i seksualnego braterstwa, które tymczasowo zastępuje instytucjonalne małżeństwa. Moje „przygody dyscyplinarne" na UMK wzięły się z krytyki głównego sztandaru ideologii tzw. LGBT, czyli parad równości. Tych milcząco zaakceptowanych prowokacji obyczajowych, prowokacji nierzadko pełnych sprośności, wulgarnych haseł i obrażających powszechne poczucie przyzwoitości zachowań. Próbą wyeliminowania, czyli kary za wyrażoną głośno krytykę, było żądanie dyscyplinarnego usunięcia mnie z uczelni. Gdy rzecznik dyscyplinarny umorzył sprawę, organizacja homoseksualna złożyła zażalenie od tej decyzji i JM Rektor nakazał ponowne jej rozpatrzenie, ale już przez innego rzecznika. Sprawa jest w toku. Otwartość uczelni na tak pojętą współpracę ze środowiskiem jest w istocie imponująca.

Kwestia ideologii LGBT i jej akademickiego klonu w postaci kompletnie anaukowych studiów gender spotkała się z silną reakcją buntu po podpisaniu przez Andrzeja Dudę Karty rodziny. Oznaczało to bowiem wzmocnienie głównego przeciwnika homoaktywistów, czyli rodziny. Rodzina (ojciec, matka, dzieci) jest bowiem dla tej grupy niedostępna z oczywistych przyczyn. Ideologia nie znosi wszak pól bez swoich wpływów, a jeśli takie istnieją, to należy je albo zawłaszczyć, albo zniszczyć. Wobec małej skuteczności prób zniszczenia rodziny, a do takich działań należy m.in. promocja konkubinatów, korzystanie z surogatek czy pochwała związków patchworkowych, należało rodzinę zawłaszczyć i włączyć pod wpływy LGBT. Tutaj sposobem ma się okazać język. Służy temu bowiem rozmycie pojęcia ojcostwa (dwóch tatusiów), definicji małżeństwa (homomałżeństwa), potomstwa (adopcja dzieci przez homoseksualistów) etc. A to wszystko pod hasłami równości i ideologicznego definiowania rodziny. Ciekawy jest tutaj zamiar adopcji dzieci przez związki/pary homoseksualne. Używa się argumentu o wyższości takiego rozwiązania nad dorastaniem dzieci w domach dziecka. Nie mogę już tego słuchać. De facto bowiem mamy do czynienia z zamianą jednego zła, jakim bez wątpienia jest życie bez rodziców, na drugie zło, jakim jest włącze-

Autopromocja

eprasa.pl 4fcee5af34

nie dziecka w związek stanowiący rodzaj grupy nieprzewidywalnej. Innymi słowy – przewidywalny dom dziecka zamienia się na nieznane losy w związku homo. To szczególnie okrutna odmiana eksperymentowania na najmłodszych.

LUDZIE I IDEOLOGIA

Ależ oczywiście, że homoseksualiści są ludźmi! Nikt im tego nie odbiera (poza Kolendą-Zaleską w jej autorskiej interpretacji niedokończonego zdania Jacka Żalka). Zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga jak my wszyscy. Fakt narodzin człowieka potwierdzają także stosowne dokumenty. Na przykład metryka urodzenia, która donosi, kto jest ojcem i matką (czasem tylko matką), jakie dziecku nadano imię i jakiej jest płci. A ideologia to tylko rzeczownik określający pewien porządek myślowy determinujący poglądy i działania grup osób skupionych wokół tych samych celów. Zatem człowiek nie może być ideologią, tak jak nie może być religią, filozofią ani grą w piłkę nożną. Kwestionowanie istnienia ideologii LGBT i wykrzykiwanie „Jesteśmy ludźmi, nie ideologią" brzmi tak samo, jak stwierdzenie, że nie było komunizmu, a tylko komuniści. Nie można bowiem serio się z nikim sprzeczać o to, czy drzewa są zielone czy raczej wysokie.

PARYTET PRZYSZŁOŚCI?

Każda władza dba nie tylko o utrzymanie status quo, lecz również ustala drogi i kryteria sukcesji. Do takich należą: pochodzenie etniczne, pokrewieństwo (dynastyczność à la rodzina Kimów), kastowość, uczestnictwo w organizacjach (np. mafia, masoneria), partyjność. Takim kryterium doboru do władzy i dostępu do wynikających z tego tytułu dóbr może się w przyszłości stać orientacja seksualna. I nie byłoby to jakoś szokująco nowe. Podobne próby mamy już w tym zakresie za sobą. To parytety płciowe na listach wyborczych (ewidentny skutek działania ideologii feministycznych) czy podpisanie przez Rafała Trzaskowskiego deklaracji LGBT+ gwarantującej różne przywileje osobom homoseksualnym i homoseksualistów wspierających. W jednym i drugim przypadku pomija się kwestię kompetencji, predyspozycji, konkurencyjności, ustanawiając jako kryterium decydujące płeć czy orientację seksualną. Szczególnym przykładem jest wiceprezydentura Warszawy Pawła Rabieja, homoseksualisty niemal manifestacyjnego, realizującego dalekosiężne plany swojego zaplecza. Najbardziej znaczący jest jednak przykład Biedronia, który w dużej polityce pojawił się jako obrońca przed homofobią, zapewniając sobie po czasie polityczną sukcesję w osobie Krzysztofa Śmiszka, swojego homopartnera.

WŁADZY!

Nie tak dawno prezes Grupy Stonewall Mateusz Sulwiński powiedział, że: „Partia rządząca chce, żebyśmy uwierzyli, że musimy ich do czegoś przekonać. Że musimy zasłużyć na równe prawa, że musimy dostosować się do ogólnie przyjętej normy i wtedy dopiero łaskawie dostaniemy to, co należy nam się za sam fakt istnienia. To nie jest prawda. Równe prawa należą nam się już teraz. Nie musimy się o nie prosić. Mamy prawo żądać".

To kwintesencja wszystkiego, czego dotąd mogliśmy się domyślać. W tych kilku zdaniach mamy nie tylko ideologiczne rozsądzenie tego, co jest prawdą, a co nią nie jest, co jest prawem, a co nie, ale nade wszystko czysto polityczną deklarację walki o władzę. Na naszych oczach bowiem ruch oparty na ekwiwalentności homo- i heterozwiązków, ruch znany pod eufemistycznym skrótowcem LGBT, stał się stroną walki o władzę. Mało tego domaga się dla siebie uczynienia wyróżniającego kryterium w dostępie do niej. Takie parytety już istnieją w wielu filmach zachodnich, gdzie musi się pojawić postać skośnooka, osobnik czarnoskóry i oczywiście gej albo lesbijka. Nie oszczędzono nawet gatunku typowo „hetero", jakim jest western, wypuszczając produkcję o kowbojach homoseksualistach („Tajemnica Brokeback Mountain"). Wciąż jesteśmy na etapie trudnego oswajania. Na razie tylko nie wolno nam się bulwersować z powodu gejowsko-lesbijskich parad. Mamy zaakceptować osobników homo w życiu publicznym. I nie wolno nam nawet udawać, że nas to nie obchodzi, że liczą się tylko zawodowe kompetencje czy dorobek. Mamy wręcz obowiązek wiedzieć, że ten czy inny aktor, profesor socjologii albo polityk jest gejem. Ale to tylko na razie, bo ta historia jest bardzo, bardzo rozwojowa. Im bardziej będzie się rozwijać, tym bardziej my będziemy się zwijać.

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Triumf 1920
100. rocznica Bitwy Warszawskiej

Papież Polaków
Pius XI – wielki przyjaciel Polski

Prokurator z pasją
Oskarżony Mieczysław Siewierski

www.wSieciHistorii.pl



eprasa.pl 4fcee5af34



Byłem tęczowym aktywistą, dziś jestem przeciw

*O tym, o czym nie mówią nam organizacje LGBT, o podobieństwach ich ideologii do komunizmu, ale też o własnej drodze do niezależnego, nonkonformistycznego blogowania opowiada **Waldemar Krysiak**, niegdyś tęczowy aktywista, dziś zwolennik umiarkowanego konserwatyzmu, z wykształcenia lingwista, z zamiłowania fotograf, memiarz i twórca bloga „Gej przeciwko światu", w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim*

Zostałeś wyklęty przez środowiska LGBT. Niektórzy kwestionowali twój homoseksualizm, inni nazywali cię zdrajcą. Warto było?

Waldemar Krysiak: Miałem dość słuchania, że geje są jakimś politycznym monolitem i że wszyscy mają takie same poglądy. To nieprawda.

Ty się przeciwstawiłeś. I niczym w partii komunistycznej uznano, że nie jesteś „prawdziwym gejem".

Co prawda ja PRL znam tylko z opowiadań moich rodziców, którzy bardzo źle ją wspominali, ale retoryka organizacji LGBT faktycznie przypomina założenia komunistyczne. Przez prawie dwa lata byłem tęczowym aktywistą, nawet występowałem na scenach z gołym tyłkiem, dokładnie tak jak ludzie wyobrażają sobie takie zaangażowanie – zresztą naprawdę wierzyłem w to, co robię. Po tym, jak wystąpiłem przeciwko ruchowi LGBT w telewizji internetowej, dowiedziałem się od moich znajomych, że należałoby „użyć środków specjalnych", aby przywołać mnie do porządku. Z jednej strony spodziewałem się reakcji, a z drugiej nie spodziewałem się, że będzie ona tak ostra. Moi dawni znajomi udają na ulicy, że mnie nie znają, ktoś obcy potrafi nazwać mnie gnidą i życzyć najgorszego. Muszę unikać pewnych miejsc [śmiech], w niektórych barach czy lokalach gejowskich już się raczej nie pokażę. Raz ktoś mi napisał, że jestem taki jak Hitler i Stalin jednocześnie, więc niektórzy naprawdę potrafią się wciągnąć w histerię.

Ale są też dobre strony. Pokazujesz prawdę, masz swoich czytelników, fanów, komentatorów.

Prowadzenie bloga jest wciągającą zabawą, wymaga kreatywności, przysparza czytelników, z którymi wchodzisz w interakcje, rozwijasz się, a przy okazji jest to temat rzadko podejmowany w ten sposób, więc myślę, że wprowadzam do dyskusji o LGBT przemilczane wątki. Blog codziennie pożera jakąś część mojego dnia, zbieram informacje do moich materiałów, weryfikuję je, by nie publikować fake newsów, podaję czytelnikom źródła, wreszcie staram się nadać temu atrakcyjną, zazwyczaj zabawną formę.

O tę formę chcę właśnie zapytać. Wielu przeciwników postulatów LGBT podchodzi do tematu poważnie – mówimy, że indoktrynacja młodzieży i popularyzacja tej ideologii to wielkie zagrożenie. Twoje podejście jest inne, bo opisujesz szaleństwo tęczowej lewicy, używając śmiechu, szyderstwa, obrazu.

Od lat śledzę niezależnych zagranicznych youtuberów, którzy walczą o wolność słowa w Wielkiej Brytanii czy USA, stawiają się ruchom lewicowym czy prawicowym, i od początku podobał mi się styl, nazwijmy to memiczny, czyli komentowanie poprzez dosadne, często sarkastyczne obrazki. Oczywiście można pisać elaboraty o tym, skąd się wywodzą teorie o homoseksualizmie czy feminizmie, ale obawiam się, że internet redukuje siłę przekazu takich wywodów. Stosuję więc memy, które bawią mnie i moich czytelników, w których jest nuta szyderstwa, ale jedno-

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 4fcee5af34



cześnie pokazuję prawdę – bezradność lewicowych aktywistów na argumenty, absurdalny dyskurs o „heteronormatywności" czy ich obsesje.

Z następnym pytaniem mam problem, bo może być uznane za homofobiczne. Jak to jest z rozwiązłością seksualną w niektórych środowiskach LGBT?

Populacja gejów dzieli się na dwie grupy. Jedna z nich stara się dopasować do tego, co aktywiści LGBT nazywają heteronormatywnością, a więc naśladowaniem wzorców relacji kobiety i mężczyzny – tworzą więc pary, nie mają w życiu wielu partnerów, prowadzą normalne życie. Jest jednak druga grupa ludzi, którzy zainwestowali swoje emocje w ruch progresywno-lewicowy, dali się przekonać ideologii i uwierzyli, że np. nie ma różnicy między normalnym związkiem a poliamorią. I oni sobie wyobrażają, że formuła rodziny jest heteronormą, którą trzeba zniszczyć. Takie rozumowanie wpływa na ich codzienne życie, bo preferują częsty, przygodny seks. Byłaby to ich prywatna sprawa, bo nic nam do tego, co ktoś robi w łóżku, ale jeśli oni uznają „heteronormę" za opresywną i chcą zmienić definicję rodziny, uznać, że częste zmienianie partnerów nie wpłynie negatywnie na psychikę człowieka, to po prostu zakrawa na niebezpieczną rewolucję społeczną. Przecież taki tryb życia może prowadzić do seksoholizmu, depresji, niestabilności emocjonalnej, zwiększa się prawdopodobieństwo zarażania się chorobami wenerycznymi. To jest typowy schemat rewolucji, która obiecuje, że jeśli się zniszczy konkretny ład i styl życia, to osiągnie się szczęście. Tymczasem przelotny seks może dawać chwilową przyjemność, ale na pewno nie szczęście.

Właściwie stałeś się rzecznikiem tych homoseksualistów, którzy nie uczestniczą w paradach równości ani nie należą do organizacji LGBT. Ludzie odbierają to tak, że masz prawo o tym mówić, bo jesteś gejem.

Denerwuje mnie takie myślenie, w którym tylko gejom pozwala się wypowiadać o homoseksualizmie. To tak jakby sport mogli oceniać tylko sportowcy, o alkoholizmie mogliby mówić jedynie alkoholicy, a o otyłości – ludzie z nadwagą. Przecież to jest absurd.

Ale prawicy trudniej się wypowiadać na ten temat, bo jest od razu atakowana jako homofobiczna.

Problem polega na rozszerzeniu terminu „homofobia". O ile można było uznać za homofobię akty agresji wobec ludzi tylko z powodu ich orientacji seksualnej, o tyle dziś nazywa się tak każdego, kto nie zgadza się z postulatami aktywistów LGBT. I chciałbym tu postawić wyraźną granicę, w której za homofobię uznajemy ataki fizyczne na homoseksualistów, naloty na kluby gejowskie, wyzywanie ludzi na ulicy, co powinno być karane zgodnie z Kodeksem karnym, ale nie może być tak, że sprzeciw wobec lewicowej polityki jest uznawany za fobię.

> Polska jest przez aktywistów LGBT demonizowana, tak naprawdę jest tutaj dużo bardziej bezpiecznie niż w innych miejscach Europy

I dlatego zostałeś przez tęczowych uznany za „prawicowego geja".

Wydaje mi się jednak, że prawica i lewica sczepiły się w błędnym kole. Bo nie jest tak, że skłonności seksualne można sobie wybrać ot tak, że promocja pewnego stylu życia robi z człowieka geja, bo nikt w kraju ortodoksyjnie muzułmańskim nie wybiera sobie homoseksualizmu, skoro można za to spaść z dachu. Z drugiej strony lewica obsesyjnie przekonuje, że homoseksualizm jest na pewno wrodzony, najlepiej genetyczny i z racji tego należą się tej grupie osobne prawa. Myślę, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż obie strony chciałyby przyznać, to znaczy istnieje kombinacja trzech elementów, być może mieszanki pewnych cech genetycznych z rozwojem dziecka w okresie prenatalnym, a do tego nakładają się wzorce psychologiczne i kulturowe. I o ile uważam, że każdy może sobie wybrać styl życia, jaki będzie prowadzić, o tyle nie ma powodu, by przyznawać takim grupom specjalnych praw.

Co więc zrobić, by homoseksualistom w Polsce żyło się dobrze, ale bez ulegania lewicowemu szaleństwu?

Trzeba przede wszystkim podkreślić, że Polska jest przez aktywistów LGBT demonizowana, tak naprawdę jest tutaj dużo bardziej bezpiecznie niż w innych miejscach Europy. W sprawie homoseksualistów jest jednak pewien klincz, bo moim zdaniem odrzucenie wszystkich postulatów i zakazanie, jak postuluje Konfederacja, związków partnerskich, nie załatwi sprawy. W ogóle „zakazywanie" stosowania jakichś rozwiązań w przyszłości nie pomaga, bo ta propozycja będzie wiecznie powracać i wywoływać napięcie. Można bowiem do problemu podchodzić negatywnie – poprzez zakazy i ograniczenia – albo pozytywnie – przez propozycje. Z drugiej strony prawica po części słusznie się obawia, nauczona przykładami z zagranicy, że legalizacja związków partnerskich będzie furtką do wprowadzenia adopcji dzieci przez pary homoseksualne, a dzieci trzeba z tych projektów społecznych wyłączyć.

Jak będzie się rozwijał „Gej przeciwko światu"?

Chcę pokazać, że o homoseksualizmie można myśleć normalnie, bez lewicowego zacietrzewienia, i że można się oprzeć eksperymentom społecznym. Jednym z moich wzorów jest Jordan Peterson, kanadyjski psycholog kliniczny, który sprzeciwił się używaniu nowych zaimków dla określania osób np. transpłciowych. Tłumaczył, że aby krytykować i poprawiać świat, należy najpierw poukładać swoje sprawy. To mnie przekonuje. Muszę pomyśleć o dywersyfikacji portali społecznościowych, większość z nich preferuje bowiem treści lewicowe i trudniej mi się przebić z moim przekazem, kilkukrotnie też kasowano mi konta. Lewicowe media utrudniają mi zadanie, ale z drugiej strony – bez tego nie byłoby zabawy [śmiech].

eprasa.pl 4fcee5af34



Co dalej z pandemią?

Epidemiolodzy zwracają uwagę na to, że być może wkraczamy właśnie w kolejną fazę pandemii. Teraz, gdy ludzie poczuli się bezpiecznie i lekceważą środki ostrożności, wirus znów ma dobre warunki do przenoszenia się. Podstawowym wyzwaniem jest więc wyjaśnienie, jak koronawirus działa w organizmie, jakich spustoszeń w nim dokonuje oraz dlaczego jedni ludzie są bardziej narażeni, a inni mniej. Trzeba też odpowiedzieć na pytanie, czy odporność, którą uzyskują ozdrowieńcy, jest trwała czy tylko czasowa



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że pandemię koronawirusa mamy już w Polsce za sobą. Zrobiło się ciepło i świat dookoła jakby wrócił do normalności. Na ludzką psychikę mocno zadziałało zdjęcie maseczek. W czasie gdy wszyscy musieli je zakładać, ich widok ciągle przypominał o ryzyku zakażenia. Dziś coraz trudniej dostrzec je na ulicy, a twarz zakrywają głównie starsze osoby, które z powodu wieku wolą zachować większą ostrożność. Pozostali czują się najwyraźniej bezpiecznie, bo nawet tam, gdzie nadal obowiązuje wymóg zakrywania twarzy, np. w sklepach lub w środkach komunikacji miejskiej, dyscyplina mocno spadła. Zagrożenie zostało niemal całkiem wyparte ze społecznej świadomości. Wielu sądzi, że już go nie ma.

To naturalny odruch, zwłaszcza że koronawirus – przynajmniej w Polsce – okazał się, jak dotąd, mniej zjadliwy niż np. we Włoszech czy w Hiszpanii. Na poziom lęku przed chorobą największy wpływ ma zwykle liczba zgonów, a tych było u nas relatywnie niewiele. Można więc powiedzieć, że dzisiejsze „wyluzowanie" Polaków jest przede wszystkim zasługą rządu,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4fcee5af34

bo tylko dzięki bardzo szybkiej reakcji władzy udało się u nas uniknąć powtórki scenariusza włoskiego.

Epidemiolodzy zwracają jednak uwagę na to, że być może właśnie wkraczamy w kolejną fazę pandemii. Teraz, gdy ludzie poczuli się bezpiecznie i lekceważą środki ostrożności, wirus znów ma dobre warunki do przenoszenia się. Już na początku pandemii uważano, że może ona przybrać kształt wznoszącej i opadającej na przemian fali, przy czym – według prognoz – ta druga fala ma być znacznie wyższa od pierwszej. Również minister zdrowia Łukasz Szumowski obawia się, że koronawirus powróci z nową siłą. „Przyjdzie na jesieni razem z sezonem grypowym" – powiedział w niedawnym wywiadzie dla PAP. „Myślę, że zakażeń może być więcej niż obecnie" – dodał.

ZARAZA SIĘ TLI

I rzeczywiście, patrząc na statystyki, trudno powiedzieć, że uporaliśmy się w Polsce z koronawirusem. W trzeciej dekadzie czerwca mieliśmy ponad 13 tys. aktywnych przypadków, a liczba zgonów przekroczyła 1,4 tys. Biorąc pod uwagę, że do połowy czerwca łączna liczba zarejestrowanych przypadków wyniosła u nas ponad 30 tys. chorych, nie wydaje się to jakimś szczególnym osiągnięciem. Dla porównania we Włoszech, gdzie zanotowano łącznie 240 tys. przypadków i prawie 35 tys. zgonów, jest dziś 18 tys. chorych, a zatem niewiele więcej niż w Polsce.

> Brak objawów nie oznacza, że choroba koronawirusowa jest niegroźna. W opinii wielu lekarzy koronawirus dewastuje układ odpornościowy człowieka, co prowadzi do poważnych schorzeń

Dynamika pandemii była u nas – jeśli wierzyć statystykom, które wyłapują tylko wykryte przypadki – nieco inna niż w wielu krajach Europy Zachodniej. Szybka izolacja pozwoliła wyhamować gwałtowny przyrost liczby chorych, ale przecież go nie zatrzymała. We Włoszech przebieg pandemii przypominał gwałtowny wybuch ognia, który wyrzucił płomienie wysoko w górę, po czym zaczął przygasać. U nas jest to raczej tlący się powoli węgiel, wielkich płomieni nie ma, ale żar utrzymuje się dłużej.

Dobowe wzrosty długo uparcie utrzymywały się na podobnym poziomie – pomiędzy 300 i 400 nowych przypadków. Trochę zamieszania spowodowały nowe ogniska koronawirusa, przede wszystkim na Śląsku, co w czerwcu przejściowo podbiło liczbę zakażeń do 500, a nawet 600 dziennie. Po przeprowadzeniu badań przesiewowych w śląskich kopalniach znów się uspokoiło i Polska notuje nie więcej niż 300 przypadków na dobę. Dużo to czy mało? Porównując z Europą Zachodnią, raczej sporo. Przykładowo 24 czerwca więcej zakażeń od nas wykazywały Niemcy i Wielka Brytania. Na zbliżonym poziomie były Szwecja i Hiszpania. Lepiej było m.in. w Belgii, Holandii i we Włoszech.

Zdaniem wirusologa prof. Włodzimierza Guta epidemia opanowana jest wtedy, gdy liczba zakażeń spada do poziomu ok. 30–40 przypadków na dobę, jednak w Polsce możemy na razie pomarzyć o takich spadkach. Wygląda więc na to, że koronawirus polubił Polskę i nie za bardzo chce nas opuścić, ale niewykluczone, że to tylko złudzenie spowodowane brakiem wiedzy o rzeczywistej skali pandemii w Polsce. Testowanie na dużą skalę ruszyło u nas ze sporym opóźnieniem, bo początkowo brakowało i testów, i laboratoriów. Warto przypomnieć, że w marcu trzeba było wysyłać próbki do Niemiec. Dziś jest znacznie lepiej, w Polsce działa blisko 160 laboratoriów, a liczba wykonanych testów zbliżyła się w zeszłym tygodniu do 1,5 mln. A im więcej testów, tym więcej możliwości wykrycia zakażeń.

Niektórzy sądzą, że rzeczywista liczba chorych jest znacznie wyższa, niż podają statystyki. Poseł Porozumienia i były szef NFZ Andrzej Sośnierz szacuje łączną liczbę przypadków na ponad 100 tys. – jednak z powodu mniejszej liczby testów w pierwszych miesiącach pandemii wielu zakażonych nie zostało wykrytych. Nic więc dziwnego, że liczba przypadków nie spada u nas tak szybko jak w krajach, które testowały na większą skalę już wcześniej.

Pogłoski o zniknięciu koronawirusa wydają się zatem przesadzone. Przy czym nie warto doszukiwać się tu żadnych teorii spiskowych. Po prostu oficjalne statystyki dotyczą wyłącznie udokumentowanych przypadków i są pochodną liczby wykonanych testów.

Gdyby przyjrzeć się geograficznemu rozkładowi zakażeń, to okaże się, że jest on dość zróżnicowany. Są województwa, np. zachodniopomorskie czy warmińsko-mazurskie, w których liczba nowych przypadków spadła do kilku na dobę, ale są i takie, gdzie notuje się po kilkadziesiąt zachorowań dziennie (mazowieckie, łódzkie), a nawet powyżej stu – to przypadek śląskiego związany z ogniskami koronawirusa w kilku tamtejszych kopalniach. Ogniska choroby pojawiają się zwykle w zamkniętych skupiskach ludzi (kopalnie, szpitale, fabryki) i mogą wybuchnąć w każdym regionie. Dlatego mimo różnicy w liczbie przypadków trudno dziś uznać, że to lub inne województwo uwolniło się od zagrożenia.

Dobrą wiadomością jest za to stały wzrost liczby ozdrowieńców, których w ub. tygodniu było już prawie 20 tys. Oznacza to, że od połowy czerwca mamy wreszcie więcej wyleczonych niż nowych zakażeń, a to pozwala myśleć z ostrożnym optymizmem o najbliższej przyszłości.

LETNIE PRZYSPIESZENIE

Ten ostrożny optymizm zakłóca jednak ostrzeżenie wystosowane tydzień temu przez Światową Organizację Zdrowia (WHO). W Europie, przez którą przetoczyła się już pierwsza fala zakażeń, nie dostrzega się, że zagrożenie nadal jest poważne. Dane spływające z całego świata bowiem wskazują, że pandemia koronawirusa nie tylko nie wygasa, ale wręcz przyśpiesza. „Pierwszy milion zakażeń odnotowano

eprasa.pl 4fcee5af34

po ponad trzech miesiącach, a ostatni milion zaledwie po upływie ośmiu dni" – powiedział dyrektor generalny WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus. 21 czerwca łączna liczba zakażonych przekroczyła na świecie 9 mln osób, z tego blisko 4 mln stanowiły aktywne przypadki.

Niektórzy wiążą intensywność zakażeń z warunkami geograficznymi. Zdaniem włoskich naukowców koronawirus osiąga najwyższą zakaźność w szczególnych warunkach klimatycznych, przy określonej temperaturze i wilgotności powietrza występującej w pasie obejmującym całą Ziemię: od Iranu przez basen Morza Śródziemnego aż po niektóre rejony Ameryki Północnej. Takie sprzyjające warunki pogodowe dla koronawirusa, jak twierdzą badacze, występowały wiosną we Włoszech, a skoro tak, to COVID-19 może powrócić z nową siłą, gdy sytuacja się powtórzy.

W tej chwili epicentrum pandemii znajduje się w Ameryce Łacińskiej. Najgorsza sytuacja panuje w Brazylii, gdzie zanotowano ponad milion zakażeń i największe dobowe liczby zgonów przekraczające tysiąc osób. Pandemia gwałtownie rozwija się również w Peru, Chile i Meksyku.

Drugim ogniskiem koronawirusa staje się subkontynent indyjski: Indie z lawinowo rosnącą liczbą chorych (sięgającą już pół miliona) oraz sąsiednie Pakistan i Bangladesz. Niepokojem może napawać również Bliski Wschód z Arabią Saudyjską na czele (ok. 170 tys. przypadków w połowie zeszłego tygodnia) oraz Republika Południowej Afryki z dobowymi wzrostami chorych powyżej 4 tys. Przy czym RPA jest państwem o dość solidnej, jak na afrykańskie warunki, infrastrukturze medycznej, czego nie da się powiedzieć o innych krajach tego regionu, gdzie nie ma mowy o szerokim dostępie do testów i laboratoriów. Należy więc podejrzewać, że pandemia rozwija się lub wkrótce się rozwinie z podobną dynamiką na znacznie większym obszarze Afryki. Może to zresztą spowodować trudne dziś do wyobrażenia skutki społeczne, gdy wirus będzie przenosił się wraz z migrującymi grupami ludności.

Te dane, pochodzące przecież z rejonów o gorącym klimacie, powinny zwiększyć naszą czujność. Słońce i wysoka temperatura najwyraźniej nie powstrzymują zakażeń, na co liczono jeszcze kilka miesięcy temu. Dlatego wakacje nie oznaczają końca pandemii.

ZNAKI ZAPYTANIA

W tej chwili kilka renomowanych laboratoriów na świecie pracuje intensywnie nad szczepionką na koronawirusa. Może się jednak okazać, że szybko jej nie dostaniemy, o ile w ogóle się pojawi. Zresztą szczepionka, choć odgrywa kluczową rolę w wygaszaniu pandemii, wydaje się w tej chwili mniej pilna niż znalezienie lekarstwa, które powstrzyma rozwój choroby u już zakażonych i zdoła uratować od śmierci najciężej chorych. Oczywiście ciągle pojawiają się sensacyjne doniesienia o nowych cudownych lekach, jednak takiego leku jeszcze nie ma, mimo że lekarze opracowują różne terapie doświadczalne.

Problem polega na tym, że choć relatywnie wiele wiemy już o koronawirusie i jego budowie, to choroba, którą on wywołuje, pozostaje dla naukowców zagadką. A skoro tak, to trudno myśleć o skutecznym lekarstwie (o szczepionce zresztą też).

Podstawowym wyzwaniem jest więc teraz wyjaśnienie, jak działa wirus w organizmie, jakich spustoszeń w nim dokonuje oraz dlaczego jedni ludzie są bardziej narażeni, a inni mniej. Trzeba też odpowiedzieć na pytanie, czy odporność, którą uzyskują ozdrowieńcy, jest trwała czy tylko czasowa.

Jeśli opierać się na statystyce, to w skali globalnej 9 proc. przypadków zachorowań skończyło się dotąd śmiercią, przy czym umierały zwykle osoby starsze i mniej odporne. Transmisja koronawirusa w otwartej przestrzeni i przy zachowaniu dystansu nie jest zbyt wielka, ale szybko wzrasta w zamkniętych pomieszczeniach. Przy czym sporo chorych, być może nawet ich zdecydowana większość, przechodzi zakażenie bezobjawowo – tu przykładem mogą być przypadki koronawirusa w śląskich kopalniach, gdzie aż 97 proc. chorych przeszło zakażenie bez objawów.

> We Włoszech przebieg pandemii przypominał gwałtowny wybuch ognia, który wyrzucił płomienie wysoko w górę, po czym zaczął przygasać. U nas jest to raczej tlący się powoli węgiel

Brak objawów nie oznacza jednak, że choroba koronawirusowa jest niegroźna. Naukowcy sugerują, że jej skutki mogą się ujawnić w późniejszym czasie. Nawet wśród osób, które przeszły chorobę bezobjawowo, mogą się pojawić uszkodzenia płuc lub nerek, a niektórzy z niewyjaśnionych powodów zaczynają nagle chorować na cukrzycę. W opinii wielu lekarzy wynika to z tego, że koronawirus dewastuje układ odpornościowy człowieka, co prowadzi do poważnych schorzeń.

Do niedawna wydawało się również, że choroba koronawirusowa omija dzieci. Po dokładniejszych badaniach okazało się, że to nieprawda, a w skrajnych przypadkach może ona doprowadzić do poważnych powikłań o objawach podobnych do tajemniczej choroby Kawasakiego, która atakuje układ krwionośny i może doprowadzić do zawału serca. Nie należy więc lekceważyć koronawirusa, bo COVID-19 wcale nie jest sezonową grypą, która zresztą też potrafi być bardzo groźna.

Niczego nie możemy być do końca pewni. Przynajmniej do czasu, gdy nie zostanie dokładnie zbadany mechanizm choroby wywoływanej przez koronawirusa. Pandemia skacze z kontynentu na kontynent i nie widać jej końca. Nie wiadomo też, czy ani kiedy może się pojawić druga fala. Dziś wielu naukowców twierdzi, że stanie się to na jesieni. Może być też tak, że wywoływana przez koronawirusa choroba zakaźna pozostanie z nami na zawsze, wybierając sobie ofiary według ciągle nierozpoznanego przez nas klucza.

eprasa.pl 4fcee5af34

Ugaśmy pragnienie

Czy jedno źródło może ugasić wiele pragnień? Sercanie na misji w Czadzie zaspokajają nie tylko głód Boga, lecz wspierają mieszkańców w ich trudnej codzienności naznaczonej brakiem wody – finansując budowę studni w wioskach. Uczestnicząc w tej akcji, także my ugasimy pragnienie niesienia pomocy, mając wiele możliwości włączenia się w to dzieło, o którym opowiada zastępca sekretarza Misji Zagranicznych Księży Sercanów w Polsce ***ks. Piotr Chmielecki SCJ*** *w rozmowie z Anną Raciniewską*



Kim są sercanie?

Piotr Chmielecki: Jesteśmy zgromadzeniem zakonnym pochodzenia francuskiego, założonym w 1878 r. przez Sługę Bożego ks. Leona Dehona. Od początku misje były bardzo ważnym elementem naszej działalności. Już po 10 latach od założenia pierwsi misjonarze pojechali do Ekwadoru. W Polsce zgromadzenie osiedliło się w 1928 r., a w 1967 r. wyruszyła z naszego kraju pierwsza grupa misyjna – zaproszona do Indonezji przez tamtejszy rząd. Aby koordynować i wspierać akcje misyjne, został utworzony Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów. Rok 2013 przyniósł decyzję o mocniejszym zaangażowaniu finansowym w misje i tak został powołany do życia projekt Zbieramto.

Wokół nas działa sporo organizacji, w tym zakonnych, które zbierają środki na misje. Co wyróżnia waszą działalność?

Stworzyliśmy metodę, która umożliwia niesienie pomocy bez bezpośredniego wpłacania pieniędzy. Polega ona na dzieleniu się zepsutą biżuterią, której wartość jest niewielka. Zbieramy złoty i srebrny złom: rozerwany łańcuszek, pierścionek, z którego wypadł kamyczek, kolczyk bez pary. Metodą rafinacji profesjonalna firma doprowadza srebro i złoto do próby 999, a następnie wytwarza z niego krzyżyki sercańskie, które sprzedajemy, aby zebrać środki finansowe. Można je kupić w parafiach, które odwiedzamy, a także nabyć w naszym sklepie internetowym: www.sklepzmisja.pl. Te krzyżyki to cegiełki na budowę studni w Czadzie, to symboliczna szklanka wody.

Nie taka symboliczna! Dla Czadyjczyków to kwestia zdrowia, a nawet życia...

Ten symbol staje się konkretem dla parafian polskich misjonarzy w Czadzie: głównie księży sercanów, ale także księży diecezjalnych z Polski. Czad to jeden z najbiedniejszych, a jednocześnie najgorętszych krajów świata. Dochód narodowy jest niewielki. W wydobyciu ropy „pomagają" im Chińczycy. A rolnictwo daje plony takie, na jakie pozwala klimat. Za to korupcja, złodziejstwo są wszechobecne, wpisane w DNA. W taką sytuację wchodzą misjonarze z przykazaniami, nauką Jezusa. Mamy tu mieszankę potrzeb związaną z biedą i z ewangelizacją.

Co jest waszym priorytetem?

Odwieczną metodą misyjną było przywożenie z sobą edukacji i opieki zdrowotnej. To sprawdza się także dziś w Czadzie, który jest ostatnim z krajów afrykańskich, do którego przybyli misjonarze – zaledwie 50 lat temu. Studnie, które tam budujemy, to nasze narzędzie ewangelizacyjne. Przy nich gromadzą się mieszkańcy osad i wiosek, których nawet nie pokazują mapy Google.

Gdy nie ma studni głębinowej, ludzie piją cokolwiek. Kopią doły, piją gromadzącą się tam brudną wodę, bo pragnienie jakoś trzeba zaspokajać – szczególnie przy 40 czy 50 stopniach Celsjusza. Potem chorują, umierają.

Ta zwykła studnia całkowicie zmienia ich życie?

Studnia kosztuje 2,6 tys. euro (ok. 11,5 tys. zł). Ta kwota jest absolutnie poza zasięgiem tych ludzi. Wokół inwestycji misjonarze budują wspólnotę. Z powodu suszy niektóre wioski wyludniały się w tych najgorętszych okresach. Studnia pozwala im zostać i nie opuszczać własnych domów. Misjonarze mobilizują społeczność do zebrania minimum 10 proc. kwoty na wkład własny, aby dać im poczucie bycia właścicielami studni, zaangażować ich w troskę nad nią. Tworzy się także coś na kształt funduszu remontowego – na poczet przyszłych napraw.

„Teraz będziemy pili wodę jak biali, a nie wodę z żabami" – śpiewają kobiety noszące wodę potrzebną do budowy i te słowa najlepiej pokazują, jak wielka zmiana ich życia następuje w momencie wybudowania studni.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 35/0520/F

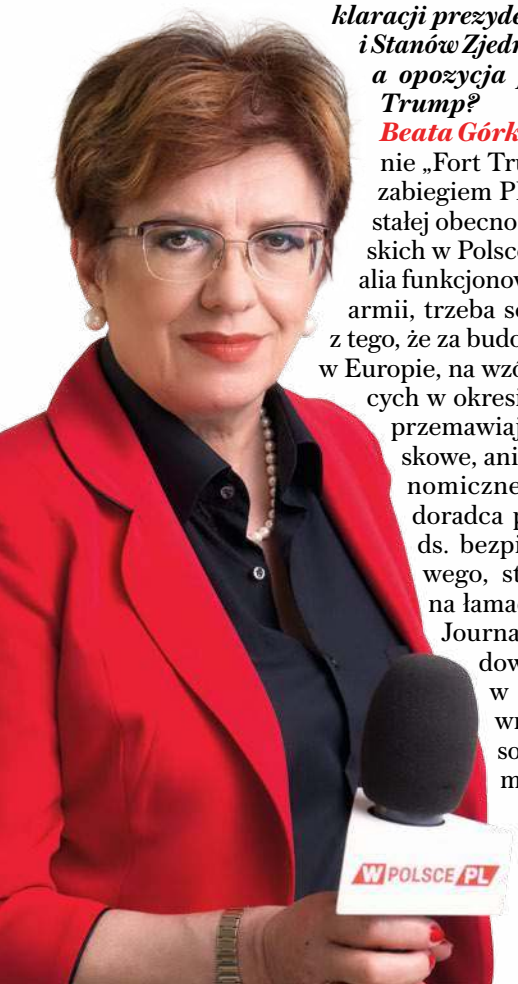
eprasa.pl 4fcee5af34

Duże bazy wojskowe to przeszłość

Jeżeli pojawiają się głosy, że nasza współpraca w ramach NATO za bardzo opiera się na filarze amerykańskim, nie wynika to z przekonań politycznych, tylko realnych doświadczeń wyniesionych z operacji międzynarodowych, w których współpracowaliśmy z najnowocześniejszą i najsprawniejszą armią świata

Z dr Beatą Górką-Winter, ekspertem ds. bezpieczeństwa międzynarodowego z Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego, rozmawia Aleksandra Jakubowska

GOŚĆ JAKUBOWSKIEJ



Wzmocnienie więzi wojskowych oraz rozpoczęcie nowego rozdziału we współpracy energetycznej przez partnerstwo na rzecz rozwoju polskiego sektora energetyki jądrowej zapowiadają we wspólnej deklaracji prezydenci Polski i Stanów Zjednoczonych, a opozycja pyta, co z Fortem Trump?

Beata Górka-Winter: Określenie „Fort Trump" było swoistym zabiegiem PR-owym, symbolem stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Znając obecne realia funkcjonowania amerykańskiej armii, trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że za budowaniem dużych baz w Europie, na wzór tych funkcjonujących w okresie zimnej wojny, nie przemawiają już ani racje wojskowe, ani polityczne czy ekonomiczne. Robert O'Brien, doradca prezydenta Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, stwierdził niedawno na łamach „The Wall Street Journal", że koncepcja budowania wielkich baz, w których wojskowi wraz z rodzinami i personelem pomocniczym mieliby odpowiadać za bezpieczeństwo tych regionów, w realiach współczesnych jest już nie do utrzymania z każdego z wymienionych wyżej powodów.

Dlaczego?

Kiedy w Europie powstawały amerykańskie instalacje wojskowe, wróg i kierunki ewentualnych działań operacyjnych były jasno określone. W dzisiejszych realiach militarnych najważniejsza jest mobilność wojska i gotowość do jego szybkiego przerzutu. Stany Zjednoczone biorą udział w bardzo wielu operacjach wojskowych, w różnych regionach świata. Mamy dziś do czynienia z tak dużą nieprzewidywalnością i koniecznością szybkiego przerzutu wojsk do różnego rodzaju operacji, że od baz typu zimnowojennego już od dłuższego czasu się odchodzi. Także społeczeństwa niektórych państw – sojuszników USA – uważają takie dyslokacje za nieracjonalne i są one coraz mniej akceptowalne, zwłaszcza że kraj goszczący (tzw. host nation) ponosi określone koszty.

Prezydent Trump ponownie, tym razem w czasie konferencji prasowej po spotkaniu z prezydentem Polski, potwierdził wolę wycofania z terenu Niemiec 9,5 tys. żołnierzy tam stacjonujących. Przypomniał, że tylko osiem państw NATO wypełnia swoje zobowiązania finansowe w kwestii obronności. Znowu padły gorzkie słowa krytyki pod adresem Niemiec, jako kraju, który wydaje miliony na zakup surowców energetycznych od Rosji i jednocześnie oczekuje, że USA będą go bronić przed Rosją.

Trump bez wątpienia chce jakoś uzasadnić decyzję o wycofaniu amerykańskich żołnierzy z Niemiec. Jest to niewątpliwie także element nacisku na Niemcy, żeby projekt Nord Stream2 nie został zrealizowany. Wydatki Niemiec na

eprasa.pl 4fcee5af34

obronność w związku z wielkością ich PKB w realnych liczbach nie są wcale takie małe, choć naturalnie mają oni problem z dojściem do pułapu 2 proc. NATO przyjęło również inne pułapy wydatków, np. na modernizację armii, innowacyjne technologie. I tutaj rzeczywiście można mieć do Niemiec trochę pretensji, ponieważ mamy coraz więcej doniesień o pogarszającej się kondycji wojskowej armii niemieckiej, poszczególnych komponentów uzbrojenia, o likwidowaniu jednostek, utracie przez niektóre potencjału bojowego. W tym kontekście rzeczywiście presja na Niemcy jest słuszna. Niemiecka armia ma dużą rolę do odegrania w ewentualnym konflikcie w naszej części Europy, więc zaniedbania na tym odcinku budzą zaniepokojenie państw wschodniej flanki.



Polsce zależy na wzmocnieniu wschodniej flanki, ale nigdy kosztem innych sojuszników. A przecież Niemcy, według planów obronnych przyjmowanych w NATO, są istotnym ogniwem obrony wschodniej flanki

1,8 mln żołnierzy liczą wspólnie europejskie armie. Czy wycofanie kilku tysięcy amerykańskich żołnierzy z Niemiec ma naprawdę tak wielkie znaczenie?

W Japonii w bazach na Honsiu i Okinawie wciąż służy ok. 2 tys. żołnierzy amerykańskich, a w Korei Południowej – 28,5 tys. Po zakończeniu zimnej wojny i procesie wycofywania wojsk amerykańskich z Europy (który rozpoczął się już w latach 80.) w bazach europejskich (głównie w Niemczech i we Włoszech, a zatem w dużej odległości od państw wschodniej flanki) wciąż stacjonuje ok. 40 tys. amerykańskich żołnierzy (co oznacza zmniejszenie ich liczby o połowę w porównaniu z rokiem 2006; w okresie zimnej wojny w Europie stacjonowało zaś ok. 350 tys. żołnierzy amerykańskich). Od roku 2006 siły zbrojne USA zlikwidowały na terenie Europy ok. 100 obiektów wojskowych, wycofano również większość ciężkiego sprzętu.

Prezydent Duda zaapelował w czasie swojej wizyty w Białym Domu o pozostawienie amerykańskich żołnierzy w Niemczech, ponieważ jego zdaniem wycofanie nawet 9,5 tys. będzie „bardzo szkodliwe dla bezpieczeństwa europejskiego”.

Rzeczywiście, wojska amerykańskie w Europie pełnią istotną funkcję odstraszającą, nikt nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Na wartość stacjonowania jednostek amerykańskich jako gwarancji uniknięcia konfliktu o dużej skali, choć już nie uniknięcia czy eskalacji napięć o mniejszej skali, wskazują także opublikowane w ostatnich latach raporty RAND, np. z 2016 i z 2019 r., których autorzy wskazują, że obecność jednostek amerykańskich ma istotną wartość odstraszającą dla potencjalnego agresora.

Prezydent Trump nie wykluczył jednak, że część wycofywanych z Niemiec żołnierzy może być skierowana do Polski. To może wpłynąć na nasze stosunki z Niemcami?

Ale przecież to nie jest polski pomysł, rząd nie występował wobec amerykańskiej administracji z takimi sugestiami, a prezydent Duda w czasie spotkania z Trumpem wyraźnie zaapelował, by administracja przemyślała tę decyzję. Zależy nam na wzmocnieniu wschodniej flanki, ale nigdy kosztem innych sojuszników. A przecież Niemcy, według planów obronnych przyjmowanych w Sojuszu, są istotnym ogniwem obrony wschodniej flanki, ze względu na logistykę, możliwości przerzutowe. Nawet jeśli część żołnierzy z Niemiec trafi do baz w Polsce, ogólny bilans wojsk amerykańskich w regionie będzie ujemny i to budzi zaniepokojenie.

NATO powstało w 1949 r. jako sojusz przeciwko możliwej agresji ZSRR. Niektórzy analitycy twierdzą, że teraz Amerykanie bardziej obawiają się tego, co się dzieje w Azji.

Od zakończenia zimnej wojny sytuacja strategiczna na wschodniej flance zmieniła się zasadniczo. W latach 90. i później, zwłaszcza po ataku terrorystycznym na World Trade Center, doszło do przeformułowania priorytetów, jeśli chodzi o kierunki zaangażowania NATO. Chociaż nadal jako swój główny cel stawiało obronę państw sojuszniczych, to po 2001 r. większość wysiłków skierowano na walkę z terroryzmem i wiele państw dołączyło do tej globalnej koalicji (Global War on Terror). W 2008 r. po ataku Rosji na Gruzję i po aneksji Krymu w 2014 r. ostatecznie się okazało, że przewidywania, iż w Europie nie ma już możliwości konfliktu o charakterze konwencjonalnym, okazały się zbyt optymistyczne. Rosja cały czas taki konflikt bierze pod uwagę, są prowadzone manewry Zapad, ciągle aktualizuje się doktrynę nuklearną, która w tej chwili przewiduje, że właściwie każde działanie NATO, wobec którego Rosja może się czuć

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 4fcee5af34

zagrożona, może się spotkać z odpowiedzią nuklearną. Wracamy do sytuacji, że znowu hierarchia zagrożeń musi zostać zmieniona. Jesteśmy postawieni w dosyć trudnej sytuacji rywalizacji o środki i uwagę polityczną Stanów Zjednoczonych. Już za kadencji prezydenta Obamy uwaga administracji przeniosła się do Azji – na kierunek chiński – wystarczy przeanalizować amerykańskie dokumenty strategiczne, żeby mieć świadomość, jak dużą wagę USA przywiązują do zagrożenia chińskiego. Wprawdzie Rosja nadal jest postrzegana jako ogromne zagrożenie, natomiast nie ulega wątpliwości, że teatr europejski rywalizuje z azjatyckim, a europejscy sojusznicy powinni mieć tego świadomość. Wielu z nich wygląda jednak na dość „zrelaksowanych", jeśli chodzi o te kwestie. Paradygmat pokojowej dywidendy wciąż dominuje w wielu państwach europejskich.



Trump także chce wycofać amerykańskie wojska z miejsc konfliktów na świecie

Ostatnio w czasie wykładu w West Point powiedział, że chce zakończyć „niekończące się wojny", które prowadzi Ameryka w Iraku, Afganistanie, na Bliskim Wschodzie. W tych regionach zaangażowanie wojsk amerykańskich wciąż jest znaczne, a jego efekty nie są specjalnie widoczne. Świadomość, że za pomocą siły zbrojnej nie da się rozwiązać wielu zawikłanych sporów natury politycznej, w które Stany Zjednoczone zaangażowały się na przestrzeni ostatnich lat, jest w Ameryce coraz bardziej powszechna. Poza tym to ciągłe zaangażowanie zewnętrzne wpłynęło także na problemy wewnętrzne Stanów, które poniosły ogromne straty. Wojna kosztuje przecież nie tylko w momencie, kiedy się ją prowadzi, lecz także po jej zakończeniu. Ponosi się ogromne skutki społeczne, boryka się z brakiem inwestycji infrastrukturalnych w kraju, zubożeniem społeczeństwa, chorobami psychicznymi i fizycznymi żołnierzy, którzy wracają do kraju i właściwie do końca życia pozostają na zasiłkach, wpadają w uzależnienia, popełniają samobójstwa. W Ameryce jest dziś ponad 20 mln weteranów!

Bezpieczeństwo militarne to jest jedna sprawa, a druga, nie mniej ważna, to jest bezpieczeństwo energetyczne. Dostawy gazu z USA spowodowały, że możemy myśleć o dywersyfikacji źródeł surowców energetycznych. Teraz Amerykanie proponują Polsce współpracę przy budowie elektrowni jądrowej. Czy w tym nowym ładzie klimatycznym, który chce narzucić Komisja Europejska, energia jądrowa znajdzie jakieś miejsce?

Dla nas ustalenie proporcji miksu energetycznego – gaz, ropa, energia nuklearna – jest kluczowe. Musimy mieć zapewnioną zarówno dywersyfikację dostawców źródeł energii, ale też zapewnienie odpowiedniego miksu energetycznego. To jest kluczowe dla bezpieczeństwa energetycznego, niezależności i zapewnienia sobie braku podatności na szantaże, które mogą się pojawić, jeśli ma się tylko jednego dostawcę. Protesty przeciwko budowie u nas elektrowni jądrowej zapewne będą i wiemy też, przez kogo mogą być inspirowane. Może się pojawić duży opór, bo każde uniezależnienie się Polski od naszego głównego dostawcy gazu będzie budziło protesty. Będą do tego wykorzystywane różne organizacje, ale inspiracja do tych protestów na pewno będzie płynęła ze Wschodu.

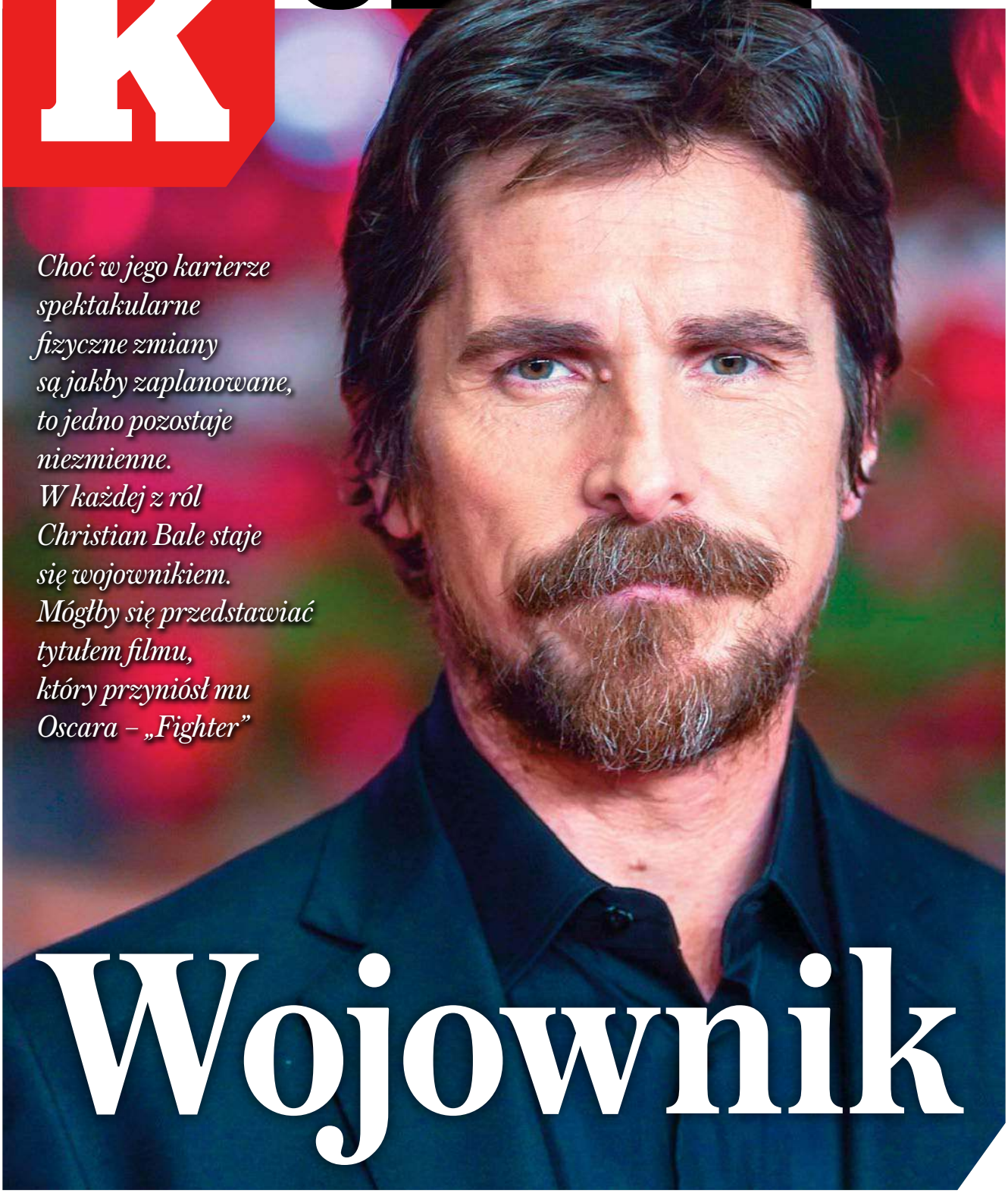
Ukazała się książka, która podsumowuje 20 lat Polski w NATO, jest pani jedną ze współautorek tej publikacji. Z jakimi nadziejami przystępowaliśmy do NATO i co się z tego spełniło?

Jeszcze w latach 90. tak naprawdę nie wiedzieliśmy, jak będzie wyglądała nasza przyszłość, jeżeli chodzi o kwestie bezpieczeństwa. Przystąpienie do NATO absolutnie zmieniło nasz status, staliśmy się ważnym europejskim państwem, liczącym się w cywilizacji zachodniej, bo był to nie tylko projekt militarny, lecz także cywilizacyjny, który na trwale zakorzeniał nas w strukturach zachodnich. Zyskaliśmy gwarancje bezpieczeństwa, wynikające z artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego. Na pewno ułatwiło to nam także wejście do Unii Europejskiej. Jeżeli pojawiają się głosy, że nasza współpraca w ramach NATO za bardzo opiera się na filarze amerykańskim, nie wynika to z przekonań politycznych, tylko realnych doświadczeń wyniesionych z operacji międzynarodowych, w których współpracowaliśmy z najnowocześniejszą i najsprawniejszą armią świata, armią o wciąż największych możliwościach projekcji siły w skali globalnej.

Fot. Shutterstock

Reklama | xxx

eprasa.pl 4fcee5af34



Wojownik

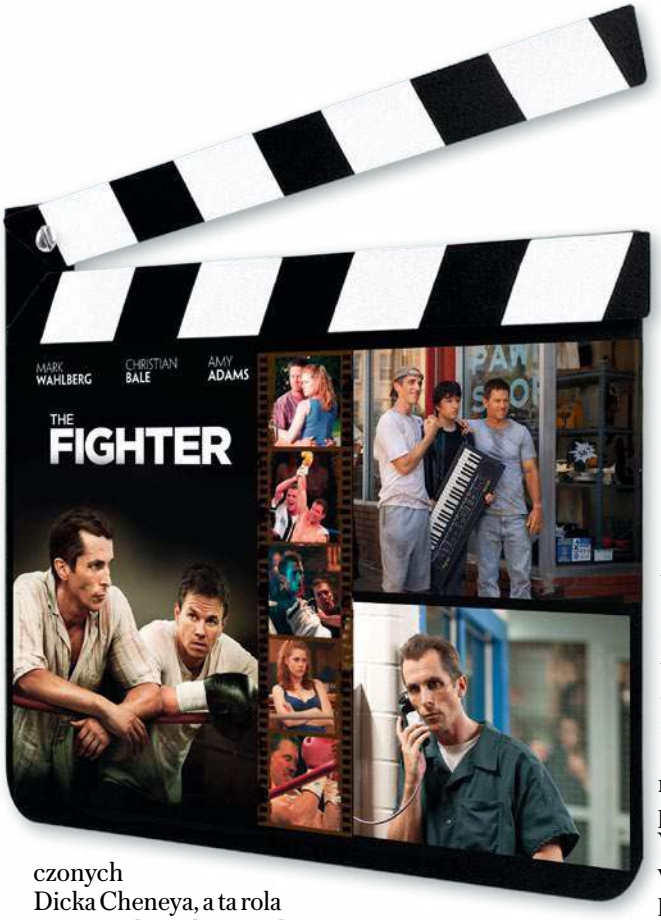
Choć w jego karierze spektakularne fizyczne zmiany są jakby zaplanowane, to jedno pozostaje niezmienne. W każdej z ról Christian Bale staje się wojownikiem. Mógłby się przedstawiać tytułem filmu, który przyniósł mu Oscara – „Fighter”

Fot. Denis Makarenko / Shutterstock

eprasa.pl 4fcee5af34



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



W czasie, gdy pandemia pokrzyżowała wiele sportowych wydarzeń, dwa wyjątkowe filmy na ten temat pokaże w nadchodzący weekend TVP Kultura. Sobotni wieczór 4 lipca (godz. 20) będzie należeć do duetu „Borg/McEnroe", czyli nakręconej trzy lata temu historii najsłynniejszego pojedynku tenisistów wszech czasów. Dzień później do widzów trafi obraz Davida O'Russella „Fighter" z oscarową rolą Christiana Bale'a.

AKTORSKI NOKAUT

To była pierwsza i jak dotąd jedyna statuetka złotego rycerza, którą aktor wywalczył, choć nominowany był czterokrotnie. Pierwszy raz, właśnie za „Fightera" z roku 2010, gdzie zagrał co prawda rolę drugoplanową, ale wbił nią wszystkich w zachwyt. Wcielając się w byłego boksera, który po odsiadce zostaje trenerem, przegonił po narożnikach – i nie tylko jak się okazało – odtwórcę głównej roli Marka Wahlberga.

Potem miał jeszcze szansę na Oscary za pierwszy plan w „American Hustle" (2013), drugi plan w „Big Short" (2015) i tytułową postać w filmie „Vice" z 2018 r.

To, że dla roli gotowy jest na wyjątkowe fizyczne poświęcenia, pokazał w niejednej produkcji. Na zmianę chudnąc i tyjąc, budując mięśniową masę i wycieńczając organizm do granic wydolności (jak w filmie „Mechanik" (2004), z którego pochodzą budzące grozę kadry, pokazujące jego drastycznie wychudzone ciało.

Pół roku od zakończenia zdjęć do tego filmu na potrzeby kolejnej produkcji „Batman: Początek" miał już wyrzeźbioną sylwetkę. Wracał do niej i do tego superbohatera jeszcze dwukrotnie. Naprzemiennie. W międzyczasie zagrał byłego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych Dicka Cheneya, a ta rola wymuszała nadwagę, choć pewnie nie to było najważniejsze.

IMPERIUM SPIELBERGA

Na co dzień Bale jest zwyczajnym, żeby nie powiedzieć banalnym z wyglądu mężczyzną. To aktorstwo pozwoliło mu doświadczyć niezwykłych przeobrażeń. Ten potencjał dostrzegł w 13-letnim Christianie Steven Spielberg. Dlatego wybrał go spośród czterech tysięcy chłopców do roli Jamesa Grahama w „Imperium słońca" (1987).

W jak poruszający sposób Bale wcielił się w nastolatka, który z arystokratycznego domu trafia w sam środek piekła obozu dla internowanych, przypomniała niedawno TVP2. Już w tej dziecięcej i jednocześnie bardzo dojrzałej kreacji można zauważyć cechy, dzięki którym jego nazwisko wciąż liczy się w Hollywood.

ROZJUSZONY VIRAL

Urodzonemu w Walii, dziś 46-letniemu aktorowi, udała się nie lada sztuka. Przygodę z kamerą, którą zaczął jako dziewięciolatek od reklamy płatków śniadaniowych, przekuł na filmowe zawodowstwo.

Od lat dowodzi, że budując ekranową postać, potrafi walczyć. Ze swoim ciałem i wyzwaniami, jakie niesie rola. Podczas zdjęć jest bardzo skupiony. Jedenaście lat temu do sieci wyciekły nagrania z planu obrazu „Terminator: Ocalenie", kiedy aktor z wściekłością naskoczył na jednego z członków ekipy, gdy ten rozproszył go podczas ujęcia i tym samym zepsuł scenę.

Filmik z rozjuszonym Bale'em stał się przebojem internetu. W odpowiedzi na ten viral i jego zasięg aktor publicznie się pokajał, prosząc, by jego „niezwykle zawstydzające załamanie nie przyćmiło filmu". Od tamtego czasu Bale bardzo się pilnuje, unika też mediów społecznościowych. Nawet w dobie koronawirusa.

BATMAN NA ROWERZE

O jego życiu prywatnym wiadomo niewiele. W 2000 r. ożenił się, pięć lat później został po raz pierwszy ojcem (córka Emmaline), a w 2014 r. urodził mu się syn Joseph. Aktor lubi zwierzęta (ma ponoć dwa psy i trzy koty). Jest wegetarianinem.

O formę dba nie tylko na siłowni. Gdy poluzowano obostrzenia z powodu koronawirusa, widziany był w stroju do surfowania na plaży w Los Angeles. Plotkarskie strony donosiły też, że podczas lockdownu jeździł po swojej dzielnicy na rowerze. Podkreślano, że stylizacją (czyli czarną maską z filtrem) przypominał jedną ze swoich najbardziej rozpoznawalnych ról.

Jako Batman był pozytywnym bohaterem. W filmie „Thor: Love and Thunder", do którego zdjęcia ruszą ponoć w sierpniu, ma zagrać czarny charakter. Czym tym razem zaskoczy nas Bale, zobaczymy pod koniec roku.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 4fcee5af34

Wyśpiewać nadzieję

Rewelacyjne płyty Aleksandry Kurzak i Piotra Beczały. Melomani w czasach zarazy nie będą się nudzić



ADAM CIESIELSKI

Polskie gwiazdy światowej wokalistyki tak jak inni artyści dotkliwie odczuwają skutki pandemii. Nie poddają się jednak przygnębieniu. Oto właśnie wydały swe najnowsze płyty. Już same ich tytuły: „Desire" (Pragnienie) Aleksandry Kurzak czy „Vinceró!" (Zwyciężę!) Piotra Beczały zdają się przynosić krzepiący zastrzyk wiary w przyszłość opery.

Oboje nasi śpiewacy są od lat na ustach melomanów i recenzentów, oklaskujących ich popisy na najznamienitszych scenach – od nowojorskiej Metropolitan Opera, londyńskiej Covent Garden, po Paryż, Wiedeń, Mediolan, Monachium. Piotr Beczała uznawany jest za jednego z najlepszych dziś tenorów. Laureat licznych wyróżnień z International Opera Award, czyli operowym Oscarem w 2018 r., Erwin Piscator Award oraz Diapason d'Or w 2020 r. na czele. Ostatnie z trofeów francuska krytyka przyznała artyście za wydany przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina album „Pieśni" Mieczysława Karłowicza i Stanisława Moniuszki, wykonywanych przez Beczałę z akompaniamentem Helmuta Deutscha.

Wybuch pandemii zastał naszego tenora w Żabnicy k. Żywca. Śpiewał tam 25 kwietnia podczas transmitowanej w internecie „Metropolitan Opera at Home Gala" z udziałem 40 gwiazd nowojorskiej sceny (w tym Aleksandry Kurzak i jej męża Roberto Alagny). Jednocześnie, nie tracąc nadziei na powrót spektakli z publicznością, przygotowywał się do roli Radamesa w „Aidzie". Miał w niej debiutować w Met jesienią. Organizatorzy jednak, podobnie jak wiele innych prestiżowych scen i festiwali, anulowali wszelkie tegoroczne plany, przenosząc realizację tytułu aż na 2022 r. Ale nasz pieśniarz ma wystąpić w Nowym Jorku już 31 grudnia 2020 r., na gali otwierającej nowy sezon. Natomiast już 8 i 10 października Beczała zaśpiewa tytułową partię w „Wertherze" Masseneta w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej.

Nie czekając na te i inne okazje, wydał teraz świetną płytę. Demonstrującą atuty wzbogacające jego możliwości głosowe. Artysta, podziwiany kiedyś w repertuarze mozartowskim, potem romantycznym, zdolny jest od jakiegoś czasu odzwierciedlać także dramaty silnie osadzonych społecznie bohaterów włoskich oper werystycznych. W nowym wydawnictwie wykonuje arie z oper Mascagniego, Cilei, Giordano, Leoncavallo oraz aż siedmiu dzieł Pucciniego. Właśnie od dwóch arii Cavaradossiego z „Toski" tego kompozytora całość się zaczyna, a kończy słynnym „Nessun dorma" z jego opery „Turandot". Trudno o lepszą klamrę, ale i pozostałych 16 arii to popis wybornej dyspozycji Beczały w repertuarze, który będzie wykonywał przez lata. Zapewne sięgnie doń w lutym 2021 r., kiedy to ma dać koncert z orkiestrą i chórem w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej.

Wcześniejszym, bo już grudniowym wydarzeniem na tej scenie mają być występy Aleksandry Kurzak, najbardziej rozchwytywanej w świecie polskiej wokalistki operowej. Pandemia uwięziła ją w Paryżu, wraz z mężem i sześcioletnią córeczką. Artystka doskonale radzi sobie w koncertach i spotkaniach internetowych, ale marzy o powrocie do normalności i żywego kontaktu z publicznością. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, trzykrotnie zaśpiewa w Warszawie tytułową partię we wznowieniu „Madame Butterfly". W tej roli udanie debiutowała przed rokiem w stolicy podczas plenerowego spektaklu pod Pałacem Kultury. Aria z II aktu opery Pucciniego znalazła się także na najnowszym albumie znakomitej sopranistki – „Desire", rekomendowanym esejem legendarnego brytyjskiego krytyka Johna Allisona. Wśród 11 dalszych pozycji z tej płyty są m.in. nader efektownie wykonane arie z oper Verdiego, Pucciniego, Bizeta, Czajkowskiego, a także przejmująca skarga Halki z opery Moniuszki. Wokalistka nigdy nie przepuszcza okazji do promowania polskiego repertuaru.



Aleksandra Kurzak
„Desire"
Solistce towarzyszy wiedeńska Morphing Chamber Orchestra pod dyr Frédérica Chaslina
Wyd. Sony Classical



Piotr Beczała
„Vinceró!"
Soliście towarzyszy Orquestra de la Comunitat Valenciana i chór z Walencji pod dyr. Marco Boemiego
Wyd. Pentatone

eprasa.pl 4fcee5af34

3 MIŁOŚCI

Święta miłości Ojczyzny



ROBERT TEKIELI

Patrzmy na siebie bez kompleksów, bo widzimy Polskę często niesprawiedliwie, jako drugorzędny kraik. To pranie mózgów jest robotą propagandzistów carskich i sowieckich, bismarckowskich, peerelowskich, ale też mentorów pedagogiki wstydu z III RP. Zobaczmy, jak długo cywilizacja zachodnia musiała czekać na podobny do I Rzeczypospolitej wielki kraj. Czyli na USA

Zabij samochodem biskupa, który może uczynić zło tyle zła, ile dobra światu Jan Paweł II. Przejmij za pomocą szantażu na oczach całej Polski genialnie prosperującą firmę informatyczną. Aby ukraść nędzne miliony, zabij syna przedsiębiorcy, który nie chce lokalnemu układowi oddać swego biznesu. Odpal szefa policji, ministra sportu, generała. Spal żywcem kobietę psującą interes prywaciarzom od warszawskich kamienic. Podaj specyfik wywołujący zawał serca inspektorowi NIK, który odważył się nagłośnić miliardowy przewał wojskowych służb specjalnych, i załóż za tę kasę telewizję kłamiącą całą dobę. A wcześniej jeszcze odpal prezesa Najwyższej Izby Kontroli i policjantów, którzy byli pierwsi na miejscu „wypadku".

Można kreatywniej? Można. Kapuś przywraca orłu koronę, kapuś wywraca i ośmiesza lustrację, kapuś największym w Polsce obrońcą życia nienarodzonego. Co jeszcze? Operacja „Wanna Wassermanna", czyli próba zaszczucia weryfikującego esbeków w Krakowie późniejszego ministra sprawiedliwości. Mało? Montaż „Zniszczyć Kerna", czyli wyeliminowanie z życia publicznego drugiej osoby w państwie.

A operacja „Palikot", której ogłoszonym celem było zniszczenie godnościowych podstaw prezydentury Lecha Kaczyńskiego? A śmierć prezydenta? Rozbijający się samolot z dowództwem sił powietrznych kraju? Najwyższy na świecie maszt radiowy przewracający się akurat przed próbą puczu w Moskwie? Maszt, z którego emitowane fale radiowe sięgały po Ural.

Wystarczy, by zapytać, w jakim kraju żyjemy? Jaką przebodli nas ojczyzną? Nie mamy sił, by ją odzyskać? Co się z wami dzieje? Co się z nami dzieje!

Ledwo wiek temu, dwa lata po odzyskaniu niepodległości, obroniliśmy się przed bolszewicką nawałą. Gdzie nasz COP? Gdzie magistrala węglowa Śląsk–Bałtyk? Gdzie nasza Gdynia?

Polska od czasów Kazimierza Wielkiego była cywilizacją. Osobną siłą kulturotwórczą z absolutnie prekursorskimi elementami systemu prawnego. Krainą od morza do morza, państwem bez pogromów i skrajnej nietolerancji właściwej pozostałej części ówczesnej Europy. Druga Rzeczpospolita była Pierwszą w pigułce, tak samo kreatywna, osobna i żywotna. Młode, wielokulturowe państwo, które w sferze kultury materialnej stworzyło zachwycające do dziś cuda.

Najlepszy na świecie bombowiec Łoś, myśliwiec p-11c, pistolet Vis, pojazdy pancerne z peryskopem odwracalnym Rudolfa Gundlacha, wieżowiec Prudential i obrotowy parkiet restauracji Adria, naczynia z cukierni Ziemiańska, transatlantyk Batory, sławojkę – toitoikę wszech czasów, Luxtorpedę – polskie pendolino lat 30., – i lokomotywę Piękna Helena Pm 36-1, motocykl Sokół, kamper na podróż dookoła świata i walcarkę Tadeusza Sendzimira. Do tego unikatowa polska szkoła sztuki użytkowej stworzona przez należących do światowej elity projektantów stapiających zgrabnie najmodniejsze światowe trendy w oryginalną całość.

A co my zrobiliśmy przez ostatnie 30 lat? Nasi przodkowie wymyślili na nowo państwo, którego naród był pozbawiony półtora stulecia. Polacy stworzyli po 1918 r. od zera państwową symbolikę, wykreowali nowy wyraz estetyczny publicznych gmachów, szkolnych podręczników i masowych organizacji, poprzez mundury i broń dla wojska, aż po najdrobniejsze przedmioty codziennego użytku. Patrzmy na siebie bez kompleksów, bo widzimy Polskę często niesprawiedliwie, jako drugorzędny kraik. To pranie mózgów jest robotą propagandzistów carskich i sowieckich, bismarckowskich, peerelowskich, ale też mentorów pedagogiki wstydu z III RP. Zobaczmy, jak długo cywilizacja zachodnia musiała czekać na podobny do I Rzeczypospolitej wielki kraj. Czyli na USA. II RP została zdławiona bolszewickim i narodowosocjalistycznym butem. Dziś odradzamy się pomiędzy dwoma silniejszymi jeszcze od nas potencjami. Ogarniemy to, kochani?

eprasa.pl 4fcee5af34

KULTURA

Warte



Dwie publiczne wypowiedzi zakończyły niecały rok temu ukrytą fazę inwazji ideologii LGBT na Polskę. Homilia abp. Jędraszewskiego z jednym zdaniem o tęczowej zarazie oraz felieton prof. Nalaskowskiego o przechodzących ulicami naszych miast uczestnikach „marszy równości", wędrownych gwałcicielach odurzonych ideologią LGBT. A symboliczny gwałt, symboliczna przemoc, opluwanie świętych dla będącej na celowniku wspólnoty znaków – według podręczników dywersji opartych na sztuce wojennej Sun Zi, a pisanych przez kremlowską kamarylę – to jedna z ważniejszych metod dywersji mającej na celu opanowanie zaatakowanego kraju.

Aleksander Nalaskowski w swej nowej książce analizuje kolejne pola ideologicznej agresji na zachodnią cywilizację. Pisze o klęsce (redefiniowaniu) uniwersytetu, o przejętej przez kolejne nowożytne ideologie szkole (esej „Znikająca pedagogika"), pisze o nowym rozumieniu tolerancji, równości, obywatelskości i normy. Szczególnie polecam esej o edukacji seksualnej, w którym autor miażdży standardy WHO poprzez wydobycie mechanizmów perswazyjnych ich ideologicznej narracji.

W aneksie do książki zamieszczone zostało zdjęcie, na którym umalowani, udający kobiety, obnażeni faceci z wiankami na głowach mizdrzą się w trakcie homoparady. W czym męskim homoseksualistom przeszkadza dziewictwo? Pytanie naiwne. Jesteśmy na wojnie. Trwa masowy import idei, destrukcyjnych symboli, obrzydliwości. Zachód już jest tęczowy. Polska ma być tęczowa.

Profesor pisze z felietonową swadą, zachowując rygory dzieła naukowego (są przypisy, spis literatury i źródeł). Ale nie ma to znaczenia, książka zostanie przemilczana, ponieważ druga strona wojny cywilizacji jest bezradna wobec wszechstronnie wykształconych i zakorzenionych w tradycji i wspólnocie humanistów. Władającego trzema językami doktora habilitowanego trudno nazwać zacofanym moherem. A rewolucjoniści nie mają jeszcze w Polsce monopolu na wystąpienia publiczne oraz państwową przemoc.

Aleksander Nalaskowski,
„Wielkie zatrzymanie. Co się stało z ludźmi?",
Biały Kruk, 2020

Niewarte

POPKULTURA

Czerwiec to nie tylko miesiąc bobu i czereśni. Na Zachodzie jest to również miesiąc zmasowanej propagandy neomarksistowskiej. Netflix zrobił specjalną kategorię swoich produkcji pt. „Z okazji miesiąca dumy LGBTQ". Pod tą zakładką znajduje się kilkadziesiąt filmów i seriali, m.in. „Porady różowej brygady", „Modern Family", „Wybory Paytona Hobarta", „Jeszcze nigdy", „Więcej niż myślisz", „Szkoła dla elity" i kilka sezonów programu „RuPaul's Drag Race" o drag queens. Na HBO GO oferta jest niewiele skromniejsza. Wspomnę jedynie o serialu „We're Here", również o drag queens, oraz o głośnej „Obsesji Eve", thrillerze o lesbijkach, który otrzymał m.in. Złoty Glob dla najlepszej aktorki w serialu dramatycznym Sandry Oh, trzy nagrody BAFTA i jedną Emmy.

Niewarte

POPKULTURA

Na fali antysystemowo-antyrasistowskiej akcji #blacklivesmatter platforma HBO zaczęła właśnie emitować propagandową fabułę pt. ***„Policja i rasizm"***. Niezłe efekty specjalne, przyzwoita gra aktorska, zawodowa muzyka i sztanca fabularna z pozytywnym bohaterem, który przypadkowo nagrywa śmierć dilera narkotykowego z ręki skorumpowanego policjanta. I próbuje przeżyć. Pozytywnym bohaterem jest, co niewiarygodne, przystojna czarnoskóra policjantka z ciekawą etniczną fryzurą.

Reż. Deon Taylor; *akcja (kryminalny) USA;*
premiera w kinach 21.09.2019

Niewarte

POPKULTURA

Wspominany wyżej Netflix po śmierci George'a Floyda udostępnił na swojej platformie kilkadziesiąt produkcji w ramach akcji #blacklivesmatter, m.in. ***„The Death and Life of Marsha P. Johnson"***, film o czarnoskórym transpłciowym aktywiście LGBT i niejasnych okolicznościach jego śmierci.

Może być

POPKULTURA



Od 14 czerwca HBO GO emituje film pt. ***„Bliźniak"*** z Willem Smithem. 50-letni zmęczony zabijaniem płatny zabójca po wykonaniu 72. zlecenia chce przejść na zasłużoną emeryturę. Znacie? To pooglądajcie. Złowieszcza jednostka wojskowa produkująca superżołnierzy, zdradliwi przełożeni – niezobowiązująca, wtórna rozrywka z odrobiną metahumoru. Jakim znajdziemy świat, w którym będzie można wielokrotnie sklonować tę samą osobę?

Reż. Ang Lee; *akcja (s.f.; Chiny) USA;*
premiera w kinach 2.10.2019
(RMT)

eprasa.pl 4fcee5af34



Adamski



Brawurowa opowieść o mafii

Kino

Film 80-letniego mistrza Marco Bellocchia miał wejść do naszych kin w marcu. Lockdown uniemożliwił pojawienie się tego zdumiewającego, brawurowego i szokującego obrazu w kinach. Dopiero teraz Polacy będą mieli okazję obejrzeć go na dużym ekranie. W ostatnich latach Włosi przemeblowali kino o mafii. „Gomorra", którą właśnie pokazuje TVP Kultura, czy netflixowska „Suburra" zerwały z szekspirowsko-romantycznym wymiarem „Ojca chrzestnego", ale też zaproponowały coś innego niż brutalne przypowieści gangsterskie Martina Scorsesego.

Marco Bellocchio nakręcił niemal paradokumentalną, ale pełną błysku i werwy, opowieść o przełomowym i jednym z najważniejszych epizodów w najnowszej historii Italii. „Zdrajca" opowiada o pierwszych pentiti (skruszonych), którzy w latach 80. XX w. pogrążyli na lata sycylijską cosa nostrę.

Zeznania „skruszonego" Tommasa Buscetty nie tylko doprowadziły za kratki brutalnego capo di tutti capi z Corleone Toto Riinę, lecz obnażyły system rządzący Italią. Buscetta zeznawał też w jednym z procesów wszechmocnego włoskiego premiera – „boskiego" Giulia Andreottiego. Wielki proces, rozpoczęty przez zeznania Buscetty (zmarłego w 2000 r. w Nowym Jorku), ostatecznie doprowadził do skazania 362 gangsterów z cosa nostry oraz ośmielił zwykłych ludzi do sprzeciwienia się mafii. Nagle w obiektywie kamer zobaczono, jak żałośni potrafią być wszechmocni i zmitologizowani donowie.

Bellocchio ostro uderza w wizerunek włoskiego mafioza z lat 70. i 80., jaki ugruntowało hollywoodzkie kino. Choć Buscetta (bezbłędna rola Pierfrancesco Favino) lubił drogie garnitury, biżuterię i wizerunek jak z z żurnala, to tutaj wielu sycylijskich bossów przypomina prostych farmerów. Szokująco brutalny i psychopatyczny Totto Riina nie różnił się przecież wyglądem od ubogiego sprzedawcy oliwy gdzieś w sycylijskich górach. Siedząc w klatkach podczas maksiprocesu, porażali swoją pospolitością i ulicznym cwaniactwem, niemającymi absolutnie nic wspólnego z charyzmą i dumą Dona Vito Corleone. Buscetta usprawiedliwiał zdradę tym, że cosa nostra, czyli „nasza sprawa", przestała być jego sprawą, gdy bossowie zajęli się handlem heroiną. Tyle że sam chyba wziął ten cytat z „Ojca chrzestnego", gdzie Don Vito peroruje o szkodliwości handlu narkotykami. Sceny z procesu są operowe. Zawarta jest w nich cała bombastyczność włoskiego kina z czasów fresków Sergia Leone. To zdumiewające, że tak wiekowy filmowiec jak Belocchio potrafi połączyć z sobą energię współczesnego kina mafijnego z włoską operą.

To, że włoscy mafiozi mordują kobiety i dzieci, a cała ich romantyczna mitologia warta jest funta kłaków, wiemy po seansie choćby „Gommory", opowiadającej o neapolitańskiej kamorze. „Zdrajca", tak jak ten serial, głęboko dotyka duszy włoskiej. Znawczyni włoskiego kina Diana Dąbrowska zwraca uwagę, że Bellocchio „ukazuje mafię w dychotomicznym ujęciu: jako fenomen równocześnie pociągający i odstraszający, pełen przemocy i erotyzmu; twór niejednoznaczny, którego nie da się łatwo wydestylować z tkanki włoskiego społeczeństwa". Dąbrowska trafia w punkt. Potężną siłą „Zdrajcy" jest rozszerzenie opowieści o sycylijskiej mafii na płaszczyznę socjologiczną i społeczną.

Wojna między klanem z Corleone a bossami z Palermo miała wyjątkowo krwawy wymiar, co widzimy w „numerowaniu" trupów w otwarciu filmu. Własnoręczne duszenie dzieci przyjaciół, rozstrzeliwanie niewinnych krewnych „skruszonego" na ulicach i potępienie łamaczy omerty przez zwykłych Sycylijczyków to wszystko zostaje zmieszane z typową commedia all'italiana. Pierwszy proces sądowy, podczas którego zeznawał Buscetta, był operetkowy. Gangsterzy robili szopkę, teatralnie krzycząc, gestykulując jak we włoskiej komedii i symulując jak na boisku podczas meczów Squadra Azzurra. Te sceny są przezabawne, a przecież nie zostały wymyślone ani podkręcone przez Bellocchia, co łatwo sprawdzić w licznych filmach dokumentalnych o tym przełomowym dla Italii procesie.

„Zdrajca" jest więc nie tylko opowieścią o gangsterze, który łamie świętą dla cosa nostry zasadę i zamienia życie króla na egzystencję przeciętnego imigranta w USA. Ten film to przede wszystkim spojrzenie na specyfikę włoskiego systemu, w dużej mierze kontrolowanego przez sycylijską cosa nostrę, kamorrę, 'Ndrànghetę i Sacrę Coronę Unitę. Bellocchio pomaga zrozumieć, dlaczego akurat Italia tak mocno się z tymi organizacjami zrosła.

„ZDRAJCA", REŻ. MARCO BELLOCCHIO, DYSTR. GUTEK FILM

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 4fcee5af34

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Diabeł



W teatrze grał go Nathan Lane, w telewizji zaś Al Pacino. Obaj wcielili się w niego w sztuce Tony'ego Kushnera „Anioły w Ameryce". James Woods zagrał go w telewizyjnym „Obywatelu Cohnie". Nie wiem, czy znany z poparcia dla Donalda Trumpa aktor wcieliłby się dziś w tę rolę. Roy Cohn to największy diabeł w opowieściach liberałów. Nie ma drugiej postaci, może poza Donaldem Trumpem, która byłaby przez liberałów w równym stopniu znienawidzona. Choć Cohn akurat robił wszystko, by móc uznać go za wcielonego diabła.

Za jego największą zbrodnię liberałowie uważają doprowadzenie do skazania na śmierć małżeństwa Juliusa i Ethel Rosenbergów w 1953 r. Nie przez przypadek w sztuce „Anioły w Ameryce" przy łóżku umierającego Cohna siedzi Ethel (w wersji z HBO gra ją sama Meryl Streep). Przez lata lewica kwestionowała winę tej dwójki ideowych komunistów, którzy zostali skazani za przekazywanie Sowietom informacji o budowie bomby atomowej z „Projektu Manhattan". Mówiono, że padli ofiarą antykomunistycznego zacietrzewienia prawicy. Po upadku żelaznej kurtyny okazało się, że Sowieci rzeczywiście prowadzili małżeństwo na pasku. Rosenbergów pośmiertnie potajemnie odznaczono Medalami Bohaterów ZSRR. Propaganda komunistyczna utrzymywała, że stracono ich przez „polowanie na czarownice" w Ameryce. Nikita Chruszczow napisał w pamiętnikach, że słyszał od Stalina, iż „Rosenbergowie w znacznej mierze przyczynili się do przyspieszenia produkcji naszej bomby atomowej".

Cohn wybił się jako młody prawnik przy senatorze Josephie McCarthym, przy którym rozpoczął swój bój z komunistycznymi wpływami w USA. Choć popkultura zrobiła z niego zacietrzewionego szaleńca (Al Pacino jest wybitny w jego roli w „Aniołach w Ameryce"), to trudno mu odmówić racji w ocenie komunizmu.

Cohn stał się ważną postacią w Nowym Jorku. Przyjmował w swojej kamienicy majętnych klientów i znanych polityków. Bronił włoskich gangsterów, w tym legendarnego Johna Gottiego czy Anthony'ego „Grubego Tony'ego" Salerno z rodziny Genovese. Jego klientem był też Don Carmine Galante z rodziny Bonanno. Cohn był niezwykle wpływową postacią w polityce. Działał blisko administracji Nixona i Reagana, gdzie miał torować polityczną drogę Trumpowi. Był zdeklarowanym antykomunistą i twardym graczem amerykańskiej prawicy, przy którym makiaweliczny Roger Stone to grzeczne dzieciątko. W dokumencie HBO „Drań, tchórz i ofiara" jest przedstawiony zgodnie z narracją liberałów. W filmie pojawiają się synowie Rosenbergów, którzy po ich śmierci trafili do rodzin zastępczych. Walczyli o pamięć rodziców w latach 70. XX w. Teraz też ich bronią mimo niezbitych dowodów (z samej Moskwy) ich winy. Dokument o tych dowodach nie wspomina, ostatecznie budując przekaz, że Rosenbergowie nie byli aż tak ważnymi agentami, by zasłużyć na śmierć, a Ethel była wręcz niewinna. Cóż, Chruszczow uważał inaczej, pisząc w swoich pamiętnikach, że „żadna inna osoba nie przyczyniła się do rozwoju sowieckiego programu atomowego tak jak Juliusz i Ethel Rosenbergowie". Chodzi o to, że dokument jest wyreżyserowany przez wnuczkę Rosenbergów Ivy Meeropol, co siłą rzeczy pozbawia go obiektywizmu w tej rozpalającej Amerykanów od 67 lat sprawie.

Film rzuca natomiast ciekawe światło na skomplikowaną seksualność Roya Cohna. Choć do samej śmierci w 1986 r. przekonywał w mediach, że cierpi na raka wątroby, to szybko się okazało, że zmarł na AIDS. Widzimy nigdy niepublikowane zdjęcia z prywatnego życia Cohna, który chętnie przebywał w towarzystwie przystojnych młodych mężczyzn. Miał nawet dom w nadmorskim Provincetown w stanie Massachusetts. Było to jedno z najpopularniejszych miejsc gejowskich środowisk z lat 80. By zrozumieć, jak bardzo Cohn był znienawidzony w tamtym miejscu, wystarczą wypowiedzi w „Draniu, tchórzu i ofierze" ekscentrycznego homoseksualnego reżysera Johna Watersa („Beksa", „W czym mamy problem"), który wypowiada się o Cohnie z otwartą pogardą za to, że ten ostro zwalczał postulaty LGBT, a był otwartym homoseksualistą i zmarł na AIDS.

A jednak jego przyjaciel Roger Stone (polecam fascynujący dokument z jego udziałem na Netflixie) uważa, że Cohn nie był gejem. „On był po prostu facetem lubiącym seks z mężczyznami. Geje byli słabi, zniewieściali. On zawsze miał wokół siebie młodych blond chłopców, ale interesowała go siła i znajomości" – mówi skandalista w wywiadzie dla „New Yorkera". Stone, podobnie jak Cohn związany przez lata z Trumpem, w czerwcu 2020 r. musi zacząć odbywać karę 40 miesięcy więzienia za okłamywanie Kongresu i zastraszanie świadka. Możliwe, że Cohn skończyłby podobnie – pięć tygodni przed śmiercią wyrzucono go z nowojorskiej palestry.

„DRAŃ, TCHÓRZ I OFIARA"
DOSTĘPNY JEST NA HBO GO

eprasa.pl 4fcee5af34

Ostatni taki pisarz

Jean Raspail był wiernym synem dumnej Francji, owej „starszej córy Kościoła", zgilotynowanej wraz z Ludwikiem XVI i eksterminowanej w Wandei



GRZEGORZ GÓRNY

W Paryżu 13 czerwca w wieku 95 lat zmarł Jean Raspail. Wielu ludzi usłyszało o nim pierwszy raz w roku 2015, gdy Europę z południa na północ przemierzały długie kolumny kolorowych imigrantów. Wówczas przypomniano sobie, że w 1973 r. pewien francuski pisarz opublikował powieść „Obóz świętych", w której przewidział nadchodzące wydarzenia: najazd przybyszów z Trzeciego Świata na Stary Kontynent.

To, co dla jednych było odkryciem, u innych wywoływać mogło jedynie dobrotliwy uśmiech pod nosem. Dla licznego grona czytelników, rozproszonych po całym globie, znajomość dzieł Raspaila była bowiem niezawodnym znakiem rozpoznawczym przynależności do czegoś na kształt sekretnego bractwa bibliofilów wtajemniczonych w wizję świata, w której literatura stała na straży przedwiecznego porządku, owego ładu przedustawnego, podmywanego dziś przez rewolucjonistów różnej maści. Dla wielu książki francuskiego pisarza stawały się kluczem hermeneutycznym do zrozumienia dzisiejszego świata – areny zmagania między dobrem i złem, gdzie linia podziału przebiega w sposób bynajmniej nieoczywisty.

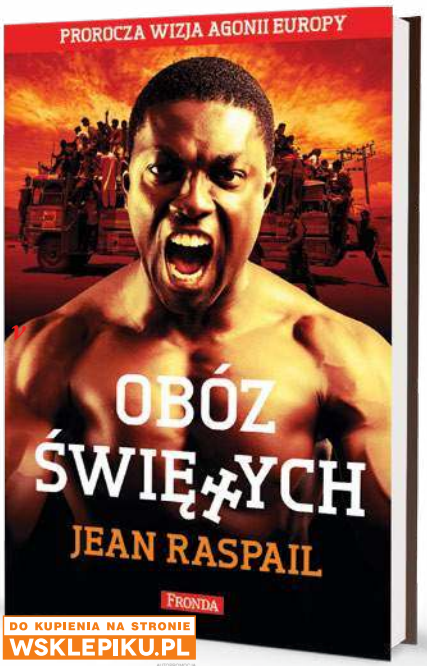
OBIEŻYŚWIAT – TRADYCJONALISTA

Jean Raspail nie był ideologiem, dla którego powieściowe postaci są jedynie nosicielami określonych idei. Jego bohaterowie to ludzie z krwi i kości, a nie z drukarskiej farby i papieru. Zapewne duży wpływ miało na to życiowe doświadczenie autora. Przez pierwsze 20 lat swojej kariery był podróżnikiem, który zjeździł wszystkie kontynenty. Nie był typem turysty, lecz raczej kimś w rodzaju antropologa kultury, pomieszkującego wśród miejscowej ludności, obserwującego jej zwyczaje i wnikającego w panujące tam kody kulturowe. Szczególnie pasjonowało go poznawanie społeczności archaicznych, które nagle zetknęły się z nowoczesnością, jak indiańskie plemiona zagrożone utratą swej tożsamości, a nawet zanikiem. Mógł na własne oczy oglądać ich zmagania z nieznaną rzeczywistością, których stawki nawet sobie nie uświadamiali.

Stał się znany we Francji jako autor książek podróżniczych. Liczne wojaże i eskapady po całym świecie nie uczyniły go jednak zwolennikiem multikulturalizmu, wręcz przeciwnie – pokazały mu odrębność cywilizacji oraz ich organiczny charakter, poddany prawom rozwoju i... obumierania. To kapitalne doświadczenie osobistego poznawania różnych ludzi należących do rozmaitych kultur wykorzystał później w swym powieściopisarstwie.

Podczas egzotycznych wypraw nie „skosmopolityzował się", lecz pozostał wiernym synem dumnej Francji, owej „starszej córy Kościoła", zgilotynowanej wraz z Ludwikiem XVI i eksterminowanej w Wandei. Jako zdeklarowany rojalista mawiał niekiedy, że Republika zabiła mu Ojczyznę. Jego tęsknota za monarchią nie miała jednak w sobie nic z ckliwego sentymentalizmu. Nie łudził się mirażami o restaurowaniu korony. Przypominał raczej Conradowskiego bohatera, który – mimo świadomości nieuchronnej klęski – do końca trwa na wyznaczonym mu posterunku. Nie był to jednak pesymizm heroiczny, charakteryzujący obrońców walczących na wysuniętym szańcu w obronie królestwa, którego w rzeczywistości za ich plecami już nie było. Choć z cywilizacji łacińskiej pozostały rzeczywiście zgliszcza, to jednak nadal istniał Bóg, który mógł objawić swoją moc nawet w zrujnowanej szopie. Dla Raspaila to właśnie było źródłem nadprzyrodzonej nadziei i podstawowym punktem odniesienia w czasach chaosu i zamętu.

To sprawiało, że nawet jego utrzymane w mrocznej aurze powieści nigdy nie były podszyte rozpaczą. Co więcej, pełne były poczucia humoru, przejawiającego się niekiedy otwartym szyderstwem, niekiedy zaś subtelną ironią. Z ich kart co jakiś czas dobiega nas szczery śmiech dandysa. W czasach powszechnej sekularyzacji, w których niewiara jest oportunizmem, drwiny z sacrum zaś przejawem stadnego kolektywizmu, największym nonkon-



eprasa.pl 4fcee5af34

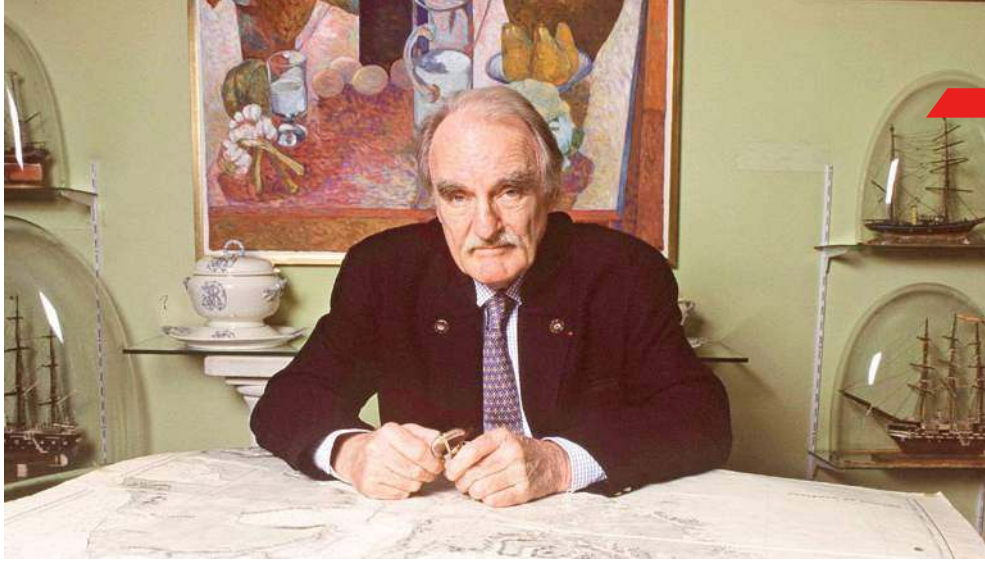
formistą okazuje się katolicki tradycjonalista. To on jest dziś prawdziwym buntownikiem.

ZWYCIĘSKA MOC DUSZY

Najsłynniejsza książka Raspaila „Obóz świętych" jest przypowieścią nie tyle o inwazji imigrantów, ile o upadku cywilizacji, która zapada się w sobie. Pisarz nie ma wątpliwości, dlaczego tak się dzieje: „Zachód bowiem jest pusty, nawet jeśli w pełni jeszcze tego sobie nie uświadamia. Ta niebywale pomysłowa cywilizacja, z pewnością jedyna, która zdolna byłaby podejmować niemal nieprzezwyciężalne wyzwania trzeciego tysiąclecia, nie ma już duszy. A tymczasem – czy to w skali narodów, ras lub kultur, czy też w skali jednostki – to dusza wygrywa zawsze decydujące bitwy. Ona i tylko ona jest tarczą ze złota i spiżu, która chroni mocne narody. Nie widzę już w nas duszy".

Ów kryzys, który tak wielu myślicieli opisało precyzyjnie w swych esejach, traktatach lub rozprawach, Raspail ujął w formie beletrystycznej. W czasach produkcji (a właściwie nadprodukcji) literackiej okazał się pisarzem w najdoskonalszym tego słowa znaczeniu. Jego twórczość spełnia warunki, jakie powinna – zdaniem Ernesto Sabato – spełniać literatura wybitna. Powinna ona mianowicie oddawać całą rzeczywistość we wszystkich jej wymiarach. Po pierwsze: w wymiarze fizycznym, ukazując realia polityczne, społeczne i obyczajowe opisywanego czasu i miejsca. Po drugie: w wymiarze psychicznym, przedstawiając złożoność i głębię życia emocjonalnego bohaterów. Po trzecie wreszcie: w wymiarze metafizycznym, starając się dotknąć, zasygnalizować i oddać nastrój pewnej Tajemnicy, która jest tajemnicą nie tylko dla powieściowych postaci, lecz także dla czytelników, a być może i dla samego autora.

Nieubłagana zagłada cywilizacji zachodniej, której autor jest pewny, nie oznacza jednak zagłady Kościoła. Ten ostatni ma bowiem gwarancję samego Boga, iż przetrwa wszystkie kryzysy aż do końca świata. Dlatego w odróżnieniu od wielu katolickich tradycjonalistów, Raspail nie załamywał rąk nad abdykacją Benedykta XVI. Skomentował ją następująco: „Ta wiadomość



Fot. ANDERSEN/SIPA/EASTMUS

mnie zasmuciła. Poczułem się osierocony. W czasach rozbuchanej kultury medialnej, która sprawia, że obecność Papieża jest prawie nie do pomyślenia, jego decyzja była więcej niż przewidywalna – była pożądana. Oczywiście, wydaje się, że to kres rzeczy dotąd niezmiennej: Papież królował aż do śmierci, jak królowie, ale myślę, że na swój sposób nie mógł postąpić inaczej. Na szczęście Papież zamierza teraz udać się do klasztoru i poświęcić się modlitwie. To bardzo ważne, bo wszystko skłania do wiary, że jego modlitwa będzie wysłuchana. Gdy o tym myślę, wraca do mnie zaufanie i spokój o przyszłe losy Kościoła rzymskiego, nad którym rozpostarty jest mistyczny parasol sprawowanych Mszy, miliardów modlitw wznoszących się od całych wieków – a także i teraz! – ze wszystkich klasztorów Europy i świata".

> Najsłynniejsza książka Raspaila „Obóz świętych" jest przypowieścią nie tyle o inwazji imigrantów, ile o upadku cywilizacji, która zapada się w sobie

„BÓG NIE JEST NAM NIC DŁUŻNY"

Ostatnią książką Raspaila, którą można potraktować jako swego rodzaju duchowy testament, jest wydana w 2019 r. powieść „Miłosierdzie" – pozornie rzecz o „grzechach kleru", ale tak naprawdę rzecz o grzechach każdego z nas. Autor umieszcza jej akcję w zlaicyzowanej Francji, będącej dla duchownych katolickich prawdziwą szkołą przeżycia. Już w 1960 r. ingres biskupa nie wygląda tam imponująco: „Mizerna była to ceremonia, kościół w dwóch trzecich pusty, w pierwszym rzędzie bigotki, parę Dzieci Maryi, wszystkie takie niezdarne, i ta szczupła delegacja z Chamboraud. Znudzony podprefekt w swoim uniformie, burmistrz, który zwlekał z przyjściem, i jakaś pięćdziesiątka gapiów, która czyhała na biskupa, bo był ubrany na czerwono, nigdy wcześniej nie był w Nivoix i wysiadł z pięknego, przedwojennego samochodu, kiedy biły dzwony...".

Czterdzieści lat później jest jeszcze gorzej. Liturgie przeniesione zostają do „jednej z tych wielofunkcyjnych salek z wynajmowanym i chowanym wyposażeniem (...) w których msza wślizguje się jak intruz między seans filmowy, pokaz sztuczek magicznych, a zajęcia o tym, jak zapobiegać chorobom przenoszonym drogą płciową". Banalizacji formy towarzyszy banalizacja treści, co widać szczególnie w przypadku spowiedzi, jakby prawo do przebaczenia przysługiwało ludziom tak jak prawo do ubezpieczenia społecznego.

Umieszczając akcję w tym jałowym pejzażu duchowym, 90-letni autor snuje swą opowieść o pojednaniu z Bogiem, który – jak mawiał Pascal – „nie jest nam nic dłużny". Nieprzypadkowo kończy się ona słowami: „Domine, non sum dignum..." (Panie, nie jestem godzien...).

eprasa.pl 4fcee5af34



Inscenizowane zdjęcie łamania szlabanu granicznego wykonane 1 września 1939 r.

Wojenne cezury

W obiektywnym obiegu międzykontynentalnej świadomości – nie tylko naukowej, ale też muzealnej i memoratywnej – funkcjonują trzy dające się pogodzić ze sobą topograficzne oraz historyczne początkowe cezury II wojny światowej. Jednak Rosja próbuje je podważać. Dlaczego?



KAROL NAWROCKI

Chronologicznie pierwszą jest 7 lipca 1937 r. Wtedy Cesarska Armia Japońska zaatakowała leżącą na wschód od mostu Marco Polo chińską twierdzę Wanping (dziś znajdującą się w Fengtai – dzielnicy Pekinu). Incydent na moście Marco Polo, mimo wcześniejszych działań zbrojnych choćby w Mandżurii, stał się symbolicznym początkiem brutalnej wojny między Japonią i Chinami (1937–1945).

Drugą datę możemy uznać w naszej szerokości geograficznej za oczywistą – 1 września 1939 r. Niezależnie od opisanych w naukowych dysertacjach czasowych różnic dotyczących chwili ataku na Westerplatte i zbombardowania Wielunia pozostajemy w słusznym przekonaniu, że na kontynencie europejskim to właśnie tego dnia rozpoczęła się II wojna światowa. Zresztą, gdy atak Niemców na Westerplatte oraz zbombardowanie Wielunia przeniesiemy z pola naukowego w sferę strumieni świadomości, przekonamy się, że oba te wydarzenia, które stały się symbolami, opowiadają o dwóch, mimo że podobnych, to jednak różnych wojennych emocjach. Westerplatte to symbol bohaterskiej żołnierskiej walki w obronie wartości, Wieluń zaś – cierpienia niewinnych cywili i zapowiedź wojny totalnej.

Wymownym uzupełnieniem tej osi chronologicznej, bez którego opowieść o ważnym teatrze działań II wojny światowej byłaby niemożliwa, jest 7 grudnia 1941 r. Amerykański kolos obudził się bowiem wówczas, kiedy japońskie samoloty zaatakowały bazy floty i lotnictwa USA w Pearl Harbor na Hawajach. Amerykanie stracili blisko 80 proc. stanu samolotów, śmierć poniosło 2390 żołnierzy. Zekranizowane w hollywoodzkiej produkcji w reżyserii Michaela Baya glorious burden – chwalebne brzemię – przewrotnie przyniosło aliantom niezbędną pomoc w walce z państwami osi. Amerykanom zaś narodową traumę oraz cezurę wojennej rzeczywistości – nowego, gorszego świata.

Jest jeszcze jedna data, której nie można pominąć w wojennej historiografii. Odległa od wymienionych powyżej w kwestii ładunku niesionych emocji. Odległa, gdyż odnosząca się – jak w przypadku Wanping, Westerplatte i Pearl Harbor – nie do ataku agresywnych sił imperialnych na bro-

eprasa.pl 4fcee5af34

niące niezależności państwa, a raczej zwiastująca pojedynek dwóch sprawców, podobnych totalitaryzmów czy wprost – pary diabłów siejących dotychczas wspólnie spustoszenie.

Data 22 czerwca 1941 r. jest regularnie poddawana zabiegom retuszu przez dzisiejszą Rosję, historycznie państwo sprawcę, państwo uczestnika i państwo będące największym zwycięzcą II wojny światowej. Prawda o współwinie Adolfa Hitlera i Józefa Stalina za jej wybuch jest jednak oczywista i znana nie tylko w Polsce. W kategoriach początku wojny, nie jej nowego etapu – w wyobrażeniach Federacji Rosyjskiej dotyczące 1941 r., jest więc maligną, onirycznym westchnieniem – dalece odległym od historycznej jawy. Reinterpretowanie aliansu z Hitlerem, pomijanie sowieckiej inwazji z 1939 r. i jej konsekwencji, przy jednoczesnym lokowaniu 1941 r. jako początku wielkiej wojny (ojczyźnianej), to bardzo brutalny wstęp do planowej reinterpretacji całej II wojny światowej w powszechnej, międzynarodowej świadomości.

Fot. NAC

Dla całej Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski, to zjawisko szczególnie niebezpieczne. Co w takim wypadku działo się na ziemiach polskich w latach 1939–1941, skoro II wojna światowa rozpoczęła się 22 czerwca 1941 r.? Odpowiedź jest raczej prosta – i szczęśliwie nadal funkcjonuje tylko w kategorii historical fiction – odbywał się wtedy lokalny opór garstki partyzantów wymierzony w usystematyzowaną od wieków legalną władzę zwierzchnią. Albo nieco inaczej – krwawe zamieszki w kondominium Rosji i Niemiec. Tym samym setki tysięcy polskich ofiar, ginących od jesieni 1939 do lata 1941 r. na zachodzie z rąk Selbstschutzu, Gestapo czy na wschodzie za sprawą NKWD, traciły swoje życie w zupełnie innej wojnie niż ta znana całemu światu z lat 1939–1945.

MUZEALNA PAMIĘĆ

Wymienione cezury roku 1937, 1939 i 7 grudnia roku 1941 – niezależnie od wielu różnic między nimi – w świadomości trzech konkretnych narodów są jednym z najważniejszych śladów pamięci XX i XXI w. Stanowią sprawę zasadniczą, wychodzącą daleko poza suchy zapis daty, miejscowości i liczby żołnierzy czy cywilów, którzy polegli w starciu bądź w wyniku eksterminacji. Stanowią kamień węgielny zamachu na suwerenność, a nawet – w przypadku Polski – jej utraty na kolejne 50 lat. Wanping, Westerplatte i Pearl Harbor, przy całej swojej złożoności, są bramą do hiobowej opowieści o niezasłużonym cierpieniu, raną, o której żadne z tych państw nie chce zapomnieć.

Dając wyraz swojej pamięci, Chińczycy 7 lipca 1987 r. w twierdzy Wanping inaugurowali państwowe muzeum cezury – Muzeum Wojny i Oporu Narodu Chińskiego przeciwko Japońskiej Agresji. Wówczas, w latach 80. zostało ono uznane za jeden z 10 najlepszych budynków w całym Pekinie. W ciągu kolejnych lat przechodziło kilka renowacji. Cztery wystawy główne, aż 100 wystaw czasowych odwiedziło dotychczas ok. 35 mln Chińczyków oraz 800 tys. gości z ponad 80 krajów – wśród nich liderzy 10 krajów, także dwóch byłych premierów Japonii: Tomiichi Murayama i Jun'ichirō Koizumi.

Goście muzeum zlokalizowanego w twierdzy Wanping nie mogli mieć wątpliwości, gdzie, kiedy i z czyjej przyczyny azjatycki front II wojny światowej znalazł początek. Tym bardziej że obecna wystawa jasno formułuje odpowiedzialność za wywołanie konfliktu, nie niuansuje okoliczności, przebiegu ani skutków wojny. W warstwie ekspozycyjnej i twórczej odwołuje się do mocnego, momentami nawet brutalnego przekazu o japońskiej okupacji i chińskim oporze.

Zupełnie inny rodzaj wystawienniczej wrażliwości, zastosowanych środków przekazu, ale także samej struktury organizacyjnej placówki, znajdziemy w Pacific Historic Parks, opiekującej się m.in. całym imponującym kompleksem pomnika muzeum USS Arizona w Pearl Harbor na Hawajach. Jedno się natomiast nie zmienia ani w Pekinie, ani na Hawajach – mocne podkreślenie początku światowego konfliktu, w tym narodowej, wspólnotowej interpretacji zmagań wojennych. Obie wystawy mają różne cele oraz inaczej rozłożone akcenty – w chińskiej próżno szukać prób pojednania z Japończykami, w amerykańskiej, obok upamiętnienia

Fot. archiwum



Płonąca polska placówka na Westerplatte, widok z pokładu pancernika Schleswig-Holstein

epresa.pl/issue31



Atak Japończyków na Pearl Harbor

Fot. Every Collection/Shutterstock

bohaterów, potępienia sprawców i inicjowania procesu edukacji kolejnych pokoleń Amerykanów w myśl hasła „Pamiętamy Pearl Harbor", to właśnie pojednanie na podstawie historycznej prawdy wydaje się jednym z filarów jego działalności. Jak mówi Aileen Utterdyke, prezes Pacific Historic Park, to niezasłużone cierpienie pomogło dziś formować naród amerykański: „Japoński atak na Pearl Harbor pomógł ukształtować Amerykę o rolę, którą odgrywa na świecie. Z dymów i płomieni Pearl Harbor wyłonił się nowy naród aktywnie stawiający czoła zagrożeniom czyhającym na świecie".

Funkcjonalna za sprawą budzenia wielu zmysłów, zbudowana przy zastosowaniu ciekawych rozwiązań technologicznych i atrakcyjnych ścieżek zwiedzania, ale – przede wszystkim – oparta na najbardziej stabilnym fundamencie rzeczywistego symbolu – zatopionego wraku USS „Arizona", gdzie wciąż spoczywają szczątki 900 amerykańskich marynarzy – placówka przyciąga każdego roku 2 mln gości z całego świata. Sam pomnik długości 56 m przecina środkową część zatopionego USS „Arizona" i składa się z trzech sekcji: holu wejściowego, pokoju spotkań oraz rodzaju kaplicy, w której zaprezentowano nazwiska poległych marynarzy. Co ciekawe, wśród nich można znaleźć również polskie nazwiska. Monument USS „Arizona" mocno podkreśla cezurę II wojny światowej. Na tyle mocno, że – jak mówią zwiedzający – „po wyjściu stąd człowiek jest gotowy włożyć mundur żołnierza USA i stanąć do walki o ważne dla nas wartości".

Ale... z walki o własną cezurę początku wojny nie rezygnują również Rosjanie. W Parku Zwycięstwa na Pokłonnej Górze zbudowano Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Klasyczne muzeum-pomnik łączy w sobie funkcje memoratywne i edukacyjne. Wokoło placówki znajduje się park ze sprzętem wojskowym używanym przez Armię Czerwoną jeszcze długo po 1945 r., wewnątrz zaś sześć klasycznych – niektórych bardzo udanych pod względem ekspozycyjnym – dioram ważnych bitew żołnierzy sowieckich w czasie II wojny światowej. Dostojne hole wypełnione obeliskami bohaterów wojennych Związku Sowieckiego prowadzą do miejsca budzącego największy poznawczy zachwyt – wielkiego kopułowego projektora 3D. Zmyślnie umieszczony w dachu prawdziwego sanktuarium historii film zatytułowany „Droga do zwycięstwa" opowiada o marszu Armii Czerwonej od początku wojny w roku 1941 (sic) do wyzwolenia (sic) Europy Środowo-Wschodniej z niemieckiego nazizmu.

Chociaż w ekspozycji odwiedzanej przez ok. 800 tys. gości rocznie można znaleźć jedno skromne zdjęcie niemieckich funkcjonariuszy łamiących polski szlaban we wrześniu 1939 r. (historia zdjęcia wymaga osobnego wyjaśnienia), to lokowana w Muzeum cezura początku konfliktu jest oczywista – 1941 r. Placówkę chętnie odwiedza szkolna młodzież niestroniąca od klasycznych budionówek z czerwoną gwiazdą, a wśród asortymentu muzealnego sklepu można znaleźć figurki Feliksa Dzierżyńskiego czy Włodzimierza Lenina.

POTRZEBNA PRAWDA W MONUMENTALNYM WYMIARZE

Jest wrzesień 2018 r. Nad Zatokę Gdańską na zaproszenie Muzeum II Wojny Światowej przyjeżdżają szefowie oraz pracownicy kilkunastu najważniejszych muzeów pól bitewnych z całego świata. Wśród nich reprezentanci amerykańskiego Gettysburga i Pearl Harbor, greckiego Maratonu, Waterloo, Verdun czy tureckiego Gallipoli. Jednym z pierwszych punktów trwającego w Gdańsku Światowego Forum Muzeów Pól Bitewnych jest studyjna wizyta na Westerplatte. Staje się ona okazją do dyskusji w gronie praktyków. Konkluzja jest jedna, właściwie oczywista – na Westerplatte nie czuć siły symbolu początku najtragiczniejszego konfliktu w historii cywilizacji.

W XXI w. na półwyspie Westerplatte wciąż jedynymi środkami historycznej, edukacyjnej komunikacji jest słowo mówione, porzucona ruina i chaotyczna topografia, stojąca dziś w sprzeczności z tym, co wydarzyło się w roku 1939. Historyczna opowieść, pełna słów o symbolice półwyspu, w zderzeniu ze stanem zachowania pola bitwy uruchamia wśród gości naturalny sceptycyzm – skoro tak ważnego dla całego narodu miejsca nie zagospodarowano na rzecz prawdziwego muzeum, to musi być ono mniej ważne, niż mówią, albo nie tak kluczowe, jak się wydaje.

Według badań przeprowadzonych przez Kantar Polska (2020) na zlecenie Muzeum II Wojny Światowej prawie każdy Polak słyszał o obronie Westerplatte (94 proc.), ale tylko 6 na 10 Polaków było na półwyspie (na przestrzeni dekad). Jednocześnie z innych badań (CBOS, 2018) dowiadujemy się, że miastami kojarzącymi się naszym rodakom z wybuchem II wojny światowej są Gdańsk i Warszawa, przy czym najczęściej wymieniane jest właśnie Westerplatte (41 proc.). Co więcej, półwysep – obok niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz (32,3 proc.) – jest drugim miejscem, które Polakom najbardziej kojarzy się całą wojną (27,5 proc.).

Sama świadomość, że coś ważnego na Westerplatte się wydarzyło, jednak nie wystarcza. A dalsze dane statystyczne

eprasa.pl 4fcee5af34

szokują. Pustka muzealno-edukacyjna oddaje proporcjonalnie narodowy stan wiedzy o obronie Wojskowej Składnicy Tranzytowej (WST) – zaledwie 20 proc. respondentów ma podstawową wiedzę o wydarzeniach z września 1939 r. na półwyspie. Oznacza to, że ponad 80 lat po wojnie większość Polaków nie wie, kim był mjr Henryk Sucharski (58 proc.), a długość walk potrafi wskazać zaledwie 36 proc. badanych.

Westerplatte, stawiając sprawę ogólnie, pozostaje hasłem rozpoznawalnym wyłącznie podświadomie. I prawie tylko w Polsce. A ta podświadomość nie wiąże się zasadniczo z posiadaną choćby podstawową wiedzą, nie niesie ładunku wartości zamkniętych w heroicznej walce żołnierza polskiego.

Zdziwienia czy czasem obojętności świata wobec polskiej, w tym wypadku europejskiej cezury II wojny światowej, ale także niepokojącej edukacyjnej i znaczeniowej pustki wokół słowa „Westerplatte", nie wypełnią niestety kolejne naukowe dysertacje ani rokroczne oficjalne uroczystości. One są zasłużonym hołdem i punktem wyjścia do działań edukacyjnych. Westerplatte potrzebuje natomiast przede wszystkim wyraźnego śladu pamięci na miarę XXI w.

JAKIE UPAMIĘTNIENIE?

Dzisiejszy stan zachowania Westerplatte nie daje odwiedzającym wyobrażenia o celu powstania, funkcjonowania oraz znaczeniu obrony WST. Od wielu dekad wokół półwyspu – niezależnie od obowiązującego w Polsce ustroju – panowały niemoc i chaos. Jeszcze w latach 70. XX w. współautor projektu zagospodarowania Westerplatte (1964) prof. Adam Haupt pełen zawodu mówił: „Nikt nie uzgadniał ze mną późniejszych zmian, uzupełnień itd. […] W efekcie »zachwaszczono« Westerplatte różnymi masztami, tablicami, chodniczkami i innymi »bibelotami«, które psują nastrój, osłabiają działanie tego miejsca na wyobraźnię, osłabiają jego symbolikę […]. Chęć dodawania spowodowała, że Westerplatte obrasta jakimś »kożuchem«".

W tym „kożuchu" Westerplatte przeszło transformację ustrojową, wchodząc w nieładzie na eleganckie salony III Rzeczypospolitej, gdzie jego degradacja – niestety – postępowała. Wieloletnią niemoc gdańskiego samorządu oraz wyraźną niechęć do memoratywnego podniesienia rangi tego miejsca, płynącą w XXI w. ze strony byłej dyrekcji Muzeum II Wojny Światowej, przełamała determinacja w dążeniu do uchwalenia specjalnej ustawy dotyczącej inwestycji na Westerplatte (2019). Umożliwi ona usystematyzowanie struktury formalnoprawnej półwyspu oraz podjęcie prac inwestycyjnych.



Z życia Kościoła relacjonuje Agnieszka Ponikiewska

1. Papież Franciszek życzył Polakom dobrego wakacyjnego odpoczynku. Dodał, że pomimo wszystkich środków bezpieczeństwa związanych z zagrożeniem koronawirusem wakacje powinny być czasem korzystania z piękna natury i umacniania więzi z ludźmi i z Bogiem.

✠ ✠ ✠

2. Drag queen symulujący w swoim happeningu podcinanie gardła abp. Markowi Jędraszewskiemu usłyszał zarzuty publicznego nawoływania do zabójstwa duchownego i nienawiści na tle różnic wyznaniowych, a także znieważenia wyznawców Kościoła katolickiego. Takie postępowanie w każdym przypadku musi budzić oburzenie i nie pozostawać bezkarne.

✠ ✠ ✠

3. Zmiana w Kaliszu. Papież podjął ważną decyzję. Administratorem apostolskim diecezji mianował abp. Grzegorza Rysia. Zastąpi on w zarządzaniu diecezją bp. Edwarda Janiaka. Co oznacza ta decyzja? Biskupem diecezji pozostaje bp Janiak, ale wszystkie decyzje podejmuje abp Ryś.

✠ ✠ ✠

4. Pielgrzymi wracają na Jasną Górę. Wszystko z zachowaniem koniecznych obostrzeń sanitarnych. Wiadomo już, że tegoroczne piesze pielgrzymki wyruszą na szlak w zmienionej formie. Będą mniej liczne. Pątnicy zabiorą z sobą intencje tych, którzy zostaną w domach. Niezwykle ważne jest, że pomimo epidemii wierni kontynuują tradycję pielgrzymowania. Warto pamiętać, że tradycja Warszawskiej Pielgrzymki Pieszej sięga 1711 r., kiedy grupa 20 mężczyzn wyruszyła po raz pierwszy na Jasną Górę, aby prosić Boga o zatrzymanie epidemii dżumy.

✠ ✠ ✠

5. „Każda deklaracja niewiary jest porażką wspólnoty Kościoła" – powiedział bp Wiesław Śmigiel, komentując badania CBOS, wedle których 8 proc. Polaków deklaruje się jako niewierzący. Widać, jak aktualne są wciąż słowa św. Jana Pawła II, by nie bać się Chrystusa i otwierać serca na dobro, piękno i prawdę.

eprasa.pl 4fcee5af34

Pomimo wojennej pożogi, socrealistycznych przekształceń i zaniedbań z lat 90. oraz dwóch dekad XXI w., zasadniczą wartość Westerplatte nadal można odnaleźć w ukrytych dla zwiedzających pozostałościach oryginalnego krajobrazu kulturowego – w sieci reliktów obecnych na półwyspie. Stąd przywrócenie części oryginalnego układu topograficznego WST umożliwia zarysowanie historycznego układu urbanistycznego, a na jego tle kierunku natarcia wojsk niemieckich i miejsc związanych z bohaterską obroną Polaków z września 1939 r. (np. wartownia nr 3 czy ruiny wartowni nr 5). Powrót zaś do ówczesnych realiów komunikacyjnych daje niepowtarzalną, aczkolwiek naturalną możliwość stworzenia atrakcyjnego parku historyczno-krajobrazowego.

Przyszłe muzeum oparte na koncepcjach arch. inż. Igora Strzoka z lat 2005–2007 z jednej strony zachowa oraz podkreśli unikatowe wartości historyczne, przestrzenne, materialne i niematerialne, z drugiej zaś stanie się prawdziwym centrum edukacji szkolnej i obywatelskiej. Preferowanymi działaniami na terenie planowanej inwestycji będą odtworzenia wybranych kilku przykładowych budowli byłej składnicy (w technice fundamentowania umożliwiającej zachowanie oryginalnych reliktów) oraz remonty konserwatorskie. Właśnie dzięki takiemu podejściu będzie możliwe uzyskanie koniecznych muzealnych kubatur bez istotnego ryzyka kolejnej defiguracji krajobrazu kulturowego i nadmiernej ingerencji w ocalałe relikty.

Remonty konserwatorskie, np. placówki „Fort" i historycznego budynku „Elektrowni", umożliwią ochronę unikatowych zabytków przy jednoczesnym udostępnieniu ich dla zwiedzających – w przypadku „Elektrowni" po raz pierwszy w formie stałej i otwartej wystawy. Odtworzenia zaś pozwolą zagospodarować magazyny amunicji wraz z obwałowaniami i budynek zawiadowcy, które w innym wypadku zostaną narażone na nieuchronną dekompozycję, a w perspektywie pokoleń nawet na nieodwracalne zniszczenie oryginalnej substancji.

Sprawą zasadniczą, już po identyfikacji, będzie pochowanie odnalezionych w 2019 r. szczątków bohaterów, które spoczną na przebudowanym cmentarzu wojskowym na Westerplatte. W sieci reliktów i odtworzeń zostanie opowiedziana historia całego półwyspu, WST, zmagań zbrojnych z pierwszych dni września 1939 r., a także stacjonarnej filii obozu Stutthof.

Gabloty muzeum wypełnią się wyjątkowymi, nieznanymi dotychczas widzom eksponatami, w tym artefaktami wydobytymi podczas kolejnych etapów misji archeologicznej na Westerplatte. Narracja znajdzie swoje uzupełnienie w nowoczesnym budynku ekspozycyjnym (6,5 tys. m^2) wkomponowanym w istniejący krajobraz półwyspu. Tam powstanie kompleksowa wystawa poświęcona polskiej wojnie obronnej 1939 r., która na Westerplatte miała swój początek.

Finałem opowieści skierowanej do Polaków i do świata będzie zaś wybicie symbolu Westerplatte w przestrzeń uniwersalnych wartości, płynących ze słów Jana Pawła II. W homilii do młodych wygłoszonej na Westerplatte w czerwcu 1987 r. papież upomniał się właśnie o prawdę, miłość, sprawiedliwość, godność i wolność. Jan Paweł II celnie diagnozował wciąż aktualne zagrożenia świata młodych, wołając jednocześnie o potrzebną aktywność w życiu społecznym. W myśl słów papieża nie może w niej zabraknąć miejsca dla historii, którą trzeba najpierw zrozumieć, aby móc jej bronić.

Projektowane przez specjalistów rozwiązania ekspozycyjne wydają się kompatybilne z oczekiwaniami społecznymi. Większość Polaków (75 proc.) deklaruje, że muzeum plenerowe na Westerplatte jest najlepszym rozwiązaniem. Odtworzenia wybranych historycznych budowli WST cieszą się poparciem 51 proc. badanych, 36 proc. oczekuje, że muzeum połączy nowoczesną architekturę z odbudową reliktów.

Biorąc pod uwagę skalę i znaczenie tego miejsca w polskiej świadomości, projekt został podzielony na dwa etapy. Takie rozwiązanie pozwoli zachować dostępność Westerplatte podczas całego, wieloletniego procesu inwestycyjnego, który powinien się zakończyć w 2025 r.

Dopiero po budowie Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 r. oraz po godnym pochówku polskich bohaterów z września 1939 – których odnajdujemy po 80 latach, w czasie prowadzonych badań archeologicznych – będziemy mogli z dumą powiedzieć, że mamy w końcu nasze wspólne Westerplatte.

Autor jest dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku



Atak armii japońskiej na chińską twierdzę Wanping

eprasa.pl 4...



Na bałtyckich platformach światła nigdy nie gasną

W nocy wyglądają jak stacje kosmiczne. Platformy należące do spółki LOTOS Petrobaltic przez całą dobę produkują ropę, która specjalnymi rurociągami trafia do zbiornikowców, a potem do gdańskiej rafinerii

LOTOS Petrobaltic to jedyne polskie przedsiębiorstwo górnicze zajmujące się poszukiwaniem oraz eksploatacją złóż ropy i gazu na polskim szelfie Morza Bałtyckiego oraz kompleksową obsługą logistyczną offshore. Spółka wydobywa spod dna morza ropę naftową i gaz, przyczyniając się do wzrostu energetycznego bezpieczeństwa Polski.

Załoga LOTOS Petrobaltic projektuje i dokumentuje prace geologiczne, prowadzi badania Bałtyku, wykonuje odwierty i ich rekonstrukcje, złożone operacje morskie, a przede wszystkim – eksploatuje podmorskie złoża węglowodorów.

PIĘĆ PLATFORM NA BAŁTYKU

Do LOTOS Petrobaltic należy pięć platform: dwie wiertnicze i trzy eksploatacyjne (w tym jedna bezzałogowa), wielozadaniowe holowniki, statki dozorowe i ratownicze, zbiornikowiec oraz baza lądowa z nabrzeżem przeładunkowym. Spółka posiada trzy koncesje na poszukiwanie oraz rozpoznawanie złóż ropy naftowej i gazu ziemnego oraz wydobywanie ropy i gazu na obszarach morskich RP. To tereny obejmujące ponad 3 tys. km^2.

Spółka eksploatuje obecnie dwa złoża ropy naftowej: B3 i B8. Na złożu B3 pracują trzy platformy. Pierwsza to Baltic Beta, czyli Centrum Produkcyjne, które prowadzi eksploatację nieprzerwanie od 1994 r. Kolejna platforma nosi nazwę Petro Giant. To najnowsza i największa z platform spółki zakupiona w 2019 r. Jest także bezzałogowa platforma PG1 sterowana za pomocą łączy bezprzewodowych z pokładu platformy Baltic Beta odległej o blisko 4 km.

Eksploatacja drugiego złoża – B8 – trwa od 2005 r. Produkcję uruchomiono 30 września 2015 r. dzięki przystosowaniu platformy wiertniczej LOTOS Petrobaltic do prowadzenia prac wydobywczych. Obecnie na złożu B8 pracują dwie platformy. To właśnie LOTOS Petrobaltic oraz przebudowane w 2019 r. Centrum Produkcyjne Petrobaltic.

Wszystkie platformy stoją na nogach o długości od 120 do 160 m oraz na głębokości morza przekraczającej 100 m.

ZAWÓD: GÓRNIK MORSKI

Praca na platformach odbywa się w systemie ciągłym i rotacyjnym – pracownicy spędzają dwa tygodnie na morzu, po czym udają się na dwutygodniowy odpoczynek, tzw. wysadkę na ląd.

Transport załogi odbywa się zwykle przy użyciu nowoczesnych śmigłowców, które w 40 min przenoszą pracowników z lotniska w Gdańsku na lądowiska na platformach na morzu. Pracownicy podróżują w specjalnych, pomarańczowych kombinezonach. Załogi liczą 50–60 osób. Są wśród nich m.in. inżynierowie, wiertnicy, marynarze, radiooficerowie, obsługa hotelowa czy też kucharze.

Jeśli warunki atmosferyczne nie pozwalają na realizację lotów, wymiana załogi odbywa się statkami, najczęściej z Władysławowa. Wtedy, po siedmiogodzinnym rejsie, pracownicy są zabierani ze statku na pokład platformy specjalnym koszem transportowym. To wysokość około 20 m.

Na platformach najważniejsze jest bezpieczeństwo. Na każdej z nich pracują ratownicy, strażacy i lekarz. Przy każdej platformie dyżuruje także statek dozoru gotowy nieść pomoc w razie zagrożenia.

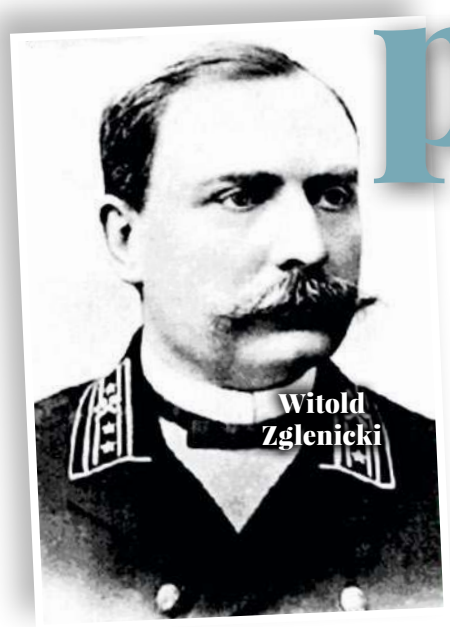
Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 35/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

Sławni

Polacy, którzy zmienili świat

Szalona wizja platformy



Witold Zglenicki

Ropa była jego obsesją. Pomysł skonstruowania urządzenia do podmorskich odwiertów stworzył praktycznie cały współczesny przemysł naftowy świata. Częścią z jego zysków Witold Zglenicki sfinansował renesans polskiej kultury i nauki w początkach XX w.

„Wśród wież naftowych przyciskały się do ziemi zbudowane z rdzawych i szarych nieociosanych kamieni długie, niskie koszary robotnicze, podobne do siedzib prehistorycznych ludzi. Strasznie było patrzeć na półnagie dzieci, które mięsiły nogami zielony, tłusty śluz w kałużach" – taki obrazek Baku z końca XIX w. nakreślił kiedyś Maksym Gorki i tak mniej więcej wyglądało ono, kiedy przebywał tam Zglenicki.

NA TROPIE ROPY

Z wykształcenia był chemikiem, jednym z najlepszych studentów Dmitrija Mendelejewa – naukowcem, ale posiadającym też żyłkę człowieka interesu. Podobnie jak sam Mendelejew, może nawet z jego inspiracji, naftą interesował się już podczas studiów. Znał doskonale osiągnięcia Ignacego Łukasiewicza – wynalazcy lampy naftowej – ale wówczas byli obywatelami innych państw, a jako poddany cara i funkcjonariusz administracji jego państwa (stawał się nim po studiach) nie mógł pracować dla cesarza Austro-Węgier.

Miejscem w Rosji, w którym mógł w pełni zrealizować swoje naftowe pasje, było więc Zagłębie Donieckie. Zamieszkał w Baku, ale przebywał w nim tylko w godzinach pracy w urzędzie probierczym, który dawał mu skromną podstawę utrzymania. Popołudnia i noce spędzał na wyprawach na Półwysep Apszeroński lub wycieczkach



PARTNER DODATKU

LOTOS

eprasa.pl 4fcee5af34

łódką na wody Zatoki Bibi-Ejbatskiej, gdzie badał aktywność podwodnych wulkanów gazowych – słusznie przewidując, że wiążą się one z występowaniem złóż ropy. Wyznaczone wówczas przez niego miejsca złóż ropy okazały się po latach bezbłędne.

Podczas jednej z takich wypraw przyszedł mu do głowy szalony, jak na tamte czasy, pomysł zbudowania platformy wiertniczej do wydobywania ropy z dna morskiego. 29 lipca 1896 r. złożył podanie o przyznanie mu dwóch morskich działek, na których mógłby rozpocząć poszukiwania.

Rosyjskie władze tylko dlatego nie potraktowały go jak wariata, bo miał już w Baku wyrobioną opinię piekielnie zdolnego inżyniera, którego drobne wynalazki znacznie poprawiły bezpieczeństwo pracy w szybach. Miał też asa w rękawie. W ciągu zaledwie dwóch tygodni wykonał zlecenie wyznaczenia stu działek roponośnych dla prywatnych przedsiębiorców – informacje o nich zebrał już wcześniej, w trakcie swoich samotnych, popołudniowych wypraw. Urzędnicy nie mieli więc wyjścia i w 1902 r. wyznaczyli Zglenickiemu działkę morską w Zatoce Bibi-Ejbatskiej.

Już wcześniej przedstawił on szczegółowy projekt platformy morskiej – wodoszczelnego pomostu osadzonego na wbitych w dno palach, mniej więcej pięć metrów nad poziomem wody. Teraz potrzebował tylko wspólnika, który sfinansowałby to przedsięwzięcie. Nie zdążył jednak go znaleźć. Wkrótce po otrzymaniu działki dowiedział się, że jest chory na nieuleczalną wówczas cukrzycę. Zmarł 6 sierpnia 1904 r.

DOCENIONY PO PÓŁWIECZU

Historia toczyła się jednak dalej. Jego projekt platformy, który długo wydawał się wizją szaleńca, pół wieku później doczekał się wreszcie realizacji. W 1949 r. na Morzu Kaspijskim, 50 km od wybrzeża Baku, powstała pierwsza morska platforma Neft Daşlari. Opracowane przez Zglenickiego plany terenów roponośnych są do dziś bazą dla przemysłu naftowego w Azerbejdżanie, a część pochodzących z nich zysków... sfinansowała w początkach XX w. sporą część polskiej kultury. Zglenicki mianowicie przekazał dochody z posiadanych przez siebie działek, dla tzw. Kasy im. Józefa Mianowskiego, która zyskała tym samym zastrzyk gotówki większy niż posiadała fundacja Nobla. Wydano za nie ok. 600 polskich dzieł naukowych, w tym prace tak ważne jak książki Oskara Kolberga, Władysława Tatarkiewicza czy Marii Konopnickiej. Dziś działki te są warte 2–3 mld dol. Dochody z patentu na platformy – dziś wszechobecnej – z pewnością zwielokrotniłyby tę sumę.

Warto wspomnieć, że kontynuatorem jego prac był kolejny wybitny polski inżynier Paweł Potocki. Gorki wspomina, że słyszał coś o inżynierze, „zdaje się Potockim, który całkiem stracił wzrok, lecz tak dobrze zna Bibi-Ejbat, że nieomylnie wskazuje na mapie tereny prac". On jednak nie był aż takim wizjonerem, by stworzyć platformę. Wolał podjąć prace nad osuszeniem Morza Kaspijskiego, by w ten sposób dobrać się do podmorskich złóż – pomysł Zglenickiego okazał się jednak bezkonkurencyjny. ●

Fot. Biblioteka Narodowa

epnasa.pl 4icee5af34

Arcydzieła z betonu i stali

Ignacy Paderewski twierdził, że jako pianista osiągnął poziom wirtuoza. Ale syn słynnej aktorki Heleny Modrzejewskiej, Rudolf, nie chciał iść artystyczną drogą matki, został więc… został wirtuozem mostów. Stworzył najpiękniejsze budowle Ameryki Północnej, z których niemal wszystkie, mimo kilkudziesięciu lat istnienia, wciąż fascynują lekkością konstrukcji i funkcjonalną wyobraźnią ich twórcy


Rudolf Modrzejewski

Fot. Library of Congress

Dolcio – jak mówiła na niego matka – miał zaledwie kilka lat, kiedy zaczął zaskakiwać otoczenie rozległością swoich talentów. W jednym z listów Modrzejewska pisała o nim: „Teraz bierze lekcje fortepianu u pana Hoffmana i w ciągu siedmiu lekcji nauczył się czterech etiud Kohlera na pamięć i prawie całą szóstą sonatę Mozarta. Niezależnie od tego uczy się stenografii, języków, uprawia gimnastykę i jazdę konną. Mimo tych wszystkich zajęć jest zawsze pierwszy w klasie i uchodzi za bardzo tęgiego matematyka".

Miał ułatwione zadanie. Po przybyciu do USA Modrzejewska szybko zyskała opinię jednej z najlepszych aktorek dramatycznych swoich czasów, a przy okazji sławę w globalnej skali. Z kolei małżeństwo z hrabią Karolem Chłapowskim zapewniło rodzinie niemały majątek. Młody Rudolf mógł więc swobodnie wybrać drogę życiową. Najbliżsi sądzili, że będzie nią muzyka, do której wykazywał zdumiewające wręcz zdolności. On jednak nie chciał iść artystyczną drogą matki. Szczęśliwie dla niego samego i dla świata jego wybór padł na inżynierię. Pieniądze nie były problemem. Po zrobieniu w USA matury wybrał się więc na studia najlepsze z możliwych – do paryskiej École Nationale des Ponts Chaussées (Państwowej Szkoły Dróg i Mostów), którą ukończył z wyróżnieniem.

MARZENIA O WISZĄCYCH MOSTACH

– W Ameryce miał bardzo dobry start. Helena Modrzejewska, jako bardzo znana i wpływowa osoba, zadbała, żeby praktykował u George'a S. Morisona, czołowego wówczas inżyniera – mówił na antenie Polskiego Radia historyk techniki prof. Bolesław Orłowski. Ale to nie znaczy, że Rudolf szedł na łatwiznę. W pracowni Morisona – najważniejszego przed nim samym, amerykańskiego projektanta mostów – przeszedł wszystkie szczeble praktyki, bez taryfy ulgowej. Dość wspomnieć, że zaczynał jako majster w dziale produkującym stalowe elementy mostów. Dopiero po siedmiu latach stażu zdecydował, że umie już dość, by założyć własny interes. W ten sposób w 1892 r. powstała w Chicago firma Modjeski (takiej formy nazwiska używał w USA) – istniejąca do dziś i prosperująca całkiem nieźle.

Po mniej więcej rocznym rozruchu firmy Modrzejewski otrzymał swój pierwszy większy kontrakt na most łączący oba brzegi Missisipi, w okolicach Rock Island w Illinois. Po jego wykonaniu natychmiast stał się sławą. Most był dwupozio-

Napędzając świat

Adolf Polak myślał globalnie. Tworzył rewolucyjne silniki, kiedy w Polsce nie było praktycznie samochodów, a przemysł stoczniowy dopiero się rodził. Był wizjonerem, którego już w dwudziestoleciu doceniał świat

Trafił na niespokojne czasy. Urodził się w 1890 r. Jako 15-latek widział rewolucję 1905 r., kiedy dobijał trzydziestki, wybuchła I wojna światowa, a tuż po niej jego rodzinny Lwów stał się ofiarą walk polsko-ukraińskich i polsko-bolszewickich. W rewolucji nie, ale w pozostałych wydarzeniach brał czynny udział. Podczas Wielkiej Wojny pływał na austriackich okrętach wojennych, choć zajmował się na nich raczej mechaniką niż strzelaniem. Podobnie podczas wojen 1919 i 1920 r., kiedy służył w oddziałach technicznych Wojska Polskiego.

Paradoksalnie jednak dramatyczne wydarzenia młodości miały dobry wpływ na jego osobowość. Stał się człowiekiem zdystansowanym, ciepłym, przede wszystkim zaś obdarzonym ironicznym poczuciem humoru, z którego anegdot i ripost śmiały się całe roczniki studentów.

WOJNA SŁUŻY TECHNOLOGII

Wojny i wojsko dały mu jednak okazję do wykazania się talentami inżynierskimi. Czuł do nich pociąg od wczesnej młodości. Jako 19-latek rozpoczął studia na Wydziale Maszynowym Politechniki Lwowskiej, ale naukę przerwał mu zamach w Sarajewie i jego globalne konsekwencje. Z konieczności kontynuował ją więc w praktyce podczas służby w cesarsko-królewskiej flocie. I właśnie z marynarką będzie się odtąd wiązać jego specjalizacja. Znacznie później skonstruuje pierwszą polską maszynę parową, która będzie napędzać pierwszy polski rudowęglowiec „Sołdek". Szacuje się, że w latach 1947–1961 powstało w kraju blisko 160 podobnych projektów, z których w każdym prof. Polak miał swój udział.

Swoją renomę w świecie budował już w okresie dwudziestolecia międzywojennego, czemu z pewnością sprzyjała biegła znajomość siedmiu języków i słabsza kilku innych. Przede wszystkim jednak ceniono jego wkład w udoskonalanie wysokoprężnych silników spalinowych. „Zajmował się problematyką badawczą związaną z wprowadzeniem w silnikach spalinowych wtrysku bezpośredniego (w miejsce dotychczas stosowanego wtrysku powietrznego), tematyką budowy szybkobieżnych silników spalinowych, a w związku z tym zagadnieniami dynamiki maszyn, problemami wymiany ładunku

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 35/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

mowy, miał blisko pół kilometra długości, a w jednym z przęseł mechanizm obrotowy, dzięki któremu Missisipi w dalszym ciągu pozostawało rzeką spławną nawet dla największych jednostek.

Istotą tego i wszystkich kolejnych jego projektów była jednak przede wszystkim lekkość. To on właśnie jako pierwszy powszechnie stosował konstrukcję tzw. mostów wiszących, które niejako zawisały nad rzeką, nie stały zaś twardo osadzone na wbitych w dno przęsłach. Dziś jest to norma – wówczas stanowiło inżynieryjną i estetyczną rewolucję. Dzięki fantazyjnej bryle wszystkie one stawały się dziełami sztuki, natychmiast inspirującymi kolejne pokolenia. Dość wspomnieć, że słynny Golden Gate Bridge w San Francisco stworzył np. uczeń Modrzejewskiego, Joseph Strauss.

NA DZIKIM ZACHODZIE

„Dolcio kończy swój most i ogląda się za następną robotą. Bardzo wielkie pochwały odebrał od komisji inżynierów, którzy zebrali się w liczbie znacznej, aby inspektować most. Wszyscy jednomyślnie uznali, że Dolcia plan i wykonanie stoją w pierwszym rzędzie inżynierskich robót, a jego portret ukazał się w gazetach" – pisała z dumą Modrzejewska.

Jej syn istotnie przebierał w zleceniach. Budował na całym kontynencie, od Florydy po Alaskę i Kanadę. Często – o czym trzeba pamiętać – w warunkach ekstremalnych. Polak pracował przecież w scenerii jeszcze Dzikiego Zachodu! Np. most przez kanion Crooked River k. Bend zawieszony był 104 m nad kanionem i w tej sytuacji nie było możliwości zbudowania rusztowań. Zastosował więc pionierską technologię, tzw. wspornikowy montaż konstrukcji kratownicowej z obu brzegów. Z kolei Celilo Bridge w Oregonie, nad rzeką Kolumbia, stawiał na kompletnym odludziu. Plastycznie opowiadał o tym prof. Głomb: „Nie jest możliwe opisanie warunków, a zwłaszcza klimatu takiej wielkiej budowy – dziki, niezaludniony teren, pierwotna przyroda, mocni, surowi ludzie. Pracują na dole w grząskim błocie, albo wysoko, na montażu, gdzie wieje stale silny, przenikliwy wiatr z drobnym piaskiem". Mimo to most oddano do użytku w 18 miesięcy, co – jak przyznaje Głomb – jest wynikiem nieosiągalnym nawet dziś w zachodniej Europie.

NAJPIĘKNIEJSZE

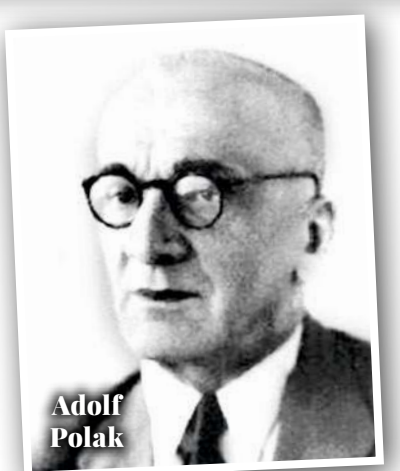
Pracował nieustannie, dzięki czemu pozostawił po sobie ponad 30 mostów, z których wszystkie stoją do dziś, inspirują wizualnie, funkcjonalnie zaś doskonale spełniają swoje zadanie. Spora w tym pewnie zasługa i tego, że Modrzejewski chętnie eksperymentował z materiałami konstrukcyjnymi. To właśnie on jako pierwszy zastosował na tak dużą skalę beton, a także stal, która dopiero wówczas zaczęła wypierać żelazo. Najważniejsze z jego prac to m.in. Quebec Railway w Kanadzie, Benjamin Franklin Bridge w Filadelfii czy San Francisco-Oakland Beach przez zatokę San Francisco. Kiedy powstawał ten ostatni, Modrzejewski był już dobrze po siedemdziesiątce, a mimo to nie przestawał pracować. Zresztą dbał o siebie. Grał w golfa, uprawiał gimnastykę, a w wieku 70 lat po raz drugi ożenił się ze znacznie młodszą artystką rewiową.

Zmarł 26 czerwca 1940 r., pozostawiając po sobie mosty, nie tylko do dziś największe w swoich kategoriach, ale – jak napisano w uzasadnieniu jednej z przyznanych mu nagród – „najpiękniejsze". Do nagród Modrzejewski miał stosunek dość lekceważący. Zapytany o nie kiedyś, miał odpowiedzieć: „Och – mam duże i mniejsze. Te duże dostałem przez przypadek, a te małe, dlatego, że miałem już te duże". ●

i spalania, obliczeniami drgań skrętnych wałów korbowych i tłumieniem tych drgań. Oddzielne zagadnienie badawcze stanowiło przystosowanie silników wysokoprężnych do spalania paliw gazowych, między innymi metanu" – pisał Edward Gil z Politechniki Gdańskiej.

POSTAWIĆ PRZEMYSŁ NA NOGI

Brzmi to egzotycznie, ale wizjonerstwo tych prac ukaże się w pełni, gdy zauważymy, że w ówczesnej Polsce samochodów było jak na lekarstwo. Łatwiej było obejrzeć wyścigi wozów sportowych niż auto na ulicy. Drogi zresztą były w stanie jeszcze gorszym niż przemysł samochodowy, a tak naprawdę – o czym najlepiej się przekonać, czytając reportaże Jarosława Iwaszkiewicza – w ogóle ich nie było. Tymczasem dzięki pracom prof. Polaka w dziedzinie silników i sprężarek polski przemysł śmiało konkurował, a czasem nawet wyprzedzał światowy. Również dzięki niemu, w tej akurat dziedzinie, Polska tak szybko stanęła na nogi mimo katastrofalnych zniszczeń doznanych podczas II wojny światowej.


Adolf Polak

Fot. Politechnika Gdańska Wydział Mechaniczny Katedra Konstrukcji Maszyn i Pojazdów

Tak naprawdę jednak prace Adolfa Polaka ważniejsze były dla świata niż dla Polski – dla niej w gruncie rzeczy dopiero po 1989 r., a więc ponad 20 lat po jego śmierci. Profesor myślał zbyt nowocześnie, by nadążył za nim przemysł – czy to niemający czasu rozwinąć się po I wojnie światowej, czy kuriozalnie zarządzany w czasach komunistycznych.

„Burzliwy rozwój techniki sprawił, że konstrukcje w dzisiejszych czasach starzeją się w szybkim tempie, powstają coraz nowsze zadania techniczne, które wymagają modernizacji i nowoczesności, a przy tym niezbędne stają się potrzeby stosowania nowych środków do realizacji tych celów" – słusznie zauważał Edward Gil. Adolf Polak był tego samego zdania, dlatego też nie przestawał uczyć się i wdrażać nowe technologie praktycznie do samej śmierci. Można w każdym razie śmiało założyć, że był jednym z tych, dzięki którym jeździmy, pływamy i latamy dziś tak szybko i bezpiecznie. ●

Wojciech Lada

eprasa.pl 4fcee5af34



Polska „węzłem” europejskiego bezpieczeństwa

Ewolucja amerykańskiej strategii wojskowej wymusi rewolucyjne zmiany w systemie sojuszy. Dla Polski te zmiany stanowią zarówno wielkie wyzwanie, jak i wielką szansę. Docelowo to my i państwa z nami współpracujące, w ramach kooperacji z USA, staniemy się gwarantami bezpieczeństwa Europy



MAREK BUDZISZ

Robert C. O’Brien, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego amerykańskiego prezydenta, napisał na łamach „The Wall Street Journal” artykuł, w którym uzasadniał, dlaczego Donald Trump podjął decyzję o wycofaniu części amerykańskich żołnierzy z Niemiec. Ten materiał jest dobrym wstępem do rozważań na temat ewolucji amerykańskiej strategii wojskowej, która wymusi rewolucyjne zmiany w systemie sojuszy, w tym doprowadzi do gruntownej zmiany charakteru NATO.

Po pierwsze, na decyzję o redukcji kontyngentu wojskowego w Niemczech wpłynęły cele wojskowe. Stary system, zakładający budowanie wielkich baz, w których wojskowi wraz z rodzinami i personelem pomocniczym mieliby odpowiadać za bezpieczeństwo całych obszarów, w realiach współczesnych konfliktów jest już przestarzały i trzeba od niego odchodzić. Obecnie wojsko, jak argumentuje O’Brien, potrzebuje mobilnych, elastycznych i wytrzymałych platform na wysuniętych obszarach, a nie drogich w utrzymaniu i łatwych do niszczenia baz wojskowych. To powoduje, że część z wycofanych z Niemiec wojskowych zostanie przemieszczona bardziej na wschód, przede wszystkim do Polski. Tylko część, bo z wojskowego punktu widzenia większa ich liczba nie jest potrzebna.

Po drugie, zmienia się w oczywisty sposób geografia bezpieczeństwa i zagrożeń. Punkt ciężkości przesuwa się do Azji i to tam trafią wycofywani z Europy żołnierze. Niektórzy do Australii, niektórzy na Alaskę, co ma związek ze wzrostem strategicznego znaczenia obszarów podbiegunowych, niektórzy wreszcie wrócą do baz w USA.

Trzecia część tekstu to powtórzenie znanych argumentów ekonomicznych. O ile, jak argumentuje Robert C. O’Brien, za prezydentury Donalda Trumpa amerykańscy sojusznicy w NATO zwiększyli swe wydatki na zbrojenia o 130 mld dol., o tyle Niemcy, które mają czwartą gospodarkę świata, nadal wydają jedynie na własne bezpieczeństwo 1,4 proc. swego PKB. Ten argument trzeba odczytywać łącznie z poprzednim o przeniesieniu z amerykańskiego punktu widzenia głównych wyzwań w zakresie bezpieczeństwa z Europy do Azji. Dlaczego Stany Zjednoczone miałyby wydawać więcej na kierunku o mniejszym znaczeniu strategicznym i z punktu ich interesów peryferyjnym, kiedy w tym samym czasie najsilniejsze państwo kontynentalnej Europy nie chce tego robić. Nie chodzi tylko o paradoks w zakresie wydatków obronnych, ale o wiele posunięć Berlina w zakresie polityki gospodarczej czy raczej ich brak, co wpływa na geostrategiczną sytuację bloku zachodniego. O’Brien wymienia w tym kontekście gazociąg Nord Stream 2 oraz kwestię dopuszczenia Huawei do rozbudowy sieci 5G.

Na konferencji prasowej po spotkaniu prezydenta Andrzeja Dudy w Białym Domu Donald Trump w swoim stylu koncentrował się na kwestiach finansowych, mówiąc o tym, jak Berlin mało w porównaniu ze swymi możliwościami i deklaracjami łoży na własne bezpieczeństwo. Ale dodał jeden istotny komentarz, na który warto zwrócić uwagę. Otóż powiedział, że Niemcy zapewne liczą, że listopadowe wybory w Stanach Zjednoczonych doprowadzą do zmiany administracji i wtedy wszystko „będzie tak jak kiedyś”. Otóż zdaniem Trumpa nie będzie, nawet wówczas, jak powiedział, „Niemcy będą musieli płacić więcej”.

eprasa.pl 4fcee5af34



Fot. Shutterstock

NIEBEZPIECZNI RYWALE

Nie chodzi w tym wypadku wyłącznie o kwestie finansowe, choć i te w dobie kryzysu po COVID-19 są niezmiernie istotne, ale zmieniające się nastroje w świecie, ryzyka i geografie bezpieczeństwa, co wpływa na to, jak Amerykanie rozumieją swój system sojuszniczy, w tym NATO. Mamy bowiem do czynienia z tektonicznymi zmianami w zakresie amerykańskiej strategii, które w rezultacie zmieniają wszystko – ocenę głównych zagrożeń, geografię obecności wojskowej w świecie, sposób reagowania na pojawiające się wyzwania, rozdysponowanie budżetu wojskowego, ale przede wszystkim kształt systemu sojuszniczego i postrzegania w nim roli partnerów, takich jak choćby Polska.

Amerykanie odchodzą od dominującego w ich myśleniu przez ostatnie trzy dziesięciolecia przekonania, że jeśli idzie o konflikty zbrojne, to będą mieć do czynienia z „państwami zbójeckimi" w rodzaju Korei Płn., Iranu czy Wenezueli lub organizacjami terrorystycznymi w rodzaju ISIS czy Al-Kaidy. Obecnie będą mieli do czynienia z zupełnie innymi przeciwnikami, przede wszystkim Chinami i z Rosją. Towarzyszy temu bolesna konstatacja, że z wojskowego punktu widzenia Stany Zjednoczone nie są w stanie walczyć równolegle na dwóch frontach. Było to możliwe, kiedy przeciwnikiem był Irak czy Afganistan, ale teraz, stojąc w obliczu ewentualnego starcia z Chinami czy Rosją, trzeba tę myśl porzucić. Dziś amerykańskie siły zbrojne przygotowują się na jeden konflikt zbrojny, a najwięksi optymiści mówią o strategii jednej dużej wojny z silnym przeciwnikiem, czyli z Chinami, i jednej małej, krótkotrwałej i z mniejszym zaangażowaniem swych sił i środków.

Co to w praktyce oznacza, wprost mówił na posiedzeniu komisji amerykańskiego Kongresu Elbridge A. Colby, dyrektor Programu Obrony z Center for New American Security, a wcześniej pracując w charakterze zastępcy sekretarza obrony ds. planowania strategicznego, człowiek do którego obowiązków należało kierowanie zespołem przygotowującym w latach 2017–2018 nową amerykańską doktrynę obrony. Jej punktem wyjścia jest mało optymistyczna przesłanka mówiąca o erozji wojskowej przewagi osiągniętej historycznie przez USA i sojuszników nad potencjalnymi rywalami. O ile kolektywny Zachód się rozbroił, zbierając to, co eksperci nazywają „dywidendą pokoju", o tyle strategiczni rywale – Rosja i Chiny – w tym czasie znacząco zwiększali swe budżety wojskowe. Dobrym przykładem jest tutaj Szwecja (ale podobnie postąpiły i inne państwa Zachodu, w tym Niemcy), która jeszcze w 1990 r. na wojsko wydawała 2,5 proc. swego PKB, by potem przez dwa dziesięciolecia przeznaczać na ten cel 1 proc.

Modernizując swe siły zbrojne, zarówno Pekin, jak i Moskwa wypracowały również w ostatnich latach, w opinii Colby'ego, „teorię zwycięstwa" w limitowanych wojnach, toczonych przeciw amerykańskim sojusznikom, takim jak Tajwan czy państwa bałtyckie oraz na wschodnich obszarach Polski. Podejście to jest amalgamatem działań „w szarej strefie bezpieczeństwa", budowy systemów antydostępowych (A2/AD), użycia szybko przemieszczających się sił pancernych, zmechanizowanych i desantowych, oraz środków o charakterze strategicznym, takich jak ładunki nuklearne o małej mocy. Celem tej nowej teorii wojny jest osiągnięcie, metodą szybkich działań i faktów dokonanych, regionalnych rozstrzygnięć terytorialnych i politycznych.

To wymusza zasadniczą zmianę doktryny wojennej Stanów Zjednoczonych. Jest ona w istocie rewolucyjna, bo oznacza porzucenie rozpowszechnionego do tej pory przekonania o możliwości zdominowania przez amerykańskie siły zbrojne przeciwnika na polu boju na rzecz przyjęcia do wiadomości tezy, iż w przyszłości ewentualne konflikty zbrojne będą toczone z przeciwnikiem o znacznie wyższym stopniu rozwoju, dysponującym siłami zbrojnymi, które mogą się stać równorzędnym przeciwnikiem, a nawet osiągać taktyczną i operacyjną przewagę. To wiąże się z przyjęciem do wiadomości zasady, że przyszłe konflikty zbrojne z udziałem Stanów Zjednoczonych mogą mieć zmienny przebieg, również taki, który uznawany jest za niekorzystny. Odejście od paradygmatu dominacji sił zbrojnych w przyszłym konflikcie oznacza, że cele polityczne związane z wojną będą musiały być kształtowane w oparciu o rachunek sił i środków wydatkowanych na ich osiągnięcie.

Trochę na podobieństwo rachunku, który przeprowadził, analizując amerykańskie zaangażowanie w Afganistanie, na łamach „Wojennej Myśli", (głównego teoretycznego periodyku rosyjskich sił zbrojnych, wydawanego przez tamtejsze ministerstwo obrony) rosyjski analityk wojskowy Jan Cziżewskij. Otóż w jego opinii zaangażowanie amerykańskich sił zbrojnych w afgańskim konflikcie miało kilka faz, począwszy od wielkiej wojny z talibami przy użyciu gigantycznych środków, a zakończywszy na ostatnim okresie, kiedy Amerykanie toczyli wojnę hybrydową z rosnącym prawdopodobieństwem „prywatyzacji" konfliktu zbrojnego, czyli zaangażowania prywatnych formacji pomocniczych lub wojsk lokalnych. Towarzyszy temu znaczna redukcja kontyngentu amerykańskiego, ostatecznie do poziomu 4–5 tys. żołnierzy, którego siły „dedykowane" są do ograniczonego i precyzyjnie sformułowanego zakresu zadań. I ten ostatni sposób prowadzenia wojny przez Amerykanów, biorąc pod

eprasa.pl 4fcee5af34

uwagę zaangażowane środki i osiągnięte rezultaty wojskowe (czy USA osiągnęły cele polityczne to zupełnie inna sprawa), okazał się zdaniem rosyjskiego specjalisty najskuteczniejszy, przede wszystkim z tego powodu, że wojna przyszłości zupełnie nie będzie przypominała tych toczonych dawniej. Raczej należy powiedzieć, że w drugim dziesięcioleciu XXI w. zarysowało się zjawisko polegające na „atomizacji wojny", które polega na tym, że współczesne konflikty przybierają charakter wielu odosobnionych i nieraz niezwiązanych z sobą autonomicznych starć wokół ognisk niestabilności. To zaś wymusza zupełnie inny system organizacji sił zbrojnych i przemodelowanie układu sojuszniczego.

JAKIE SOJUSZE

Historycznie Stany Zjednoczone zbudowały dwa rodzaje powiązań sojuszniczych. Pierwszy to NATO, spójny blok polityczno-wojskowy, w którym rządzi zasada kolektywnej obrony (art. 5) i politycznego konsensu, drugi został stworzony w Azji, gdzie mamy do czynienia z dwustronnymi porozumieniami zawieranymi odrębnie ze stolicami sprzymierzonych państw, takimi jak Tokio, Seul czy Canberra. Ta luźniejsza organizacja obrony w Azji związana była z odmienną i niepowiązaną z sobą geografią bezpieczeństwa. Z zupełnie innymi zagrożeniami liczyć się musi Korea Płd. czy Japonia, a z innymi Tajwan i Australia. Porozumienia te zakładały również, że państwa bronione dzięki obecności amerykańskich kontyngentów finansują amerykańskie bazy na swoim terytorium i kupują amerykańskie uzbrojenie. Za bazę na Okinawie miliardy dolarów płaci Japonia, podobnie za obecność Amerykanów na Półwyspie Koreańskim rachunki reguluje Seul. Wezwanie Donalda Trumpa do tego, aby Europa finansowała amerykańską obecność wojskową, są nie tylko świadectwem jego transakcyjnego podejścia do polityki, lecz również, a może przede wszystkim, próbą przeniesienia relacji panujących w Azji do NATO.

„WĘZŁY" BEZPIECZEŃSTWA

Analitycy wojskowi, tacy jak Luis Simon, Alexander Lanoszka i Hugo Meijer, są zdania, że amerykański system sojuszy będzie ewoluował w przyszłości w stronę układu określanego przez nich mianem „węzłowego". Dziś, odmiennie niźli za czasów zimnej wojny, mamy do czynienia ze słabnącym co do skali zagrożeniem ze strony Rosji, będącej obecnie w stanie wywołać i prowadzić wojnę jedynie o charakterze lokalnym,

Wezwanie Donalda Trumpa do tego, aby Europa finansowała amerykańską obecność wojskową, są nie tylko świadectwem jego transakcyjnego podejścia do polityki, lecz również, a może przede wszystkim, próbą przeniesienia relacji panujących w Azji do NATO

z drugiej strony w Azji, w obliczu skokowego wzrostu chińskiej potęgi wojskowej, mamy do czynienia z jakościową zmianą. O ile ściśle zintegrowany sojusz wojskowy, jakim jest w Europie NATO, przestaje już być w tak oczywisty sposób warunkiem skutecznej polityki odstraszania, o tyle w Azji sytuacja zmierza w odwrotnym kierunku.

A to oznacza, że powstaną „węzły" bezpieczeństwa – będą to państwa i lokalne sojusze odpowiadające na istniejące zagrożenia. Jeśli zaś mówimy o tym, że w przyszłości NATO ewoluowało będzie w stronę „węzłowego" systemu bezpieczeństwa, to musimy mieć świadomość, iż to państwa znajdujące się na potencjalnej „linii frontu", w tym oczywiście Polska, będą odpowiedzialne za obronę swego terytorium. Stany Zjednoczone nie odżegnują się od wspomagania, ale zmienia się ciężar tej obecności. Teraz roztropniej jest zakładać, że będziemy mieli do czynienia ze wsparciem, w niektórych obszarach kluczowym (rozpoznanie, siły strategiczne etc.), ale główny ciężar powstrzymania ewentualnej agresji będzie spoczywał na nas. To dlatego w dwóch przynajmniej opublikowanych ostatnio studiach przygotowanych przez amerykańskie ośrodki strategiczne, jednym napisanym przez zespół pod kierunkiem gen. Bena Hodgesa, do niedawna dowódcy amerykańskich sił lądowych w Europie, i drugim będący wynikiem prac zespołu Atlantic Council, można się spotkać z tezą, że państwa frontowe graniczące z Rosją mają wystarczający potencjał gospodarczy, wojskowy i demograficzny, aby powstrzymać i przesądzić na własną korzyść ewentualne starcie z Rosją. Nie wszystkie należą do NATO, niektóre, takie jak Szwecja, Finlandia czy Ukraina i Gruzja, blisko z Paktem współpracują. Ale wszystkie powinny współdziałać, bo razem są w stanie obronić się przed Rosją same. Stany Zjednoczone temu procesowi budowania jedności obronnej na Wschodzie dopomogą, ale nie zastąpią wysiłków państw wystawionych na rosyjską agresję. Tak w praktyce wygląda odejście Amerykanów od możliwości „toczenia dwóch wojen równolegle" przez ich siły zbrojne.

KTO ZYSKA, KTO STRACI

Dzisiaj stratedzy w Waszyngtonie raczej skłonni są myśleć i przygotowywać się do wojny z Chinami na Dalekim Wschodzie, a nie w Europie. Dla krajów naszego regionu, w tym dla Polski, te zmiany stanowią zarówno wielkie wyzwanie, jak i wielką szansę. Docelowo to my i państwa z nami współpracujące, w ramach kooperacji ze Stanami Zjednoczonymi, staniemy się gwarantami bezpieczeństwa Europy. To wymusi zmianę wewnątrzeuropejskiego układu sił i wzrost politycznego, a co za tym idzie – gospodarczego znaczenia państw odgrywających taką rolę. Nie będzie to droga łatwa i nie spotka się z aplauzem tych europejskich potęg, które relatywnie będą traciły znaczenie. Ale czy mamy inną drogę?

eprasa.pl 4fcee5af34



Więcej wiatru w PGE

Grupa PGE uruchomiła dwie nowe farmy wiatrowe. Wyprodukowana z nich energia pozwoli zaspokoić potrzeby 120 tysięcy gospodarstw domowych. To tyle, ile miasto wielkości Lublina zużywa w ciągu roku

Wiatr nie tylko daje energię, lecz także wspomaga dywersyfikację polskiego miksu energetycznego, czyli zwiększa udział odnawialnych źródeł energii w krajowej energetyce. Doskonale rozumie to PGE Polska Grupa Energetyczna, która sfinalizowała właśnie duży projekt wiatrowy.

NOWE FARMY NAD BAŁTYKIEM

Grupa PGE uruchomiła w północno-zachodniej części województwa zachodniopomorskiego dwie nowe farmy wiatrowe. Inwestycja ta to ponad 40 turbin o łącznej mocy 97,18 MW. Dzięki niej zwiększyła się łączna moc zainstalowana farm wiatrowych całej grupy o blisko 20 proc., co dodatkowo umacnia pozycję koncernu jako największego producenta „zielonej" energii w Polsce. Zauważa to wicepremier i minister aktywów państwowych Jacek Sasin, który podczas uruchomienia inwestycji wskazywał: „Polski rząd konsekwentnie realizuje działania zmierzające w kierunku zmniejszenia emisyjności z poszanowaniem konwencjonalnej podstawy i w dialogu ze stroną społeczną. Inwestycja w farmy wiatrowe nie tylko poprawia bezpieczeństwo energetyczne kraju, lecz ma też ogromne znaczenie dla regionu. To największa inwestycja PGE w farmy wiatrowe w Polsce. W sumie 43 wiatraki, których przewidywana roczna produkcja na poziomie 275 GWh energii pozwoli zaspokoić potrzeby energetyczne około 120 tys. gospodarstw domowych. To tyle, ile miasto wielkości Lublina zużywa w ciągu roku".

LICZBY, KTÓRE IMPONUJĄ

W ramach powstałej na obszarze powiatów Kamień Pomorski i Gryfice inwestycji zbudowano 33 wiatraki o mocy 2 MW i 10 wiatraków o mocy 2,2 MW, a także infrastrukturę towarzyszącą. Projekt imponuje. Do wykonania fundamentów wiatraków zużyto bowiem 16 340 m sześc. betonu, dowiezionego przez ponad... 1,8 tys. kursów betonowozów. Dodatkowo wykorzystano 2120 ton stali zbrojeniowej. To więcej niż waży osiem samolotów pasażerskich Boeing 787 Dreamliner.

Same turbiny wiatraków są potężne – każda o wadze ok. 260 ton zamontowana została na 110- oraz 125-metrowych wieżach. Wykonane z laminatu (mieszanki włókna szklanego i żywicy) łopaty mają średnicę o długości 100 bądź 110 m. Już to obrazuje skalę i rozmach inwestycji. A przecież nie jest to ze strony Grupy PGE ostatnie słowo. Jak podkreśla Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej: „Oddane dzisiaj do użytku dwie nowe lądowe farmy wiatrowe sprawiły, że łączna moc zainstalowana farm wiatrowych Grupy PGE zwiększyła się o blisko 20 proc., do 647 MW. PGE czuje się odpowiedzialna za rozwój niskoemisyjnych projektów, które mają istotne znaczenie dla mieszkańców naszego kraju. Równolegle w całej Polsce rozwijamy projekty fotowoltaiczne i intensywnie pracujemy nad budową farm wiatrowych na Bałtyku".

PGE jest obecnie liderem sektora odnawialnych źródeł energii (OZE) w Polsce – do grupy należy już ok. 10 proc. rynku. PGE wytwarza rocznie tyle „zielonej" energii, ile starcza na zaspokojenie zapotrzebowania ok. 720 tys. gospodarstw domowych. Jednak Grupa nie zamierza zwalniać tempa, już do 2030 r. planowane jest bowiem osiągnięcie ok. 25 proc. krajowej produkcji OZE, czyli ok. 14 TWh rocznie. By to osiągnąć, PGE planuje właśnie najwięcej inwestycji w tym sektorze oraz fotowoltaiki i morskich farm wiatrowych, ze szczególnym uwzględnieniem takich właśnie projektów dużej skali, jak ten w Kamieniu Pomorskim i Gryficach. Obecnie PGE ma 16 farm wiatrowych, 29 elektrowni wodnych, cztery elektrownie szczytowo-pompowe, a także jedną farmę fotowoltaiczną na Górze Żar. Łączna moc zainstalowanych obiektów to 2286,1 MW.

Z KORZYŚCIĄ DLA POLSKICH PRZEDSIĘBIORCÓW

W realizacji nowej inwestycji PGE aktywnie uczestniczyły polskie firmy. W jej realizację zaangażowane było konsorcjum firm z branży elektroenergetycznej – Elektromontaż Wschód i El-IN, które wykonało kontrakt na budowę linii wysokiego napięcia inwestycji. Polską firmą zaangażowaną w projekt była także Enea Operator, która wykonała 28 km linii kablowej wysokiego napięcia. Współpraca z polskimi firmami to przykład zaangażowania PGE w rozwój krajowej gospodarki.

Arkady Saulski

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 14/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

Pan profesor i mali chłopcy

Przez 30 lat urzędnicy w Berlinie oddawali „trudne" dzieci pod opiekę pedofilom. Dopiero dziś berliński senat zaczyna rozliczać ciemne akapity swojej historii, czyli współpracę ze znanym reformatorskim pedagogiem i pedofilem. Nie oznacza to jednak, że ofiary mogą liczyć na zadośćuczynienie



ALEKSANDRA RYBIŃSKA



Ulrich miał 13 lat, gdy uciekł z domu dziecka i prostytuował się przy berlińskim Dworcu Zoo, by zdobyć pieniądze na narkotyki. Nie miał domu, rodziny, nie umiał też czytać ani pisać. „Jego jedyną zaletą było to, że dobrze wyglądał i lubił seks. W ten sposób mógł się odwdzięczyć mężczyznom, którzy się nim opiekowali" – tak pisał w 1970 r. na łamach skrajnie lewicowego pisma „konkret. Sexualität" renomowany niemiecki pedagog Helmut Kentler. Ulricha, który w wieku czterech lat trafił do domu dziecka, dyplomowany psycholog, późniejszy wykładowca uniwersytetu w Hanowerze, zgarnął z ulicy i umieścił u „dozorcy o skłonnościach pedofilskich". Za zgodą kierowanego wówczas przez socjaldemokratów senatu ds. młodzieży oraz miejscowego Jugendamtu. Mężczyzna został później rodzicem zastępczym chłopca i otrzymywał zasiłek od miasta.

Nie był to bynajmniej przypadek odosobniony. Ponad 30 lat trwał tzw. eksperyment Kentlera, czyli umieszczanie trudnej młodzieży u „kochających pedofilów".

Ponad tysiąc nieletnich – jak pisze dziennik „Tageszeitung" („taz") – wałęsało się w latach 70. i 80. po ulicach niemieckiej stolicy. Dla nich politycy i pedagodzy szukali gorączkowo sposobów resocjalizacji. „Czuła" opieka pedofilów miała ją zapewnić. Wśród reformatorskich pedagogów panowała wówczas opinia, że to lepiej niż dom dziecka

eprasa.pl 4fcae5af34

czy poprawczak z kratami w oknach i surową dyscypliną. Uformowała się nawet kampania przeciwko placówkom wychowawczym. Można powiedzieć, że Kentler, który sam był homoseksualistą i adoptował dwóch chłopców, idealnie wpasował się w panujący wówczas Zeitgeist. Antyautorytarnego wychowania i rewolucji seksualnej opartej na ideologii emancypacji.

STABILIZUJĄCA MIŁOŚĆ PEDOFILA

Kto konkretnie wydał zgodę na eksperyment Kentlera w berlińskim senacie ds. młodzieży, trudno dziś stwierdzić. Odpowiedzialna za resort młodzieży urzędniczka utrzymuje, że „nic nie pamięta, to było tak dano temu". Jak podkreśla „taz", część dokumentów już w latach 90. prawdopodobnie wylądowała w koszu, gdy zamknięto miejscowe Centrum Pedagogiki, którym Kentler kierował. Faktem jest, że berliński senat zaangażował wówczas do reformy systemu opieki nad młodzieżą wielu radykalnych pedagogów i reformatorów – m.in. Martina Bonhoeffera i Petera Widemanna. Bonhoeffer nagminnie wysyłał trudną młodzież do prywatnej szkoły Odenwaldschule w Hesji, gdzie dyrektorem był inny reformator i pedofil Gerold Becker. Szkołę zamknięto w 2015 r., po tym jak oficjalne śledztwo wykryło w niej „trwające od lat 70. praktyki seksualnego wykorzystywania dzieci". Ofiar było co najmniej 900. Zapytać Bonhoeffera i Widemanna o eksperyment Kentlera jednak nie można, obaj już nie żyją. Podobnie jak sam Kentler, który zmarł w 2008 r. Dziennik „taz" świętował go zresztą w nekrologu jako „„zasłużonego bojownika na rzecz permisywnej moralności seksualnej". Od tego czasu na obrazie Kentlera pojawiły się jednak poważne rysy, a ci, którzy go wtedy wspierali, dziś już nie chcą o nim mówić. Ulrich, którego „resocjalizację" u pedofila pedagog określał jako pełen sukces, w rzeczywistości szybko od niego uciekł. Potem dalej ćpał, wielokrotnie przebywał w więzieniu, a dziś ma za sobą liczne terapie, wszystkie przerwał, bo przeżycia z przeszłości tak go straumatyzowały, że wciąż nie jest w stanie się z nimi zmierzyć.

Tymczasem Kentler chwalił pedofilów jako siłę „stabilizującą" w życiu dzieci. „Starszy mężczyzna daje swojemu młodocianemu partnerowi coś więcej niż satysfakcję seksualną. Chłopiec reaguje na kontakt miłością i by nie utracić starszego mężczyzny, rozwija tolerancję dla frustracji oraz rozwija się intelektualnie" – pisał Kentler w jednym ze swoich raportów, wyrażając nadzieję, że chłopcy w dorosłym życiu staną się równie kochającymi ojcami jak ich pedofilscy rodzice zastępczy. Jego zdaniem „towarzystwo tak niesfornych dzieci i tak mógłby znieść wyłącznie osobnik w nich zadurzony". On sam miał mieć Ulricha już po kilku minutach dosyć, gdyż „tak bardzo był on niedorozwinięty umysłowo". Ponadto – przekonywał pedagog – dzieci nie mieszkały już na ulicy, nie trafiały do domów dziecka, a pedofile nie szukali nowych ofiar. Same zalety.

Nastawionych emancypacyjnie berlińskich urzędników taka argumentacja najwyraźniej przekonała. Tak do pedofilów, m.in. do wielokrotnie karanego pederasty o pseudonimie Matka Zima, trafiły setki dzieci, niektóre rzeczywiście niepełnosprawne fizycznie i umysłowo. Jedno z nich – Sascha – zmarło zresztą pod opieką pedofila Fritza H. na zapalenie płuc w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach. Wraz z Saschą mężczyzna opiekował się dwójką innych chłopców, Marko oraz Svenem. W 2017 r. dorośli dziś mężczyźni powiedzieli w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel", że ich ojciec zastępczy gwałcił ich regularnie, bił i zamykał w mieszkaniu. Marko miał sześć, a Sven siedem lat, gdy trafili do Fritza H. Molestowanie seksualne trwało ponad dekadę. Sven wciąż ma myśli samobójcze, trapią go także fantomowe bóle, których żaden lek nie jest w stanie uśmierzyć. Obaj są bezrobotni, niezdolni do pracy i żyją z zasiłków.

DYSKURS EMANCYPACYJNY

Socjolodzy z uniwersytetu w Hildesheim, którzy na zlecenie berlińskiego senatu analizowali eksperyment Kentlera (raport ukazał się 5 czerwca), mieli więc przed sobą nie lada wyzwanie. Brak dokumentów, świadków oraz środowisko pedagogiczne, które dziś już nie chce pamiętać, co jeszcze tak niedawno popierało. A trzy ofiary, które byłyby gotowe zeznawać, to mało, zbyt mało. Z tym samym problemem musieli się wcześniej zmierzyć badacze z uniwersytetu w Getyndze pod kierownictwem dr Teresy Nentwing, którzy przedstawili wyniki swojej pracy w 2017 r. Z ich raportu wynika, że Kentler działał nie tylko w Berlinie, lecz także w Hanowerze, gdzie wykładał. Zajmował się m.in. przekazywaniem dzieci homoseksualnym parom do adopcji. Oba raporty, z braku innych materiałów, skupiają się na jego osobie, na człowieku – jak twierdzą jego dawni towarzysze drogi – „bardzo charyzmatycznym". Przekonującym.

A Kentler pisał. Dużo pisał. Z jego wywodów wyłania się obraz gęstej sieci złożonej z „postępowych" naukowców, polityków i urzędników, którzy tak jak on dążyli do legalizacji pedofilii. Bo to było jego nadrzędnym celem. Starał się udzielić pedofilii naukowej legitymacji. Robił to perfidnie, ukrywając swoje zamiary początkowo za dyskursem emancypacyjnym, referując o prawie dzieci „do seksualności poza ciasnym gorsetem moralności". Przekonywał rodziców, że powinni chodzić przed dziećmi nago, a „syn ma prawo zobaczyć ojca nie tylko wtedy, gdy jest ubrany, a jego poranna erekcja już zniknęła". Takie i podobne treści znalazły się w podręczniku dla rodziców, który Kentler napisał w 1979 r. i który trafił do setek tysięcy niemieckich domów. Kentler był wówczas gwiazdą wśród pedagogów, gościł często w radiu i telewizji oraz służył jako biegły sądowy w co najmniej 30 procesach w sprawie molestowania seksualnego dzieci. Chełpił się tym, że przyczynił się do uniewinnienia sprawców.

W 1990 r. polecił w sądowej ekspertyzie, by dziecko, ofiara gwałtu, dalej mieszkała u swojego gwałciciela, którego określił jako „naturalny talent pedagogiczny". Jego zdaniem tylko seksualna przemoc szkodzi dzieciom, jeśli stosunek seksualny natomiast następuje „w miłej i czułej atmosferze" dziecko tylko na tym korzysta.

eprasa.pl 4fcee5af34

Jak to się stało, że Kentler mógł działać bezkarnie, przy milczeniu środowiska akademickiego, którego był przecież prominentnym członkiem? Bo rewolucja seksualna uchodziła w Niemczech wówczas za element walki z faszyzmem, uporania się z balastem nazizmu. Jak pisze Adam Soboczynski na łamach tygodnika „Die Zeit", ruch '68 uważał seksualne wyzwolenie za element rozliczenia z przeszłością, a pedofilię za znak emancypacji od „duszących norm moralnych". „Kentler pisał m.in. o „autorytarnym charakterze Eichmanna", przeciwstawiając go „liberalnemu wychowaniu seksualnemu". To właśnie zdaniem Soboczynskiego uczyniło z Kentlera tak prominentnego i popularnego pedagoga. Gdy w 1993 r. feministka Alice Schwarzer obrzuciła go wyzwiskami, nazywając „dzieciojebcą" uniwersytet w Hanowerze stanął za nim murem. Dziś się od niego dystansuje. W 2018 r. zlecił zbadanie jego działalności na uczelni i współodpowiedzialności ówczesnych władz uniwersytetu.

NA PRZYCZEPKĘ

W latach 70. i 80. wielu wojowników na rzecz emancypacji seksualnej otwarcie głosiło swoją „miłość do dzieci" na łamach gazet, w radiu i telewizji. „Kiedy pięcioletnia dziewczynka zaczyna się rozbierać, to jest to coś absolutnie fantastycznego, bo mamy do czynienia z grą erotyczną w najczystszej postaci" – powiedział w 1982 r. w jednym z telewizyjnych wywiadów europoseł Zielonych Daniel Cohn-Bendit. Siedem lat wcześniej w autobiograficznej książce „Wielki bazar" Cohn-Bendit relacjonował swoje doświadczenia wychowawcy w przedszkolu, gdzie „flirtował z małymi dziewczynkami", które „rozpinały mu rozporek". Lata później, przyciśnięty do muru zarzekał się, że jego wypowiedzi były wynikiem panującego wówczas „trendu do społecznych eksperymentów, w tym badań nad dziecięcą seksualnością". A nie był on przecież jedynym, który wtedy tak myślał. W 1974 r. znany francuski pisarz Gabriel Matzneff rozpisywał się o „wolnej miłości" z dziećmi obu płci. „To, co mnie fascynuje, to nie określona płeć, ale ten okres między 10. a 16. rokiem życia" – pisał Matzneff, dodając, że kobiety wprawdzie potrafią być atrakcyjne powyżej tej granicy wiekowej, ale „nie wyobrażam sobie uprawiać seks z chłopcem, który przekroczył 17 lat". Choć Matzneff nigdy nie krył swoich skłonności i praktyk pedofilskich, nie musiał się obawiać konsekwencji. Chronili go „wpływowi znajomi" ze świata literatury i polityki. Dopiero w 2019 r. prokuratura wszczęła przeciwko niemu śledztwo, a część jego książek opisujących czyny zakazane, została wycofana ze sprzedaży.

> Kentler chwalił pedofilów jako siłę „stabilizującą" w życiu dzieci. „Starszy mężczyzna daje swojemu młodocianemu partnerowi coś więcej niż satysfakcję seksualną" – pisał

SANKCJONOWANA ZBRODNIA

Zdaniem psychoterapeuty Jürgena Lemkego „pedofile załapali się na przyczepkę" na fali rewolucji seksualnej i przebili się do kół naukowych oraz politycznych. Gdy Kentler został w 1976 r. wykładowcą pedagogiki społecznej na uniwersytecie w Hanowerze, w Niemczech powstawały pierwsze organizacje pedofilów – jak Niemieckie Towarzystwo Badań nad Pedofilią czy Wspólnota Badań nad Ludzką Seksualnością. Członkami byli tacy pedagodzy jak Bruno Bendig, skazany w 1993 r. za molestowanie seksualne dzieci w dziewięciu przypadkach, czy Rüdiger Lautmann, autor książki „Pożądać dziecka" (Die Lust am Kind), którzy powołując się na Reicha i Freuda, uzasadniali „miłość fizyczną między dorosłymi a dziećmi". Transgresja i permisywizm, znoszenie barier moralnych uchodziło wtedy za coś pozytywnego.

W Niemczech partie polityczne, zaliczające się do lewicowego spektrum, muszą się dziś mierzyć z zarzutem pobłażliwości wobec pedofilii. Jak wynika z historycznych badań, które Zieloni sami zlecili w 2013 r., stosunki seksualne między dorosłymi a dziećmi były tolerowane nie tylko w szeregach ugrupowania, żądanie ich legalizacji znalazło się w oficjalnym programie partyjnym. Także FDP musi się dziś tłumaczyć, choćby z raportu, który Kentler w 1981 r. przedstawił na ich zlecenie w Bundestagu i w którym propagował umieszczanie dzieci u samotnych homoseksualnych mężczyzn. W listopadzie 1982 r. partia urządziła wielką imprezę z okazji swojego zjazdu, na którą zaprosiła „gejów, lesbijki, celebrytów i pederastów". Także SPD ma sobie sporo do zarzucenia, to pod jej rządami w Berlinie eksperyment Kentlera ruszył pełną parą.

A co z ofiarami? Sven i Marko domagają się zadośćuczynienia. Wskazują na pracowników Jugendamtu i urzędników miasta, którzy wysłali ich do Fritza H., wiedząc, że jest pedofilem. Chcą, by zostali za to ukarani. Ich sprawy się jednak z punktu widzenia karnego przedawniły, a urzędnicy i pracownicy społeczni twierdzą, że nie wiedzieli, iż uczestniczą w jakimś eksperymencie. Wykonywali tylko to, co zlecono im odgórnie. W piwnicy berlińskiego senatu leży ponad 1 tys. akt sięgających od lat 50. do 90. „Te akta trzeba jak najszybciej przejrzeć" – domaga się posłanka Zielonych Marianne Burkert-Eulitz. Ale to potrwa, bo akta są posortowane alfabetycznie. Może, jeśli wszystko dobrze pójdzie, popłyną jakieś odszkodowania. Rodziny ofiar zamachu terrorystycznego na berlińskim Breitscheidplatz dostały od niemieckiego rządu 3,8 mln euro, podzielonych na 170 osób. Czekały na to dwa lata. Sven i Marko czekają już o wiele dłużej. A eksperyment Kentlera to w końcu sankcjonowana przez państwo zbrodnia, finansowana z pieniędzy podatników.

Reklama | 45/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

Chronimy **miejsca pracy**
Chronimy **polskie rodziny**

W ramach Tarczy

100 mld zł

trafiło do pracowników i przedsiębiorców

to wsparcie dla ochrony ponad

5 mln miejsc pracy

Tarcza Antykryzysowa realizowana przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej to szereg instrumentów wsparcia dla przedsiębiorców. Z jednego z nich – ze świadczenia postojowego, wypłacanego przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych – skorzystał pan Krzysztof, zawodowy spawacz. Chwali rozwiązania Tarczy Antykryzysowej.

„Wprowadzając Tarczę Antykryzysową rząd pomyślał o pracujących. Gdyby nie ta pomoc byłoby mi o wiele trudniej. W mojej branży nastąpił zastój, do tego z powodu bezpieczeństwa nie chciałem jeździć do firm, gdzie spotkałbym się z ludźmi. Finansowa pomoc pozwoliła mi spokojnie spędzić czas z rodziną".



Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

ZUS ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH

PFR Polski Fundusz Rozwoju

BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl 4fcee5af34



Kandydaci w karcerach

Białoruska polityka dzieje się w cyklach wyznaczanych przez tamtejsze wybory prezydenckie. Od wielu już lat każde kolejne głosowanie, mające odnowić mandat bat'ki Łukaszenki jako głowy państwa, staje się przyczyną kryzysu wstrząsającego białoruską sceną publiczną

Łukaszenka rządzi już 26 lat, w ciągu których (podobnie jak Putin w Rosji) zdołał użyć najróżniejszych sztuczek formalnoprawnych mających legalizować jego nieusuwalność. Kolejne głosowanie, przesunięte z powodu zarazy na 9 sierpnia, ma przedłużyć jego władzę na następne pięć lat. Ale im dłużej trwają rządy Łukaszenki, tym silniejszy jest kryzys polityczny, w jaki nieuchronnie wpada Białoruś przy okazji każdego kolejnego głosowania. Z jednej bowiem strony stopniowo, ale nieustannie wzrasta obywatelski opór wobec planów przedłużenia tyranii o następne lata. I co szczególnie ważne – opór ów przestał już być domeną słabej i rozbitej tzw. opozycji demokratycznej, wywodzącej się z ideowych, ale izolowanych społecznie partii politycznych, jakie na Białorusi wyrastały jak grzyby po deszczu w latach 90. XX w., czyli w trwającym bardzo krótko czasie swobód demokratycznych. Z drugiej zaś Łukaszenka, wyraźnie zaniepokojony oporem wobec tyranii, uderza coraz mocniejszą falą prewencyjnych represji, skoro tylko pojawiają się pierwsze symptomy tego, iż ktoś mógłby próbować na serio konkurować z nim w kolejnych wyborach.

PROCESY OPOZYCJI

Jednak to, że co najmniej niektórzy spośród kontrkandydatów Łukaszenki już po wyborach spędzają często kilka lat w więzieniach i łagrach, bynajmniej nie zniechęca coraz liczniejszych i coraz poważniejszych nowych pretendentów (nawiasem mówiąc, w przypadku Białorusi słowo „wybory" brzmi jak ponura ironia, więc gwoli uczciwości należy go zawsze używać w domyślnym cudzysłowie). Po wyborach 2006 r. były rektor mińskiego uniwersytetu Aleksander Kazulin odsiedział trzy lata za rzucenie wyborczego wyzwania Łukaszence, po wyborach 2010 r. zaś były pułkownik wojska Mikołaj Statkiewicz za to samo spędził

w łagrze aż pięć lat. Przed obecnymi wyborami Łukaszenka prewencyjnie aresztuje już wszystkich, którzy ośmielają się objawić zamiar wystąpienia w wyborach. I tak w połowie czerwca, czyli dwa miesiące przed terminem głosowania, w więzieniach i aresztach milicyjnych jest już pięciu kandydatów do prezydentury.



JAN ROKITA

Najwcześniej, jeszcze w maju br., zamknięty został Siergiej Ciechanowski, bloger z Homla, który dzięki internetowi (podobnie jak Nawalny w Rosji) stał się bodaj najpopularniejszą postacią białoruskiej opozycji. Kiedy w Grodnie Ciechanowski ze swoimi zwolennikami zbierał podpisy pod swoją kandydaturą, dwie prostytutki wywołały awanturę, w trakcie której przewrócił się milicjant. Ta prosta prowokacja dała pretekst do aresztowania blogera, którego wkrótce prokurator oskarżył o „utrudnianie wyborów", za co białoruskie kodeksy przewidują trzy lata łagru. Za więzionego Ciechanowskiego kandydowania podjęła się jego żona Swietłana. Na razie jest jeszcze na wolności, choć podobno przemyślnie zrezygnowała z publicznych akcji zbierania podpisów w większych miastach, robiąc to po cichu albo na prowincji. Jednak prawdopodobieństwo, aby udało się jej wystartować przeciw Łukaszence, wydaje się znikome.

Innego kandydata – Pawła Siewiaryńca, weterana białoruskich więzień, który tym razem miał kandydować z ramienia „starej" opozycji demokratycznej, aresztowano na początku czerwca i niezwłocznie osadzono w betonowym karcerze. 18 czerwca rozpoczął się jego proces, w którym oskarżony został o organizowanie nielegalnych zgromadzeń. W karcerze znalazł się zresztą także Ciechanowski, przy czym czas pobytu w wybetonowanej i wilgotnej celi, bez jakichkolwiek rzeczy osobistych, został mu wydłużony, bo (jak informuje jego adwokat) źle sprzątał ową celę, w której strażnik więzienny znalazł... pająka na suficie.

KREML W GRZE

Ale niewątpliwie najgłośniejsze i zarazem politycznie najbardziej doniosłe aresztowania nastąpiły w połowie czerwca, kiedy bezpieka wpadła do siedziby Biełgazprombanku, a także do mieszkań członków kierownictwa owego rosyjskiego banku, wsadzając do aresztów kilkanaście osób, wśród nich prezesa banku Wiktara Babarykę. Rzecz w tym, że Babaryka, który zdołał wcześniej bez trudu zebrać ponad 300 tys. podpisów pod swoją kandydaturą, to nie tylko bogacz, właściciel nieruchomości na Cyprze i szeroko znany w kraju biznesmen. To także od 20 lat szef jednej z kluczowych dla Moskwy instytucji gospodarczych na Białorusi – banku, którego dominującym właścicielem jest sławny i znany z politycznej dyspozycyjności wobec Kremla rosyjski koncern gazowy Gazprom. Rozbicie przez Łukaszenkę takiej instytucji tylko dlatego, że jej szef ośmielił się rzucić wyborczą rękawicę tyranowi, z natury rzeczy jest krokiem tyleż ryzykownym, co niosącym nieuchronne dla Białorusi konsekwencje polityczne.

Babaryka jest liberałem i kapitalistycznym menedżerem. Sam przedstawia się jako zatroskany o los swojego kraju patriota, który nie może już dalej znieść takiej rzeczywistości, w której „przywódca jest zarazem najlepszym w kraju lekarzem, rolnikiem, sportowcem i nawet informatykiem". Tak mówi w bodaj ostatnim wywiadzie, jakiego zdążył udzielić przed aresztowaniem, dla dziennika „Rzeczpospolita". Babaryka uderza w samo sedno panowania bat'ki Łukaszenki, dla którego stary sowiecki (albo raczej nawiązujący wprost do „wielkiego językoznawcy" Stalina) styl jedynowładzy jest modelem, któremu cały czas stara się dorównać.

W tym samym wywiadzie Babaryka uznaje za obraźliwe pytanie dziennikarza o to, w jakim stopniu jest „ramieniem Kremla". Owszem, można wyobrazić sobie, że pomysł rzucenia rękawicy przez poważnego bankiera zrodził się w jego głowie na skutek obserwacji skutków coraz bardziej anachronicznej tyranii Łukaszenki. Nie sposób jednak wyobrazić sobie, aby prezes banku należącego do Gazpromu nie spytał o ocenę takiego planu swoich moskiewskich mocodawców i nie uzyskał ich przyzwolenia. Kreml bez wątpienia jest zainteresowany ekonomiczną modernizacją Białorusi, tak aby przestała ona być krajem nieustannie żebrzącym o rosyjską pomoc finansową dla swojego przetrwania. Babaryka dla takiego planu byłby kandydatem idealnym – coś jakby niemal białoruski Morawiecki, tyle że politycznie lojalny wobec

REKLAMA



Fot. Drop of Light/Shutterstock.com
43/0520/F

eprasa.pl 4fcee5af34

Rosji. Nigdy dotąd Moskwa tak poważnie nie zaangażowała się białoruskie wybory prezydenckie.

Białoruś rządzona przez Łukaszenkę to dla Putina kraj nadający się wyłącznie do wchłonięcia przez Rosję. Skoro bowiem i tak musi być finansowana, bardziej nawet niż wiele innych regionów federacji, to przynajmniej powinna jasno podlegać władzy Kremla, zamiast prowadzić nieustannie jakąś irytującą zapewne dla Putina grę „między Wschodem i Zachodem". Co niezwykle ważne, rosyjski prezydent dopiero co przegrał przecież batalię przeciw Łukaszence, w której przez ponad rok stawiał mińskiemu bat'ce jasną alternatywę: albo pełna integracja z Rosją, albo koniec z subsydiowaniem białoruskiej energetyki. W grze z Kremlem (podobnie zresztą jak w grze z Zachodem) Łukaszenka bywa zręczniejszy, niż na to wygląda. Choć w sławnych 31 „mapach drogowych" obiecał Putinowi faktyczną likwidację samodzielności państwowej Białorusi, to wszystkie terminy finalizacji całego projektu minęły na razie bez poważniejszych skutków. Z kolei by wymusić ustępstwa Kremla w kwestii energetyki, z całą determinacją zwrócił się na Zachód, z wdzięcznością przyjmując w Mińsku amerykańskiego sekretarza stanu Mike'a Pompeo, obiecującego „pełne pokrycie białoruskich potrzeb petrochemicznych", a także uruchamiając dostawy z Azerbejdżanu, Litwy, Ukrainy i planując nawet układ w tej sprawie z Polską.

W Moskwie uznano chyba, że taka gra Łukaszenki „na niezależność" jest zbyt ryzykowna, więc wiosną br. zaczęła się rysować perspektywa rosyjskich ustępstw i kompromisu. Niewykluczone, że Babaryka miał od początku być częścią owej nowej rosyjskiej strategii. Ale Łukaszenka dostał szału. Zrobił (jak mówi sam Babaryka) „nalot dywanowy" na Biełgazprombank, rozbijając instytucję i stawiając zarówno jej szefowi, jak i jego współpracownikom kryminalne zarzuty udziału w gangu, zagrożone wyrokami wieloletniego łagru czy więzienia.

W Moskwie panuje na razie chłodne milczenie, czemu nie sposób się dziwić, bo Kreml chce oddalić wszelkie przypuszczenia na temat patronatu nad Babaryką. O klimacie wobec Łukaszenki mogą jakoś świadczyć na razie drobne gesty, takie jak odmowa spotkania z Putinem przy okazji wizyty bat'ki na moskiewskiej defiladzie zwycięstwa, przeniesionej z powodu zarazy z 9 maja na 24 czerwca. Oberwało się także symbolicznie ukochanemu synkowi Łukaszenki Koli, którego bat'ka wozi ze sobą na takie okazje (i chyba przygotowuje do „sukcesji tronu"), a którego Putin ostentacyjnie zlekceważył, gdy ten chciał się przywitać.

Ale Babaryka, jako cywilizowana alternatywa dla Łukaszenki, zdobył po drodze zbyt dużą popularność na Białorusi, aby jego zamknięcie mogło się skończyć na niczym. Obywatelskie „łańcuchy solidarności" w 19 miastach od 18 do 21 czerwca skończyły się pacyfikacjami milicyjnymi, aresztowaniami blisko 400 osób, pobiciami dziesiątków ludzi, w tym dziennikarzy oficjalnych mediów. Świat obiegły zdjęcia z rejonowego miasta Hancewicze (d. powiat łuniniecki), pokazujące milicjanta klęczącego na ulicy na szyi przewróconego człowieka (aktualna analogia z wydarzeniami w USA, które wstrząsają Ameryką), oraz film będący autotransmisją na żywo z pobicia dziennikarza Aleksandra Paźniaka. Ostatnimi dniami na uczestników „łańcuchów solidarności" zapadają wyroki aresztu i grzywien, w Mińsku sięgające sporej kwoty 570 dol. (jak podaje Centrum Praw Człowieka „Wiesna"). W Mińsku pobito i zamknięto młodzież stojącą w kolejce do znanego sklepu <Symbal.by> z „artykułami patriotycznymi" (koszulki, gadżety etc.), w którym pojawiły się właśnie T-shirty z nadrukiem: „PSICH 3%". Idzie o jedno z niezależnych badań opinii, mało skądinąd wiarogodne, wskazujące na 3 proc. poparcia Łukaszenki przed sierpniowymi wyborami. To z tego powodu bat'ka wpaść miał w prawdziwą psychozę.

> Przed obecnymi wyborami Łukaszenka prewencyjnie aresztuje wszystkich, którzy ośmielają się objawić zamiar wystąpienia w wyborach. W więzieniach i aresztach jest już pięciu kandydatów do prezydentury

POCZĄTEK KOŃCA?

Realne wydają się natomiast oceny formułowane przez Babarykę, wedle którego: „do roku 2015 Łukaszenka miał wyborczą przewagę, ale dziś już jej nie ma". Zdaje się, że do upadku ludowej wiary w bat'kę przyczyniło się także jego otwarte kwestionowanie zarazy, pomimo nie najlepszych wskaźników zachorowań i zgonów. Jeśli Babaryka ma rację, to można niemal z pewnością założyć, że zarówno Kreml, jak i odradzające się ciągle ruchy obywatelskie podejmą następne próby dokonania zmiany władzy w Mińsku. Na razie Łukaszenka będzie się utrzymywał za pomocą siły. Ale taka metoda może działać długo tylko wtedy, jeśli jawnemu szyderstwu z demokratycznych instytucji i procedur towarzyszy milcząca aprobata dla władzy ze strony ludowych mas. Na tym właśnie polega zasadnicza różnica pomiędzy silną tyranią Putina w Rosji i coraz słabszą Łukaszenki na Białorusi. W każdym razie mińskiemu tyranowi wyraźnie zwęża się pole manewru. W nieodległym czasie albo będzie zmuszony do pełnego posłuszeństwa Kremlowi, który wtedy gotów będzie trwale ochraniać jego władzę na Białorusi, jeśli ta stałaby się de facto regionem Rosyjskiej Federacji, albo narażony będzie na silny wewnętrzny opór, bez wsparcia sojuszników zewnętrznych.

W każdym razie z perspektywy Polski (i całego Zachodu) zapewne nie warto Łukaszence ułatwiać dalszej gry, której nieuchronnym finałem stanie się wchłonięcie państwowości białoruskiej przez Rosję. Odnosi się to nie tylko do finalizowanych właśnie w Brukseli unijnych programów wsparcia dla Mińska (tzw. resilience package), ale także do wątpliwej wartości flirtu, jaki z mińskim tyranem lubią prowadzić liczni politycy PiS.

eprasa.pl 4fcee5af34

Aplikacja na koronawirusa

Koronawirus nie odpuszcza i – jak widać – nie wybiera. Chorują górnicy, pisarze, o swoim zakażeniu poinformował też Adam Małysz. Większość osób przechodzi chorobę bezobjawowo. Niestety nawet gdy nie mamy objawów, zakażamy innych. Jest sposób, by szybko im pomóc. To przygotowana przez Ministerstwo Cyfryzacji aplikacja ProteGO Safe

Wiele osób zadaje sobie pytanie, jak aplikacja może pomóc w walce z koronawirusem. Może, i to skutecznie. Na takie rozwiązanie decyduje się większość państw na świecie, w tym wiele europejskich.

DAJMY SOBIE SZANSĘ

Polska jest jednym z pierwszych krajów UE, które przygotowały takie rozwiązanie. Identyczne działa m.in. w Niemczech, gdzie tylko pierwszego dnia tamtejszą aplikację pobrało 6,5 mln osób. Z dostępnej od trzech tygodni polskiej aplikacji – ProteGO Safe – korzysta ponad 200 tys. osób. Dlaczego warto ją pobrać jak najszybciej i jak może pomóc w walce z koronawirusem, tłumaczy minister cyfryzacji Marek Zagórski.

– Aplikacja ProteGO Safe powiadamia o możliwym kontakcie z koronawirusem. To realna pomoc nie tylko dla nas samych, ale i dla służb sanitarnych. Pozwala szybko z odpowiednią informacją dotrzeć do osób, które miały kontakt z zakażonym i które są narażone na zachorowanie – tłumaczy szef Ministerstwa Cyfryzacji.

Jak to działa w praktyce? Kiedy okazuje się, że ktoś zachorował – jego test dał wynik pozytywny – z taką osobą kontaktują się służby sanitarne. Pytają, z kim widziała się w ciągu ostatnich 14 dni. To oczywiste, że pamiętamy tych, których znamy – rodzinę, przyjaciół, współpracowników. Jednak wielu osób, z którymi mieliśmy w tym czasie kontakt, po prostu nie znamy. To możemy być my, czyli osoby, z którymi zakażony jechał komunikacją miejską, stał w kolejce w supermarkecie lub z którymi wspólnie uczestniczył w mszy świętej.

Dotarcie do nich wszystkich zabiera sporo czasu, w którym całkiem nieświadomie mogą zarażać kolejne osoby. Tym samym wirus się rozprzestrzenia. Korzystanie z aplikacji ProteGO Safe może to rozprzestrzenianie zahamować. Użytkownik aplikacji w ciągu kilku chwil może bowiem wysłać na urządzenie osób odpowiednią, w pełni anonimową informację o możliwym kontakcie z koronawirusem. Wystarczy, że w swoim telefonie wprowadzi numer PIN, który w trakcie rozmowy poda mu pracownik Centrum Kontaktu.

Co ważne, polska aplikacja spełnia wyśrubowane, europejskie normy bezpieczeństwa. Wykorzystuje też rozwiązanie dostarczone przez firmy Google i Apple. Swoje rozwiązania oparły na nich także inne kraje.

– Aplikacja nie śledzi naszej lokalizacji, nie wie, z kim ani kiedy się widzieliśmy. Nie ma dostępu do żadnych danych ani plików, które trzymamy w telefonie – zapewnia minister cyfryzacji Marek Zagórski. – Aby zadbać z nią o swoje, ale i swoich bliskich bezpieczeństwo nie musimy robić wiele. Wystarczy ją zainstalować i uruchomić. Resztę aplikacja robi już za nas – dodaje szef MC.

DLA KAŻDEGO

ProteGO Safe została przygotowana tak, aby korzystanie z niej było możliwie najbardziej intuicyjne i proste. Poradzą z nią sobie nawet starsze osoby. Jest bezpłatna i dobrowolna. Można ją pobrać ze sklepów, które znajdziemy na pulpicie naszych telefonów. Jeśli korzystamy ze smartfonów wykorzystujących system operacyjny Android – sklep z aplikacjami to Google Play. Jeśli nasz telefon to iPhone – aplikację znajdziemy w AppStore. W wyszukiwarkę w sklepie wystarczy wpisać nazwę aplikacji, czyli ProteGO Safe, i zainstalować ją. Jeśli nie wiemy, jak to zrobić, warto poprosić o pomoc kogoś bliskiego.

Do korzystania z aplikacji zachęcają eksperci, w tym minister zdrowia.

– Zachęcam, aby wszyscy mieli taką aplikację, bo wtedy będziemy wiedzieli na pewno, że nie stykaliśmy się z nikim chorym – mówi minister zdrowia Łukasz Szumowski.

Z aplikacji korzysta też już m.in. premier Mateusz Morawiecki. – Każdy, kto używa aplikacji ProteGO Safe, przyczynia się do zwiększenia bezpieczeństwa nas wszystkich i szybszego pokonania koronawirusa – podkreśla szef rządu.

To bardzo ważne, aby z aplikacji korzystało możliwie najwięcej osób.

– Im nas więcej, tym lepiej. Jak pokazują międzynarodowe badania, w przypadku kiedy większość społeczeństwa korzysta z takiej aplikacji, możemy zahamować rozprzestrzenianie się koronawirusa nawet o kilkadziesiąt procent. Dlatego nie zwlekajmy i zainstalujmy ją już dziś – apeluje minister cyfryzacji Marek Zagórski.

Tekst powstał we współpracy z Ministerstwem Cyfryzacji | 1/0820/F

Fundusze Europejskie Polska Cyfrowa
Ministerstwo Cyfryzacji
NASK
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 4fcee5af34



Czy możliwy jest zwrot w prawo

Letnie wybory parlamentarne w Chorwacji, wyznaczone na 5 lipca, będą naprawdę gorące. Nie tylko z powodu pory roku

eprasa.pl 4fcee5af34



GORAN ANDRIJANIĆ

Wygląda na to, że te wybory zmienią relację sił, które od początków niezależności państwa budowane są na rywalizacji między konserwatywną Chorwacką Wspólnotą Demokratyczną (HDZ) i lewicową Socjaldemokratyczną Partią Chorwacji (SDP). Rywalizacja ta wpływa na stan wszystkich elementów życia społecznego – nie tylko na politykę, lecz także na gospodarkę, kulturę, a często nawet i sport.

Główne zagrożenie dla tego układu przychodzi z prawej strony spektrum politycznego, na którym pojawiły się nowe siły. Są one niezadowolone z polityki rządu premiera i szefa HDZ Andreja Plenkovicia. Dlaczego? Bo uważają je za skorumpowane i zbyt prounijne oraz niezainteresowane prawdziwymi problemami Chorwacji.

Pierwszą z nich jest Ruch Patriotyczny, skupiony wokół popularnego muzyka Miroslava Škory. Piosenkarz był kandydatem w wyborach prezydenckich, które odbyły się w Chorwacji w styczniu tego roku, ale nie udało mu się wejść do drugiej tury. Mimo porażki stworzył dość duży polityczny ruch, który natychmiast wykorzystał do ataku z prawej strony na rządzącą HDZ.

Charyzmatycznemu Škorze, bardzo sprawnemu w wystąpieniach publicznych, udało się wyrazić niezadowolenie konserwatywnych wyborców, którzy od dłuższego czasu nie mogli się odnaleźć w dzisiejszej HDZ. To wyborcy, którzy oceniają Plenkovicia jako bliższego brukselskiej biurokracji niż zwykłemu obywatelowi Chorwacji. Oni zwyczajnie przestali mu wierzyć. Škoro jest przeciwieństwem rządzącego premiera. To człowiek z narodu, który oparł swój program na patriotyzmie i przemyślanej strategii narodowej.

Drugą siłą prawej strony polityki jest odnowiony Most. To ugrupowanie, które powstało w 2012 r. i zgromadziło aktywne osoby z różnych niezależnych list. Wynik tej partii był wielkim zaskoczeniem trzy lata później. W wyborach 2015 r. znalazł się zaraz za HDZ i SDP.

Most w międzyczasie błądził i szukał swojej politycznej tożsamości. Krótko współpracował z rządem w koalicji z HDZ, ale ta kombinacja nie przetrwała długo. Szef partii Božo Petrov nalegał, aby Most nie zajmował się problemami światopoglądowymi. Ocenił, że taki ruch mógłby zniszczyć jego partię, która zgromadziła w swoich szeregach różne osoby. Takie stanowisko na nic się nie zdało. W krótkim czasie Most opuściło wielu polityków.

Tym razem jednak ugrupowanie wchodzi w kampanię jako silna partia o orientacji prawicowej z jasno określonym światopoglądem oraz programem odnowy politycznej i społecznej wyrażonym w haśle „Chorwacja się budzi!". Jako niezależni kandydaci do partii dołączyły nowe osoby, wcześniej nieobecne w polityce. Wśród nich Nino Raspudić, znany komentator polityczny, oraz jego żona Marija Selak



Fot. Shutterstock
Reklama | 29/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

Raspudić, która również zajmuje się analizowaniem życia politycznego w Chorwacji. Para jest bardzo popularna w gronie młodych konserwatywnych intelektualistów, a ich elokwentne i wyraziste wystąpienia w kampanii przedwyborczej stały się prawdziwym odświeżeniem i nową wartością na chorwackiej scenie politycznej.

PATRZĄC NA POLSKĘ I WĘGRY

Ruch Patriotyczny i Most mają wspólny fundament polityczny. Głównym problemem dla obu ugrupowań jest postkomunistyczny układ stworzony w HDZ i SDP, który uniemożliwia krajowi pójście do przodu. SDP jest prawnym spadkobiercą niegdysiejszej Chorwackiej Partii Komunistycznej. Nie jest też tajemnicą, że po ogłoszeniu niezależności duża część chorwackich komunistów poszerzyła grono HDZ. Zdaniem analityków miało to decydujący wpływ na 30 lat chorwackiej niezależności oraz kierunek, w którym poszło młode państwo.

Krytycy takiego politycznego dwupola, jak zaczęto nazywać układ między tymi dwiema partiami, oskarżają go o wiele. Uważają, że zapobiegają lustracji (część chorwackich komunistycznych archiwów nigdy nie została otwarta ani za czasów rządów HDZ, ani SDP) oraz stymulują nepotyzm i rozrzutność administracji publicznej – swojego lojalnego wyborcy. Żadna z tych partii nie podjęła też walki z korupcją.

Mimo mocnych sprzeciwów większości chorwackiej opinii publicznej oraz Kościoła katolickiego rząd ratyfikował kontrowersyjną konwencję stambulską. Zrobił to samo ze światowym paktem w sprawie migracji, który zaniepokoił część społeczeństwa, jednak HDZ również to zignorowała. Partia podobnie zachowała się w przypadku inicjatywy społecznej zbierającej podpisy w sprawie referendum o zmianie przepisów systemu wyborczego. Zebrano wtedy ponad 400 tys. podpisów, ale większość z nich ogłoszono nieważnymi w bardzo wątpliwych okolicznościach, co wywołało wściekłość opinii publicznej.

Premier i jego probrukselska polityka być może ma poparcie lewicowo-liberalnego establishmentu, ale wygląda na to, że nie ma wsparcia dużej części narodu, który coraz bardziej podziwia politykę PiS w Polsce i Fideszu na Węgrzech. Wyborcy prawicy potrzebują nowej opcji politycznej, która umocni suwerenność państwa chorwackiego.

KORONAWIRUS I ABORCJA

Jakie tematy naznaczyły przedwyborczą kampanię? Jeden z nich, najbardziej oczekiwany, to walka z koronawirusem. Plenković zrobił wszystko, aby jak najwięcej ugrać na dość szybkim i skutecznym załatwieniu problemu epidemii. Minister zdrowia Vili Beroš, jedna z głównych osób sztabu kryzysowego, w trakcie kampanii był bardzo aktywny.

> Wyborcy prawicy potrzebują nowej opcji politycznej, która umocni suwerenność państwa chorwackiego. Z coraz większym podziwem patrzą na politykę PiS w Polsce i Fideszu na Węgrzech

Ale strategię HDZ popsuła informacja o nowych przypadkach zarażonych, których liczba w ciągu ostatnich tygodni znowu zaczęła rosnąć. Dodatkowo doszło też do skandalu w Zadarze, ponieważ okazało się, że wielki turniej tenisowy Adria Tour, organizowany przez serbskiego tenisistę Novaka Djokovicia, stał się potencjalnym nowym ogniskiem zarazy. Wśród zarażonych znaleźli się Djoković i jego żona, a kontaktował się z nimi także premier Chorwacji Plenković. Po przetestowaniu okazało się, że polityk ma wynik negatywny, ale odrzucił poddanie się samoizolacji, czego żądały od niego niektóre osoby. Wydaje się, że walka z koronawirusem, która na początku kampanii była wielkim atutem Plenkovicia, ostatecznie zaszkodzi HDZ.

Drugi wielki, choć trochę nieoczekiwany, temat tegorocznej kampanii, to od lat zaniedbywana kwestia aborcji. W ciągu kilku ostatnich lat poparcie dla organizacji pro-life na Chorwacji jest coraz silniejsze. Chodzi o prawdziwy ruch grassroots, który wyszedł z ludu i mocno dziś naciska na polityków, aby zmienili prawo z czasów komunistycznych, które legalizuje aborcję.

Temat otwarcie podjęli i Škoro, i Raspudić, domagając się ochrony życia nienarodzonych dzieci, co spowodowało oburzenie lewicowo-liberalnych mediów. By pogrążyć polityków, media te wycięły kilka zdań z ich wypowiedzi. Wyszło na to, że chcą zakazać aborcji kobietom, które zaszły w ciążę w efekcie gwałtu, czego oni nigdy nie powiedzieli.

Efektem tych publikacji stała się kampania internetowa, którą zapoczątkowały członkinie lewicowych ugrupowań. W sieciach społecznościowych pojawiły się fotografie feministek pokazujących środkowy palec Raspudiciowi i Škorze. Zaskoczeniem było to, że do kampanii dołączyła była prezydent Grabar Kitarović, jeszcze niedawno deklarująca się jako wierząca katoliczka, jednak nigdy niewypowiadająca się jasno w kwestii aborcji.

Niektórzy twierdzą, że swoim zaangażowaniem najbardziej zaszkodziła HDZ, ponieważ udowodniła tym samym, że partia przedstawiająca się jako chrześcijańsko-demokratyczna nie różni się w tej kwestii niczym od lewicowej SDP.

CO DALEJ?

Wszystkie sondaże wskazują na to, że ani HDZ, która ma najlepsze prognozy, ani koalicja SDP i partii lewicowych, nie będą w stanie samodzielnie stworzyć rządu. Muszą szukać koalicjantów.

HDZ może go stworzyć jedynie z Ruchem Patriotycznym, ponieważ Most dał już do zrozumienia, że nie będzie koalicjantem Plenkovicia. Jeśli tak się stanie, wtedy dzisiejszy premier będzie musiał dokonać wielkich ustępstw na rzecz Škory i jego partii.

Niektórzy analitycy twierdzą nawet, że zbudowanie nowego rządu jest mało prawdopodobne. A to oznacza, że dojdzie do kolejnych wyborów.

Jakkolwiek będzie, Chorwację czeka w tym roku gorące lato.

eprasa.pl 4fcee5af34

Hit tygodnia

Smartfony Huawei P40



Huawei P40 to najnowsza generacja smartfonów z serii P, znanej z dużych możliwości fotograficznych. Smartfony z serii P40 zostały wyposażone w aparat fotograficzny Ultra Vision opracowany we współpracy z marką Leica – jego największą innowacją jest zastosowanie sensora CMOS Ultra Vision o dużym rozmiarze (jak na smartfon) – 1/1,28 cala. Model Huawei P40 Pro wyposażony jest w system czterech obiektywów: głównego o rozdzielczości 50 MP (f/1,8), ultraszerokokątnego Cine Camera o rozdzielczości 40 MP i z przesłoną f/1,8, obiektywu do pomiaru przestrzeni kadru oraz 12 MP teleobiektywu peryskopowego SuperSensing Zoom (f/3,4). Z kolei model P40 Pro+ wyróżnia się na tle pozostałych smartfonów z serii innowacyjną konstrukcją teleobiektywu SuperZoom Array, dzięki czemu za pomocą smartfona można wykonać zdjęcie z 10-krotnym zoomem optycznym i nawet 100-krotnym zoomem cyfrowym. Modele P40 Pro+ i P40 Pro zostały wyposażone w baterię o pojemności 4200 mAh. Zapewnia to użytkowanie telefonu w standardowych warunkach od 1,5 do 2 dni. Telefony można też bardzo szybko naładować dzięki technologii Huawei SuperCharge 40 W. Huawei P40 Pro+ obsługuje też funkcję szybkiego ładowania bezprzewodowego o wartości 30 W (model P40 Pro – 27 W), a dzięki funkcji ładowania zwrotnego może służyć za przenośny bezprzewodowy powerbank. Model Huawei P40 został wyposażony w baterię o pojemności 3800 mAh. Smartfony Huawei P40 Pro i P40 wykorzystują oprogramowanie EMUI 10.1, bazujące na systemie operacyjnym Android i działają w oparciu o Huawei Mobile Services (HMS).

premiera

Plusy i minusy

+ dla zwolenników fotografowania smartfonem – zestaw obiektywów
– dla niektórych minusem będzie brak usług Google, dostępnych w klasycznym Androidzie

Polaroid NOW!

Firma Polaroid zapowiedziała wprowadzenie na rynek nowego aparatu do fotografii natychmiastowej. Będzie to model o nazwie NOW!, który przy zachowaniu tradycyjnego wyglądu tego typu aparatów marki Polaroid charakteryzuje się jednak łagodniejszymi kształtami. Choć aparaty do tego typu fotografii mają spore ograniczenia techniczne, to w przypadku NOW! możemy korzystać z autofokusa lub możliwości przełączenia się z trybu krajobrazowego na portretowy. Aparat pojawi się w kwietniu w kilku kolorach: czerwonym, niebieskim, pomarańczowym, zielonym i żółtym. Cena na polskim rynku wyniesie 619 zł. Wraz z premierą aparatu pojawi się także specjalna edycja filmów Color Wave i-Type.



premiera



Komputer HIRO Pyramid

Firma HIRO ma w swojej ofercie dość nietypowo wyglądający komputer, mianowicie w kształcie piramidy. HIRO Pyramid to komputer gamingowy, dlatego komponenty znajdujące się w środku mają zadowolić nawet wybrednych graczy. Niestety wiąże się to z wysoką ceną sprzętu, ok. 13 tys. zł. Za co więc płacimy? Za ośmiordzeniowy procesor Intel Core i7-9700KF z dodatkowym wodnym chłodzeniem SilentiumPC Navis EVO ARGB 360, kartę graficzną GIGABYTE GeForce RTX 2080 8GB Aorus X-8GC, 32 GB pamięci, dysk SSD 1TB Adata XPG SX6000, płytę główną Gigabyte Z390M AORUS Master z chipsetem Intel® Z390. Komputer dzięki podświetleniu chłodzenia wiatraków oraz pamięci rozbłyskuje intensywnym światłem. W zestawie do komputera znajduje się mysz HIRO Hydra, podkładka pod mysz HIRO Apollo Precision, klawiatura mechaniczna HIRO Panther oraz słuchawki HIRO Zeus.

cena: ok. 13 tys. zł

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 4fcee5af34

Pandemia pomoże w cyfrowej ewolucji



Gdy niemożliwy już był spacer po parku, pandemia okazała się spacerem po trampolinach. Przynajmniej w cyfryzacji. Dopiero w zamknięciu otworzyliśmy się na nowe. Teraz ruszymy z kopyta? O tym rozmawiali uczestnicy II Edycji Forum wGospodarce.pl

Redakcja ekonomiczna Grupy Medialnej Fratria, wydawcy portalu wGospodarce.pl i „Gazety Bankowej", prowadzi w tym roku drugą edycję ogólnopolskiego programu „Forum wGospodarce.pl", będącego platformą wymiany doświadczeń na temat zabezpieczenia strategicznych interesów Polski po pandemii COVID-19 oraz roli firm technologicznych w wyjściu z kryzysu gospodarczego. Kluczowym elementem tej dyskusji jest przywrócenie tzw. nowej normalności, czyli bezpieczeństwo Polaków w wielu obszarach – przede wszystkim zdrowotnym i gospodarczym w czasach pandemii i po opanowaniu kryzysu. Kryzysy mają to do siebie, że część procesów rozwojowych hamują, a inne potęgują. Jak obserwujemy – technologia cyfrowa może być tą dziedziną, która na lockdownie zyskała nowy impet rozwojowy, a wyjątkowym impulsem może być konieczność powszechnego wykorzystania technologii, które już są, a niewiele osób korzystało z nich wcześniej. Bo AI, internet rzeczy i robotyzacja to jedno, ale była cała szeroka gama usług i produktów cyfrowych, które nie przebiły się nadal do powszechnego użytku.

Podczas debaty, którą poprowadził Maksymilian Wysocki, redaktor zarządzający portalu wGospodarce.pl, skoncentrowano się m.in. na takich zagadnieniach jak: działania rządu dla wsparcia innowacyjności i cyfryzacji polskiego biznesu, inwestycje i doświadczenia globalnego biznesu dla przejścia przez kryzys, a być może i dodatkowego przyspieszenia rozwoju polskiej innowacyjnej gospodarki.

Jakie działania rządu dotyczące wsparcia innowacyjności i cyfryzacji przedsiębiorstw (zwłaszcza MSP) stwarzają realne podstawy dla wzmocnienia polskiej gospodarki i powrotu na ścieżkę rozwoju? Minister cyfryzacji Marek Zagórski wskazuje przede wszystkim na właściwą diagnozę wyzwań cyfrowych przez resort i sukcesywną, organiczną pracę ministerstwa i rządu długo przed pandemią.

– Te działania możemy podzielić na kilka kategorii: na te, które były podej-

eprasa.pl 4fcee5af34

mowane mimo pandemi, i i na podjęte w wyniku pandemii. Rozwój e-usług to trend, który rozwijaliśmy długo przed pandemią. E-usługi to ułatwienie dla obywateli, ale i impuls do trwałego i dynamicznego rozwoju gospodarki. To, co z całą pewnością wydarzyło się w trakcie pandemii, to jeszcze większe przyspieszenie tego rozwoju. Ostatnie miesiące to rekordowe zainteresowanie e-administracją – ocenił minister cyfryzacji Marek Zagórski. – Nasze działania prowadziliśmy równolegle w kilku obszarach. Dzięki takiemu podejściu polska gospodarka, polska e-administracja i Polacy przeszli – może nie suchą nogą, jednak z powodzeniem – przez tę rzekę. Dzięki temu udało się uratować wiele firm. Co więcej, wiele z nich dostrzegło nowe szanse dla swojej działalności. Obroty handlu w internecie zanotowały rekordowe wzrosty.

Minister Zagórski wskazał inwestycje w sieci telekomunikacyjne, w infrastrukturę IT, w rozwiązania legislacyjne, takie jak ustawa o innowacyjności, która została wprowadzona w poprzedniej kadencji, czyli dwukrotny odpis w koszty wydatków na badania i rozwój oraz IP BOX.

– To są rozwiązania, które z całą pewnością, umożliwiły nam przede wszystkim bycie w miarę przygotowanym na tę sytuację, choć, co oczywiste, nikt nie był na nią przygotowany. Ale to pozwoliło nam sprawniej zadziałać. To dotyczy zarówno samej administracji, ale także tego, co oferują firmy, bo sama infrastruktura to za mało. Tych działań było w ostatnich latach na tyle dużo i były na tyle intensywne, że mieliśmy szansę sprostać temu wyzwaniu i chyba sprostaliśmy – ocenia Marek Zagórski. – Efekt, jaki widzimy w e-administracji, to już ponad 7 mln profili zaufanych.

Minister Zagórski podkreślił, że przy zamkniętych urzędach właściwe podjęte wcześniej działania były kluczowe dla funkcjonowania państwa w czasie lockdownu. Wskazał zwłaszcza na portal GOV.pl, który spaja w sobie wiele innych portali, takich jak zdalne lekcje czy serwis obsługi tarczy antykryzysowej. To także oficjalne źródło rzetelnych informacji o koronawirusie. W ostatnich tygodniach zdarzało się, że jednocześnie korzystało z niego kilkaset tysięcy użytkowników. Nie powodowało to jakichkolwiek problemów z funkcjonowaniem portalu. Szef MC wskazał także na dostawców usług chmurowych jako jednych z największych zwycięzców obecnej sytuacji.

Co dalej? Wszyscy przeszli i przechodzą, jak określił, przyspieszony kurs kompetencji cyfrowych. Jeśli jakimś wskaźnikiem postępu przyspieszonej cyfryzacji jest 3 mln profili zaufanych założonych tylko od początku tego roku, to znaczy, że jest o tyle więcej osób bardziej świadomych w sieci. Dla firm to nowi klienci.

– W tej chwili możemy mówić, że rynek cyfrowy w Polsce jest już w miarę powszechny. Nie są to tylko młodzi, w średnim wieku, zamożni, z dużych miast, jak mogło się wydawać. Sam jestem ciekaw danych przekrojowych, które nam to pokażą, ale jeśli przed pandemią mówiliśmy o tym, że 86 proc. Polaków korzysta z sieci, to w tej chwili to jeszcze podskoczy. To nowy konsument i to ma znaczenie po drugiej stronie, u przedsiębiorców. Wielu przedsiębiorców musi mieć świadomość, że bez inwestycji w obszar cyfryzacji ucieknie im spora grupa klientów – ocenił minister cyfryzacji.



Fot. Andrzej Wiktor

Coraz bardziej zaawansowaną cyfryzację i coraz większy ruch w sieci musi obsłużyć infrastruktura telekomunikacyjna. Jakie technologie i jakie inwestycje technologiczne dla Polski są tu kluczowe? Jakie wyzwania stoją przed polską infrastrukturą telekomunikacyjną?

– Trendy, które obserwowaliśmy przed pandemią, w zasadzie się nie zmieniają, tylko gwałtownie przyspieszają i utrwalają się. Niestety stare przyzwyczajenia lubią wracać. Podczas lockdownu większość spraw w firmie załatwialiśmy zdalnie, podpisując dokumenty elektronicznie. Kiedy tylko wróciłem do biura, wróciła „teczka z dokumentami do podpisania". Dlaczego? Co się zmieniło? Świetnie radziliśmy sobie przecież bez papieru, jednak wydruki wróciły. Nie wolno nam

eprasa.pl 4fcee5af34

zmarnować okazji utrzymania trendu powszechnej cyfryzacji. Co do inwestycji w infrastrukturę, to wszystko zależy od perspektywy. W krótkim horyzoncie trzeba się koncentrować na likwidowaniu wykluczenia cyfrowego w każdej sferze funkcjonowania państwa, w tym w zakresie edukacji. W średnim i długim horyzoncie należy uruchamiać inwestycje w takich obszarach, w których możemy zbudować silne przewagi konkurencyjne dla polskiego przemysłu. Kraje, które wykorzystają szanse pojawiające się wraz z wychodzeniem z kryzysu pandemicznego i rozbudują m.in. infrastrukturę telekomunikacyjną, wygrają – ocenił Andrzej Kozłowski, prezes spółki Emitel SA.

Prezes Emitela wskazał też na bezpieczeństwo. Stwierdził, że przed pandemią, mówiąc o bezpieczeństwie infrastruktury telekomunikacyjnej, mieliśmy głównie na myśli bezpieczeństwo cyfrowe (z ang. cybersecurity).

– Od pewnego czasu zaczynamy coraz bardziej obawiać się o fizyczne bezpieczeństwo naszej infrastruktury wysokościowej. Niestety obserwujemy coraz liczniejsze przykłady ataków na infrastrukturę telekomunikacyjną. To już nie tylko Wielka Brytania, Holandia, ale także Polska. Te działania są ewidentnie inspirowane w ramach kampanii dezinformacji, karmione lękiem przed 5G. Niszczenie infrastruktury, a więc palenie masztów, przecinanie lin odciągowych to poważne zagrożenie, z którym musimy się zmierzyć. Patrząc na to z perspektywy firmy, która taką infrastrukturę posiada i która służy do emisji sygnału TVP czy Polskiego Radia na terytorium całego kraju, powiem szczerze, że mam dużo obaw – powiedział Andrzej Kozłowski. – To powinien być priorytet polskich władz i służb. W ślad za nowymi inwestycjami konieczne jest zwiększenie bezpieczeństwa infrastruktury telekomunikacyjnej.

Mówiąc już o samej infrastrukturze, prezes Emitela wskazał, że oczywiście najważniejsze będą nowe maszty do szerokopasmowego internetu mobilnego, lecz równie ważne jest budowanie infrastruktury światłowodowej. Kolejny to nacisk na automatyzację i robotykę, zwłaszcza w logistyce, w której jak widać, zaczynają tworzyć się tzw. wąskie gardła, niewydolne przy zbyt dużym zainteresowaniu e-zakupami. Dodatkowo nie można również zapominać o transporcie.

– Za chwilę zaczniemy znowu podróżować i latać samolotami. Jest jeden przykład inwestycji, która z jednej strony jest niezmiernie potrzebna ze względu na rosnące potrzeby komunikacyjne, a z drugiej strony może być kołem zamachowym polskiej gospodarki. Mam oczywiście na myśli wielki projekt cywilizacyjny, jakim jest CPK. To nie tylko nowe lotnisko, ale również szybka kolej i drogi. Wzdłuż tych szlaków jak grzyby po deszczu zacznie wyrastać infrastruktura telekomunikacyjna. Będzie działało sprzężenie zwrotne, które napędzi duże inwestycje w obszarze telekomunikacji – ocenił prezes Emitela.

Jak ocenił minister Zagórski, to nie kwestia proporcji między budową internetu mobilnego a światłowodowego. Dostęp do szybkiego internetu musi być niezależny od kanału. Tu wskazał na możliwą zmianę podejścia w kolejnej perspektywie budżetowej UE. W latach 2007–2013 inwestycje realizowane były przez samorządy, które często nie dawały sobie z tym rady. Obecnie inwestycje realizowane są z dofinansowaniem ze środków publicznych przez operatorów telekomunikacyjnych. W nowej perspektywie dobrze będzie połączyć siły i w planowanie inwestycji realizowanych przez operatorów włączyć samorządy.

– Samorząd będzie musiał uwzględniać zarówno światłowód, jak i planowanie masztów. Dziś mamy taki problem infrastrukturalny, że maszty są nie tylko atakowane, ale i trudno je w ogóle postawić. Nie dlatego, że są bariery prawne, ale przez opór mieszkańców i samorządów, którzy chcą mieć ciastko i zjeść ciastko. Pytają „dlaczego u nas nie ma internetu?", a z drugiej strony wysyłają protesty „kto pozwolił na budowę tego masztu?". Pretensje te są wysyłane w tej samej sprawie i z tej samej miejscowości. Chcemy, żeby w dużej mierze w dalszym ciągu likwidować białe plamy – czyli miejsca na mapie Polski, w których nie ma dostępu do internetu – ze środków publicznych. To się sprawdziło i działa dobrze. Z drugiej strony chcemy, aby to się działo szybciej i sprawniej, we współpracy z samorządami. Ten miks będzie w każdym przypadku różny. Chodzi nam tylko o to, żeby dostęp do szerokopasmowego internetu w Polsce był możliwy w każdym miejscu w kraju – podsumował minister cyfryzacji.

Cyfrowa transformacja i kluczowe kompetencje – w czym mogą pomóc duzi gracze? Jakie ich inwestycje mogą nam wszystkim pomóc? Czego uczą nas doświadczenia ostatnich kilku miesięcy?

Allegro jest firmą technologiczną, która mocno włączyła się w wątek cyfrowej transformacji Polski. Firma od początku aktywnie wspierała polskich przedsiębiorców i konsumentów praktycznymi środkami, jakie ma w posiadaniu, np. przez oferowanie darmowego programu Smart, który pozwolił z dnia na dzień Polakom zaopatrywać się w towary kupione online łatwiej i przeorganizować to, w jaki sposób funkcjonowali dotychczas. Dodatkowo firma zaangażowała się we wsparcie polskiego systemu opieki medycznej. Łączna wartość tych działań to 375 mln zł. Jak oceniła przedstawicielka firmy, wyzwaniem było też zapewnienie bezpieczeństwa dwóm tysiącom pracowników.

– Widać przyspieszenie. Na Allegro mamy 15 tys. nowych sklepów internetowych od początku pandemii – ocenia Magdalena Piech, head of regulatory affairs w Allegro, prezes European Tech Alliance (Stowarzyszenia Europejskich Firm Technologicznych). – Dla wielu firm konieczne było przeniesienie działalności do internetu i Allegro było w stanie zapewnić polskim firmom zestaw niezbędnych do tego narzędzi. Przejście, czy raczej zrozumienie, że to jest główny kanał sprzedaży w sytuacji pandemii, to była dla wielu z pewnością duża mentalna zmiana. Bardzo szybko wydłużyliśmy terminy płatności do 60 dni dla firm, mając świadomość, że w sytuacji kryzysu mogą doświadczyć trudności z płynnością finansową. Zwolniliśmy nowe firmy z opłat prowizyjnych na trzy miesiące. Ułatwiliśmy dostęp firm do pożyczek online. To też było kluczowe. Dużą uwagę poświęciliśmy usprawnieniu logistyki i dostawy. Patrząc na efekty, widzimy, że to przyspieszenie cyfryzacji się powiodło.

Jak zaznaczyła przedstawicielka Allegro, pierwsze oferty pojawiły się dwa i pół dnia po zarejestrowaniu, a po piątym już

eprasa.pl 4fcee5af34

ruszała sprzedaż. Rekordzista osiągnął obrót 513 tys. zł w ciągu pierwszego miesiąca, a to siedmiokrotność przeciętnej sprzedaży w pierwszym miesiącu.

Patrząc na wymianę doświadczeń pomiędzy dużymi europejskimi firmami technologicznymi, tzw. scale-upami (Criteo, Seznam, Zalando, Spotify Bolt) zrzeszonymi w The European Tech Alliance, można wyciągnąć podobne wnioski. Kryzys był pewnego rodzaju próbą i swoją wiedzę oraz umiejętności firmy wykorzystywały, by działać dalej samemu i ułatwiać działanie innym podmiotom, które współtworzą ekosystem cyfrowy.

– Dostrzegalny jest wspólny trend. Każda z firm własnymi zasobami próbowała wesprzeć innych. Wydaje mi się, że biznes bardzo odpowiedzialnie podszedł do tej sytuacji. Kluczowa też okazała się współpraca z administracją publiczną i dialog, by zrozumieć wspólne potrzeby i adresować właściwe odpowiedzi. Moim zdaniem kryzys nauczył nas tego, że w technologii jest ogromny potencjał, który może być wykorzystany bardzo dobrze dla społeczności lokalnych. Taki dialog powinien być kontynuowany i w duchu współpracy powinniśmy mierzyć się nie tylko z wyzwaniami ad hoc, ale robić to bardziej systemowo – oceniła Magdalena Piech.

Wiele firm wcześniej miało konserwatywne podejście do internetu. W trakcie pandemii właśnie te firmy przekonały się, że nie ma już innej drogi. To szansa czy zagrożenie? Google obserwuje, że w krótkim czasie wielu nowych użytkowników można było zapytać, dlaczego wcześniej nie byli zainteresowani i co im przeszkadzało.

– To był też dla nas właściwy moment do tego, żeby się dowiedzieć, dlaczego firmy i użytkownicy wcześniej nie korzystali z tych rozwiązań – ocenił Artur Waliszewski, dyrektor biznesowy Google. – To, co też ważne, to że nagle wzrosło zapotrzebowanie na narzędzia możliwe do wdrożenia szybko i na szeroką skalę, tzw. skalowalne. Tu właśnie tak cenne okazały się rozwiązania chmurowe, gdzie cały ciężar technicznej innowacji jest po stronie dostawcy, nie klienta. Te rozwiązania okazały się bardzo dobrze dopasowane do sytuacji. Potwierdziło się, że rozwój techniczny wymaga, by końcowy użytkownik miał tylko pewne kompetencje cyfrowe, a o całą resztę martwią się dostawcy technologii. Te kompetencje cyfrowe okazały się towarem pierwszej potrzeby. Najbardziej widać było różnicę w zdolności do adaptacji firm właśnie na tym poziomie. To kompetencje cyfrowe odróżniały tych, którzy mieli problemy z poradzeniem sobie w lockdownie, od tych, którzy jednak jakoś byli w stanie funkcjonować – dodał.

Jak ocenił minister Zagórski, podsumowując, nowe technologie to nowe szanse, jednak trudniej je wdrażać na istniejących organizmach. W tym sensie wyraził wielką nadzieję wobec projektu CPK, który będzie poligonem doświadczalnym dla wszelkich najnowszych technologii i ogromną szansą właśnie dlatego, że powstaje od zera, a więc nie ma tam wielu ograniczeń.

Maksymilian Wysocki

Forum wGospodarce.pl

PATRONAT HONOROWY: Ministerstwo Cyfryzacji; Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej PATRONAT HONOROWY; Ministerstwo Rozwoju; Ministerstwo Zdrowia Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNERZY GŁÓWNI: allegro; Coca-Cola; PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY WSPIERAJĄCY: AstraZeneca; Deloitte.; emitel; Google; JTI; NOVARTIS; STRABAG; VELUX

Więcej informacji w dedykowanej zakładce na: www.wgospodarce.pl

eprasa.pl 4fcee5af34

Gdzie zginęły tysiące dzikich gęsi?



Jak wyjaśnić zagadkowe, równoczesne zniknięcie setek tysięcy dzikich gęsi zbożowych? Wydarzenia tego typu wywołują zwykle ciągnące się latami dyskusje i poszukiwanie przyczyn. Tu wyjaśnienie jest proste, lecz zaskakujące, a z tła wyłania się zupełnie inna historia



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Do niedawna symbolem Parku Narodowego „Ujście Warty" była gęś zbożowa. Rozlewiska były bardzo ważnym zimowiskiem, a także przystankiem podczas jesiennych i wiosennych wędrówek gigantycznych stad dzikich gęsi, liczących nawet sto kilkadziesiąt tysięcy ptaków, wśród których przeważały gęsi zbożowe.

Kiedy nieprzeliczone stada gęsi zrywały się do lotu na nadwarciańskich łąkach, już z dala słychać było narastający odgłos powodowany przez uderzające w powietrze skrzydła, z których każda para musiała unieść w powietrze kilkukilogramowego ptaka. W pewnym momencie odgłos przechodził w huk, porównywalny z jakąś gigantyczną falą, przerywającą tamę; huk tak potężny, że słuchającemu trudno było uwierzyć, że wywołują go ptasie skrzydła, a nie huragan lub olbrzymia, nagle uwolniona masa wody. Wznoszącej się chmurze, która przysłaniała słońce, towarzyszył

eprasa.pl 4fcee5af34



Fot. Przemysław Barszcz

krzyk niezliczonych gęsich gardeł. Widowisko natury, budzące tak pierwotną radość, jakiej mogli doświadczać nasi przodkowie, widząc wędrujące, niekończące się stada dzikich przeżuwaczy – uczucie obcowania z niewyczerpaną obfitością przyrody.

Od niedawna jednak w parku narodowym liczba gęsi zbożowych spadła drastycznie. Jednocześnie, bez większego rozgłosu, gęś zbożowa zniknęła z logo parku...

DZIKIE GĘSI, CZYLI CO?

Pojęcie „dzikie gęsi" jest znane każdemu. Co się pod nim kryje? W ten sposób zbiorczo określa się zwyczajowo i romantycznie cały szereg gatunków tych ptaków. W Polsce obserwuje się gęsi gęgawy *Anser anser*, które nie tylko pojawiają się na zimowiskach i przelotach, ale także gnieżdżą się u nas, a także gęsi zbożowe *Anser fabalis*, gęsi tundrowe *Anser serrirostris*, gęsi białoczelne *Anser albifrons*, gęsi małe *Anser erythropus*, bernikle białolice *Branta leucopsis*, a także rzadkie, barwne bernikle rdzawoszyje *Branta ruficollis*.

Widok klucza dzikich gęsi na niebie czy ich głos dobiegający gdzieś wysoko z nieba jest tym bardziej fascynujący, jeżeli uświadomimy sobie, że wiele spośród ptaków wędrujących przez nasz kraj ma swoje gniazdowiska nad syberyjską rzeką Ob, w rejonie półwyspu Tajmyr, na Spitsbergenie czy Grenlandii.

SYSTEMATYKA I UCIEKAJĄCA WODA

A co z tajemniczym zniknięciem tysięcy gęsi zbożowych? Na szczęście w tym przypadku wyjaśnienie jest proste. W obrębie gatunku gęś zbożowa *Anser fabalis* od dawna wyróżniano kilka podgatunków. Po wnikliwych badaniach niedawno uznano, że jeden z podgatunków jest na tyle odrębny, że zasługuje na status gatunku. W ten sposób lista ptaków świata powiększyła się o nowy gatunek – wspomnianą już gęś tundrową *Anser serrirostris*. Tym samym to właśnie gęś tundrowa, a nie zbożowa, stała się najliczniejsza w stadach nad Wartą. Gęsi nie jest więc mniej, po prostu zmieniła się systematyka przyrodnicza. W logo parku narodowego nadal jest gęś, lecz obecnie jest to gęś tundrowa.

Za sprawą zniknięcia gęsi zbożowych nie kryje się więc przyrodnicza tragedia, lecz zmiany w systematyce przyrodniczej. Na razie więc gęsi nad Wartą jest tyle samo.

Na razie. Na terenach zalewanych co roku przez wody Warty i Postomii obserwowane jest bowiem bardzo niepokojące zjawisko, które może zagrozić nie tylko gęsiom. Poziom wody jest na przestrzeni ostatnich lat coraz niższy, a wiosenne zalewy, dawniej będące regułą, teraz stały się ewenementem; tej wiosny poziom wody był niespotykanie niski. Jak napisano na stronach parku narodowego, pod koniec kwietnia poziom wód był tak niski, jak dawniej późną wiosną lub dopiero na początku lata. Analogiczna sytuacja na wyschniętych Bagnach Biebrzańskich stała się niedawno przyczyną wielkiego pożaru.

Czy niezliczone dzikie gęsi, jeden z symboli życiodajności mokradeł, znikną, tym razem naprawdę, a wraz z nimi nasze bagna, rozlewiska, torfowiska i mokradła przestaną być magazynem wody? Jakie są przyczyny wysychania bagien?

Bezpośrednich przyczyn ucieczki wody nie trzeba szukać daleko. Odpowiedzi udziela chociażby analiza sytuacji ze wspomnianego Parku Narodowego „Ujścia Warty". Wiosenne rozlewiska utrzymywały się w północnej części parku, na tzw. Polderze Północnym. Dlaczego?

OSUSZANIE ARCHAICZNE, LECZ WCIĄŻ PRAKTYKOWANE

W północnej części parku działa bowiem system zatrzymywania wody. Dzięki niemu woda nie spływa szybko, lecz nasącza teren, napełniając go życiem. Tymczasem po przeciwnej stronie, tuż przy granicy parku narodowego, znajduje się przepompownia wody. Zbudowano ją ponad 100 lat temu, by odprowadzała nadmiar wody z okolicznych łąk, użytkowanych jako pastwiska. Wciąż działa, wciąż jest skuteczna i wciąż szybko wypompowuje wodę.

Abstrahując od potrzeby odpompowywania wody w tym właśnie miejscu, bo rozlewiska Warty to tylko przykład, sytuacja jest doskonałym obrazem naszego podejścia do wody. Współcześnie, przy postępującej suszy, w wielu miejscach gospodarka wodna nie tylko wciąż opiera się na urządzeniach z początku ub.w., lecz także prowadzona jest według przestarzałych zasad. Osuszanie terenów w obecnej sytuacji przypomina metodę wypalania i karczowania lasu, by na krótko, zanim gleba nie wyjałowieje i nie zostanie wywiana przez wiatr, uzyskać mało wydajne poletko. Była to metoda pierwotnych społeczności ludzkich (wciąż stosowana

eprasa.pl 4fcee5af34

w rabunkowej gospodarce w niektórych miejscach na świecie). Podobnie postępujemy z wodą.

Dlaczego wysychają Bagna Biebrzańskie? Przecież Biebrza to pierwotna rzeka. Owszem, lecz tereny przyległe już niekoniecznie. Przecina je sieć rowów odwadniających, wykopanych przez naszych pradziadków – podobnie jak w wielu innych miejscach w kraju. Prosta, skuteczna metoda – wykopać rów, odprowadzić wodę, osuszyć – i tak coraz dalej i dalej, w miarę jak schną kolejne tereny. Uregulować potok, wybetonować teren, wyprostować koryto rzeki, pozbyć się wody – tak jak dawniej i pomimo niekorzystnych zmian w środowisku. Wysychanie rozlewisk Warty i pożar Biebrzy to tylko objaw naszego podejścia do wody. Czy w XXI w. nie powinniśmy w końcu inaczej spojrzeć na wodę i zamiast pozbywać się jej na wszystkie sposoby, starać się ją ze wszystkich sił zatrzymać?

ZBIORNIKI ZAPOROWE?

Nie łudźmy się, że wszystko załatwią zbiorniki zaporowe. Przede wszystkim same nie wygenerują wody – jeżeli będziemy się jej pozbywać ze środowiska, zbiorniki będą suche.

Poza tym zbiorniki zaporowe to zbiorniki sztuczne, mające wiele wad. Zmieniają lokalny mikroklimat, zalewają część doliny rzecznej z cennymi przyrodniczo siedliskami, przede wszystkim jednak często powodują problemy w zakresie, w którym powinny te problemy rozwiązywać, czyli problemy z wodą.

Jeżeli dopływ wody do zbiornika jest mniejszy, trzeba zamknąć odpływ. Tym samym poziom wody w rzece poniżej bardzo opada, chwilami rzeka niemal przestaje płynąć. Jeżeli z kolei wody w zbiorniku jest zbyt dużo, trzeba ją spuścić. Automatycznie poziom wody poniżej zbiornika nagle wzrasta. Chęć utrzymania odpowiedniego poziomu wody w zbiorniku zaburza więc normalne funkcjonowanie rzeki i zaopatrywanie w wodę terenów poniżej. Do rzeki spuszczana jest woda z warstw dennych zbiornika, a więc zimna, a nagła zmiana temperatury powoduje śmierć wielu organizmów wodnych; sama zapora uniemożliwia wędrówki ryb na tarliska itp. – zbiorniki zaporowe generują bardzo dużo problemów przyrodniczych, które szybko stają się też problemem dla ludzi.

Tym bardziej że jednocześnie pojawiają się problemy z wodą w obrębie samego zbiornika. Zbiornik się zamula, często dochodzi do zakwitów glonów itp. – jest to przecież fragment doliny rzecznej, a więc zupełnie innego ekosystemu, nagle zamienionego w jezioro, w dodatku w jezioro o zmiennym poziomie wody, nic więc dziwnego, że system przyrodniczy nie potrafi się dostosować do zmian i rozregulowuje się. Ingerencja w środowisko bardzo często generuje problemy, o których dowiadujemy się poniewczasie.

> Na terenach zalewanych co roku przez wody Warty i Postomii obserwowane jest bardzo niepokojące zjawisko, które może zagrozić nie tylko gęsiom

Retencja wody jest kierunkiem bardzo słusznym. Trzeba tylko prowadzić ją w sposób przemyślany, uwzględniający zdobyte już doświadczenia, a także – oprócz techniki – wiedzę przyrodniczą. Zbiorniki zaporowe mogą zapewne znaleźć swoje miejsce w systemie ratowania naszych zasobów wodnych, lecz rozwiązanie takie powinno być stosowane bardzo ostrożnie i w sposób bardzo przemyślany.

Wodę można magazynować nie tylko w zbiornikach. Wodę przechwytuje, oczyszcza i magazynuje las (a więc zalesianie). Renaturyzacja rzek (a przede wszystkim zaprzestanie ich regulowania) to także dobry kierunek. Znakomite rezultaty przynosi wspomożenie się procesami przyrodniczymi – mało co tak spowalnia odpływ wody, jak działania bobrów (tymczasem nadal bardzo często niszczy się ich tamy, bo... zalewają nadrzeczne łąki – dla fragmentu pastwiska pozbywamy się więc dużo cenniejszej wody).

Przede wszystkim zaś, dlaczego nie mielibyśmy zacząć odtwarzać bagien i mokradeł? Zamiast widzieć jedyne rozwiązanie w budowie zbiorników sztucznych i wciąż ulegać pokusie ulepszania przyrody, może lepiej w niektórych przypadkach spróbować wrócić do rozwiązań stosowanych przez samą przyrodę, czyli do odtworzenia mokradeł tam, gdzie je osuszyliśmy?

Polska była kiedyś z natury krajem bagien i mokradeł. Legendarne bagna Polesia, wielka, ziemnowodna kraina, to tylko przykład. Wiele rejonów dziś cierpiących z powodu suszy, jak chociażby okolice Łodzi, było kiedyś bogatych w wodę – dopóki nie osuszono mokradeł i nie uregulowano rzek, które niosły coraz mniej wody, aż w końcu zniknęły.

TYSIĄCE KILOMETRÓW KWADRATOWYCH

Z dzikimi gęśmi mamy przynajmniej jedną wspólną rzecz – i gęsi, i ludzie potrzebują bagien, mokradeł i corocznych rozlewisk – symbolu i źródła życia. Powinniśmy więc chronić to, co mamy i odtwarzać to, co zniszczyliśmy.

Żeby takie działania były skuteczne, żeby udało się powstrzymać wysychanie Polski, odtwarzanie mokradeł powinno być liczone w setkach i tysiącach kilometrów kwadratowych – to i tak tylko część tego, czym dysponowaliśmy dawniej. Nie bójmy się tej skali – Biebrzański Park Narodowy to niemal 600 km². Ilość wody, jaką mogą pomieścić torfowiska doliny Biebrzy, przewyższa pojemność największych polskich zbiorników wodnych. A nawet to nie wystarczyło, by uchronić dolinę przed suszą i pożarem.

Jeżeli chcemy zapobiec suszy, odtwarzanie mokradeł, proces, który powinniśmy zaplanować na lata, jest dobrym kierunkiem – pod warunkiem że będą to działania na naprawdę dużą skalę.

Reklama | 36/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

KSIĄŻKI NA WAKACJE

księgarnia niedziela

zamów do 15 lipca

10%

rabatu na wszystkie tytuły



➤„Jestem synem tej ziemi SZLAKI PAPIESKIE" I i II część

Autor: Urszula J. Własiuk
Wydawnictwo: Biblioteka „Niedzieli"
Format: 120 mm x 165 mm
Cena kompletu: 29,00 zł

„Szlaki papieskie" to niezwykła podróż z wyjątkowym przewodnikiem. Wraz ze św. Janem Pawłem II/Karolem Wojtyłą wyruszymy w wędrówkę po południowej Polsce, odkrywając jej piękno, a zarazem poznając Papieża Polaka i towarzyszących mu na szlaku ludzi.





➤„Święci z B(L)oga"

Autor: Katarzyna Jaskólska
Wydawnictwo: Biblioteka „Niedzieli"
Format: 150 mm x 180 mm
Cena: 20,00 zł

Jezus, Maryja i Józef – rodzina wcale nie taka cicha, pokorna i niemrawa, jak na świątecznych kartkach. Monika i Augustyn – syn, który napsuł krwi matce i matka, która powiedziała, co o nim myśli… Maria Magdalena, o której plotki mówią więcej niż sama Biblia. Nieznane oblicza znanych świętych, którzy „schodzą z obrazów" i zasiadają z nami przy jednym stole. Bliżej naszej codzienności...

➤„Trzymaj się! Bądź mocny w wierze"

Autor: ks. Tymoteusz
Wydawnictwo: Biblioteka „Niedzieli"
Format: 110 mm x 180 mm
Cena: 10,00 zł

Katechizm powiedziany inaczej... Zaczyna się od adwentowej tęsknoty za Bogiem, wiedzie przez poznanie głównych przymiotów Trójcy Świętej, wyznanie wielkiej miłości do Matki Bożej aż do odkrycia Tajemnicy Kościoła Chrystusowego. Podstawowe prawdy katechizmowe od A do Z... i jeszcze więcej... Pytań wokół Dekalogu jest wiele.

Książki można zamawiać

pocztą: Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela"
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa
telefonicznie: 34 365 19 17 w godz. 7-15,
pocztą elektroniczną: kolportaz@niedziela.pl .
Do ceny zamówienia należy doliczyć koszty wysyłki.

www.ksiegarnia.niedziela.pl

*** promocja obowiązuje od 29.06 do 15.07.2020 r.**

eprasa.pl 4fcee5af34

Odmieniona tradycja

Autorka wegańskiego bloga kulinarnego Veganbanda.pl, na którym dzieli się przepisami potraw dla dzieci i dorosłych, napisała kolejną książkę. „Roślinna kuchnia polska" (wyd. Dwie Siostry) to świetne rozwiązanie dla tych, którzy kochają polskie smaki, ale niekoniecznie akceptują składniki tradycyjnych potraw.

Ida Kulawik dowodzi, że jak się chce, to można, i przedstawia sto znanych wszystkim rodzimych dań, ale w wersji odchudzonej, unowocześnionej, wegańskiej. Na dodatek nietrudnej do wykonania. Nic tylko czytać i oglądać (świetne zdjęcia Katarzyny Cichoń), a potem gotować i jeść.

Przygodę z polskimi potrawami w nowej odsłonie autorka tak tłumaczy we wstępie do książki: „Zazwyczaj smaki dzieciństwa dobrze nam się kojarzą, a potrawy jadane w domu rodzinnym na zawsze pozostają tymi ulubionymi. Pierogi leniwe z cynamonem, naleśniki z twarożkiem, ciepła szarlotka, domowy rosół... na samą myśl o tych daniach robi nam się miło. Często są to nasze comfort food, po które sięgamy, kiedy chcemy poprawić sobie nastrój".

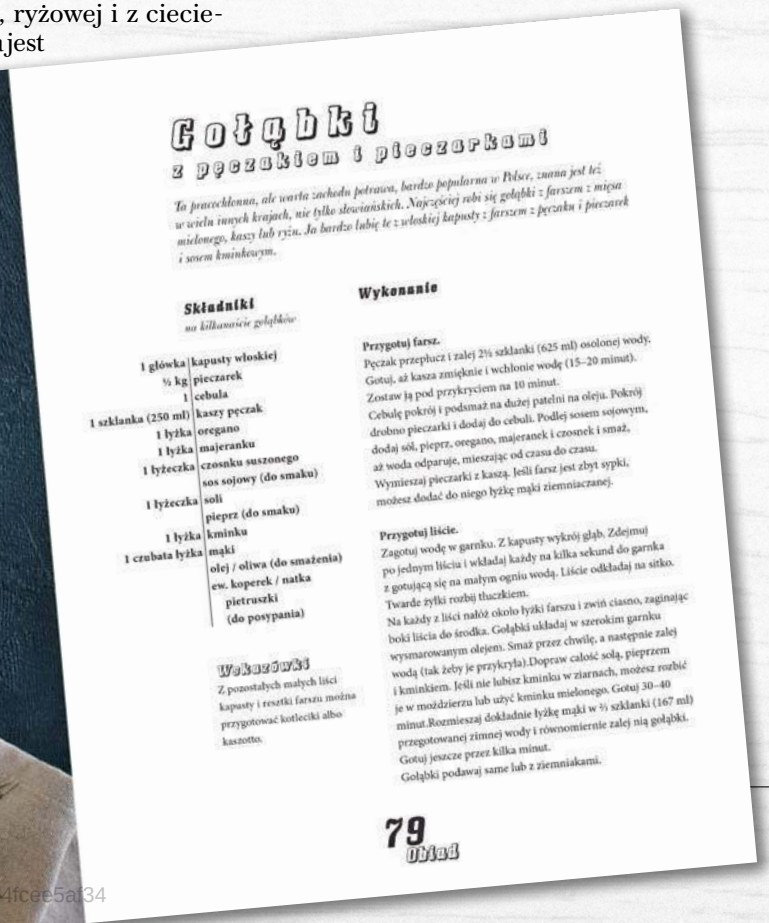
Co jednak zrobić, by tradycyjne polskie potrawy mogły się przedstawić w nowej wersji? Autorka sięga po specjalne składniki i dodatki. Na podorędziu ma: agar (wytwarzaną z wodorostów substancję żelującą, która z powodzeniem zastępuje żelatynę), aquafabę – płyn po ciecierzycy z puszki lub słoika albo woda po jej gotowaniu (można ją ubijać na pianę jak białko jajka i przygotowywać z niej kremy, bezy lub biszkopty), biały pieprz (delikatniejsza odmiana pieprzu wyróżniająca się lekko serowym aromatem), ciecierzycę (na pasztety i pasty do kanapek), czarną sól, sól kala namak (o jajecznym smaku i aromacie), karob, chleb świętojański (w formie proszku to zamiennik kakao, melasa jest zdrową alternatywą cukru), kaszę jaglaną (baza np. wegańskiego sernika), ksylitol, erytrol (zamiast cukru), kurkumę (indyjska przyprawa nadająca potrawom piękny żółty kolor).

W kuchni Idy Kulawik nie może zabraknąć mąk: orkiszowej, pszennej pełnoziarnistej, ryżowej i z ciecierzycy (ta ostatnia jest bezglutenowa i świetnie nadaje się do panierek, omletów i wegańskich odpowiedników jajecznicy). Potrzebne jest też mleko kokosowe (po schłodzeniu oddziela się od niego gęsty krem, który można ubić jak śmietanę) i inne roślinne (sojowe, ryżowe, owsiane, orkiszowe, migdałowe, z nerkowców), ocet jabłkowy, jak również oleje: lniany (do stosowania na zimno) i rzepakowy, oliwa, orzechy nerkowca (świetna baza domowego mleka roślinnego oraz wegańskich zamienników śmietan, serków i twarożków), płatki drożdżowe, soczewica, sosy: sojowy i tamari, syrop klonowy, tofu (popularny w kuchni azjatyckiej twaróg z mleka sojowego).

Na koniec pojawia się clou programu – wędzona papryka. To dzięki niej uzyskamy charakterystyczny smak i aromat dymu, który w polskiej kuchni łączy smakowicie lato i kulinarną tradycję świąt.

Jolanta Gajda-Zadworna





Gołąbki
z pęczakiem i pieczarkami

Ta praccchlonna, ale warta zachodu potrawa, bardzo popularna w Polsce, znana jest też w wielu innych krajach, nie tylko słowiańskich. Najczęściej robi się gołąbki z farszem z mięsa mielonego, kaszy lub ryżu. Ja bardzo lubię te z włoskiej kapusty z farszem z pęczaka i pieczarek i sosem kminkowym.

Składniki
na kilkanaście gołąbków

- 1 główka kapusty włoskiej
- ½ kg pieczarek
- 1 cebula
- 1 szklanka (250 ml) kaszy pęczak
- 1 łyżka oregano
- 1 łyżka majeranku
- 1 łyżeczka czosnku suszonego
- sos sojowy (do smaku)
- 1 łyżeczka soli
- pieprz (do smaku)
- 1 łyżka kminku
- 1 czubata łyżka mąki
- olej / oliwa (do smażenia)
- ew. koperek / natka pietruszki (do posypania)

Wykonanie

Przygotuj farsz.
Pęczak przepłucz i zalej 2½ szklanki (625 ml) osolonej wody. Gotuj, aż kasza zmięknie i wchłonie wodę (15–20 minut). Zostaw ją pod przykryciem na 10 minut.
Cebulę pokrój i podsmaż na dużej patelni na oleju. Pokrój drobno pieczarki i dodaj do cebuli. Podlej sosem sojowym, dodaj sól, pieprz, oregano, majeranek i czosnek i smaż, aż woda odparuje, mieszając od czasu do czasu. Wymieszaj pieczarki z kaszą. Jeśli farsz jest zbyt sypki, możesz dodać do niego łyżkę mąki ziemniaczanej.

Przygotuj liście.
Zagotuj wodę w garnku. Z kapusty wykrój głąb. Zdejmuj po jednym liściu i wkładaj każdy na kilka sekund do garnka z gotującą się na małym ogniu wodą. Liście odkładaj na sitko. Twarde żyłki rozbij tłuczkiem.
Na każdy z liści nałóż około łyżki farszu i zwiń ciasno, zaginając boki liścia do środka. Gołąbki układaj w szerokim garnku wysmarowanym olejem. Smaż przez chwilę, a następnie zalej wodą (tak żeby je przykryła).Dopraw całość solą, pieprzem i kminkiem. Jeśli nie lubisz kminku w ziarnach, możesz rozbić je w moździerzu lub użyć kminku mielonego. Gotuj 30–40 minut.Rozmieszaj dokładnie łyżkę mąki w ½ szklanki (167 ml) przegotowanej zimnej wody i równomiernie zalej nią gołąbki. Gotuj jeszcze przez kilka minut.
Gołąbki podawaj same lub z ziemniakami.

Wskazówki
Z pozostałych małych liści kapusty i resztki farszu można przygotować kotleciki albo kaszotto.

79 dietetyka



SŁODKO-SŁONY

Na upały

ANNA MONICKA

Klimat nam się zrobił niemal monsunowy. Deszcze świętojańskie na przełomie czerwca i lipca to niby nic nowego, ale w tym roku są wyjątkowo uciążliwe. W powietrzu wilgoć, a że i przy okazji upał – trudno się oddycha. Temperatura w nocy niewiele się różni od tej w ciągu dnia, letni prysznic wystarcza na nie więcej niż godzinę, a wilgotne ciało klei się do ubrania. W takich warunkach nikomu nie chce się gotować. Z drugiej jednak strony – jak długo można jeść ziemniaki z koperkiem i zsiadłym mlekiem? Ciekawe, co podają w krajach, w których upały są częstsze i bardziej dotkliwe niż u nas?

Na przykład risotto z szafranowo-maślanym sosem. Lekkie, ale sycące. Trzeba tylko kupić ryż arborio – specjalna odmiana, pękata i kleista, kompletnie inaczej zachowuje się w gotowaniu niż basmati czy jaśminowy, które do tego dania się nie nadają, bo są sypkie. Tymczasem risotto nie może być suche, ziarenka muszą być zanurzone w kremowym złotym sosie z bulionu, białego wina i tartego parmezanu. No to do dzieła – na oliwie trzeba zeszklić posiekaną cebulę albo cebulę zmieszaną z porem. Ostrożnie, żeby się nie przypaliły, bo gorycz w tym daniu byłaby wielką wadą, poza tym brązowe kostki zepsułyby złocisty efekt. Po kilku minutach wsypujemy kubeczek ryżu i mieszamy, żeby ziarenka dobrze obtoczyć w tłuszczu. Zalewamy ryż czterema kubeczkami bulionu warzywnego (odrobinę zostawiamy, żeby rozprowadzić kilka nitek szafranu – dodajemy je pod koniec gotowania), a gdy trochę odparuje, doprawiamy kubeczkiem białego wytrawnego wina. Na koniec dodajemy troszkę masła i solidnie sypiemy do garnka parmezan. Podawaj z białym winem i sałatami skropionymi cytryną.

Albo zielone kluseczki z kaszy manny pełnoziarnistej lub orkiszowej. Lubię ją jeść na śniadanie i zawsze mam pod ręką. Gotujemy ją na gęsto, a gdy wystygnie – mieszamy z posiekanymi lub zmiksowanymi ziołami: majerankiem albo oregano, może też być z bazylią oraz z jajkiem. Robimy kluseczki i gotujemy jak kładzione. Podajemy ze spaghetti – albo tradycyjnym z pszenicy durum, albo warzywnym – z marchewki czy cukinii. Warto specjalnie do tego dania kupić sobie urządzenie do strugania warzyw w makaroniki.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Chinina, Goya i anyżówka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czy w wakacje możliwe będą egzotyczne podróże, czy też uniemożliwi je epidemia koronawirusa? Pociąg do odległych lądów i mórz jest naszą odwieczną cechą. Od zawsze też podróżom towarzyszyły choroby. Jednym z największych niebezpieczeństw czyhających na dawnych podróżników eksplorujących tropiki była malaria. Do dziś zresztą na malarię chorują setki milionów ludzi na świecie, a setki tysięcy rocznie umiera.

Kiedyś malaria wydawała się zmorą nie do zwalczenia. Nadzieja na zabezpieczenie się przed tą straszną chorobą przyszła ze świata roślin. Lekarstwem na malarię okazał się alkaloid zwany chininą – preparat z kory drzewa chinowego *Cinchona officinalis*, rosnącego na stokach chilijskich i boliwijskich Andów (gorzki smak chininy zna każdy, kto pił tonik).

Cudowne właściwości kory chinowca znane były Indianom od dawna. Europejczycy z początku sądzili, że za lecznicze działanie chininy odpowiada jej gorzki smak. Później uważano, że ma właściwości homeopatyczne. Dziś wiadomo, że chinina oddziałuje na DNA chorobotwórczego pierwotniaka i zaburza jego cykl rozrodczy.

Chininę stosowano długo przed tym, zanim zbadano sposób, w jaki leczy. Jedną z osób kurowanych tym alkaloidem miała podobno być żyjąca w XVII w. żona wicekróla Peru, Anna de Chinchón, na cześć której lecznicze drzewo otrzymało swoją naukową nazwę Cinchona.

Prześledzenie korzeni nazwiska de Chinchón, a tym samym nazwy drzewa i leku, jest niezwykle ciekawe. Trop wiedzie do Chinchón, malutkiego miasteczka koło Madrytu, skąd wywodził się ród hrabiów de Chinchón. Każdy, kto byłby kiedyś w tamtej okolicy, powinien je odwiedzić. Białe, kamienne Chinchón położone jest wśród półpustynnych wzgórz i plantacji oliwek. Słynie z anyżówki i walk byków toczonych od wieków na starej arenie, czyli na otoczonym podcieniami i balkonami piaszczystym placu w centrum miasteczka, który na czas walk otacza się drewnianą palisadą. W narożniku placu z kamiennego obramowania wypływa źródło.

Proboszczem w Chinchón był pod koniec XVIII w. brat malarza Francisca Goi. Sam artysta, sto kilkadziesiąt lat po wspomnianej historii Anny z Peru, namalował portret Marii, również hrabiny Chinchón – ale to już zupełnie inna opowieść.

eprasa.pl 4fcee5af34

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wolność


www.wojciechreszczynski.pl

W oczekiwaniu na wynik wyborów nucę sobie słowa – „bo wolność to wśród mądrych ludzi żyć, widzieć dobroć w oczach ich i szczęście”

Zaproszenie pod koniec kampanii wyborczej prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego na spotkanie z Forum Młodych PiS w Lublinie było i pomysłowe, i pożyteczne. Pouczający okazał się temat jego wystąpienia: „wolność”, słowo pojęcie, w którym zawarł odpowiedź na troskę młodych o ochronę środowiska i zwierząt czy nierówność płac w stosunku do kobiet. Okazuje się, że taka nierówność istnieje w Urzędzie Miasta Warszawy pod rządami prezydenta Rafała Trzaskowskiego, zawsze pełnego frazesów o równym traktowaniu, hojnie wspierającego różne fundacje „równościowe”, jak choćby fundację pani Lange, dawniej Gontarczyk, byłej agentki SB.

Mądry wykład Jarosława Kaczyńskiego, dla którego Andrzej Duda i cały obóz dobrej zmiany jest „obozem wolności”, został bardzo szybko obśmiany za sprawą reportera RMF FM, który choć umieścił cytat z wypowiedzi prezesa PiS „Nie każda demokracja musi być demokracją wolnościową”, to „zapomniał” podać ten cytat w zgodzie z szerszym kontekstem wypowiedzi. Wyeksponowanie jednego zdania, bez ujęcia go we właściwym kontekście, ma na celu skompromitowanie autora cytowanych słów. To stara ubecka metoda niestety praktykowana do dziś.

Prawdą jest to, co powiedział Jarosław Kaczyński, choć słów tych nie odnosił bezpośrednio do Polski. A jednak poprawność polityczna, fasadowość instytucji demokratycznych, fałszywa interpretacja, czym jest istota demokracji, dzieje się także w naszym kraju. Słyszeliśmy przecież od byłej I prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Gersdorf, że prawdziwym suwerenem w państwie demokratycznym jest konstytucja, a nie naród i jego obywatele.

Tendencja przejmowania coraz większej władzy przez wymiar sprawiedliwości jest w obecnych europejskich demokracjach coraz wyraźniejsza. Jeżeli ten trend nie zostanie powstrzymany, praktyczna demokracja przypominać będzie tę, jaka jest od lat w Rosji, gdzie są obecne prawie wszystkie instytucje typowe dla systemu demokratycznego, ale działalności żadnej z nich nie da się pogodzić z istotą wolności obywatelskiej.

Jeszcze gorzej jest, jeśli wyroki sądów nie dają się pogodzić z oczywistą logiką i gramatyką języka czy podstawowymi zasadami semantyki języka polskiego. Wyrok Sądu Apelacyjnego podtrzymujący orzeczenie Sądu Okręgowego w Warszawie w sprawie protestu Komitetu Wyborczego Andrzeja Dudy w związku z wypowiedzią Rafała Trzaskowskiego: „Dziś milion osób straciło pracę”, przejdzie do historii erystycznego orzecznictwa sądowego nadzwyczajnej kasty. Jak może słowo „dziś” brzmieć zdaniem sądu „niejednoznacznie” i jak to możliwe, że słowa tego nie można „traktować dosłownie”. Sąd doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, podawanego w mediach wielokrotnie, że „dziś”, czyli teraz, pracę straciło ponad 100 tys. ludzi, a więc dziesięciokrotnie mniej niż wg Trzaskowskiego.

Tak więc „wolność” jest słowem kluczem do zrozumienia i oceny demokracji, a zagrożenie wolności we współczesnym świecie jest realne i postępujące, często w sposób skryty, zakamuflowany, przybierający jedynie pozory wolności. Ludziom rozumnym nie trzeba tłumaczyć, że nawet pod pozorem ochrony tzw. praw człowieka mogą być łamane podstawowe prawa obywatelskie. Więcej, także niektóre instytucje międzynarodowe, jak choćby WHO, stoją dziś po stronie cywilizacji śmierci, gdyż prawo do aborcji organizacja ta uznaje za podstawowe prawo człowieka do osobistej wolności.

Temat „wolność”, podrzucony młodym do przemyślenia, okazuje się fundamentalny dla życia jednostek i całych zbiorowości. Doskonale rozumiał to poeta Marek Grechuta, który w utworze „Wolność” z płyty „Dziesięć ważnych słów”, często granym przeze mnie w audycji „Trójka na poważnie”, śpiewa, że „wolność to nie cel, lecz szansa, by spełnić najpiękniejsze sny, marzenia”.

Bo „wolność to najjaśniejsza z gwiazd, promyk słońca w gęsty las, nadzieja”. Wolność dla Marka Grechuty to „diament do oszlifowania, a zabłyśnie blaskiem nie do opisania, wolność to także odporność serc, by na złą drogę nie próbować zejść”. „Wolność to królestwo dobrych słów, mądrych myśli, pięknych snów, to wiara w ludzi”. „Wolność – ją wymyślił dla nas Bóg, aby człowiek wreszcie mógł w niebie się zbudzić”.

Tak kończy się pieśń Grechuty o wolności, ale są w niej jeszcze inne ważne słowa, które szczególnie lubię przywoływać podczas różnych dyskusji. Dlatego w oczekiwaniu na wynik wyborów, który dla ludzi prawych oznacza zwycięstwo Andrzeja Dudy i kontynuację dobrych rządów, nucę sobie słowa „bo wolność to wśród mądrych ludzi żyć, widzieć dobroć w oczach ich i szczęście”.

eprasa.pl 4fcee5af34

Cierpienia młodego fizyka



Jerzy Jachowicz

Adresat: Rafał Trzaskowski (do rąk własnych)
Szanowny Panie Prezydencie Warszawy, ogromnie ucieszyła mnie Pana inicjatywa utworzenia komisji do spraw osób poszkodowanych przez Prawo i Sprawiedliwość. Jestem przekonany, że moje nazwisko w pełni zasługuje, aby być jednym z otwierających taką listę cierpień i upokorzeń doznanych ze strony partii Jarosława Kaczyńskiego.

Jestem studentem czwartego roku fizyki na Uniwersytecie Warszawskim, przewodniczącym Studenckiego Koła Naukowego. Zajmuję się fizyką kwantową, która jest kołem zamachowym technologicznego rozwoju, otwierającego drogę do poznania tajemnic wszechświata.

Cios, jakiego doznałem w wyniku perfidnego działania jednego z działaczy tej partii, odcisnął się boleśnie na moim życiu uczuciowym. Dziś już mogę powiedzieć, że zrujnował bezpowrotnie moje osobiste szczęście. Ale co gorsza, zamknął też drogę mojego rozwoju badawczego, które kosztem wielu wyrzeczeń poświęcam na ołtarzu powiększenia dorobku polskiej nauki.

Nikt w naszym środowisku nie dostrzegł zagrożenia, kiedy niejaki Alojzy Stępień, mgr fizyki z Politechniki Warszawskiej, opiekun naukowy Koła Młodych Fizyków na tej uczelni, a także znany w tamtym środowisku działacz PiS, zaproponował bliską współpracę z naszym kołem naukowym. Już po pierwszym spotkaniu obydwu kół moja ukochana narzeczona Justyna Rąbek przerywała mi podczas analizy rozchodzenia się fal kwantowych: „A magister Alojzy dostrzegał w tym wewnętrzną siłę elektronu". Albo wtrącała: „Magister Alojzy, ten to ma cięty dowcip". Po kilku kolejnych spotkaniach obydwu kół naukowych Justyna Rąbek przesłała mi esemesa: „Lojalnie muszę cię uprzedzić, że postanowiliśmy z Alojzym wziąć ślub. Katolicki. Siłą rzeczy to równa się zerwaniu naszego narzeczeńskiego związku".

Kilka dni potem otrzymałem pismo informujące, że rektor UW, wybitny fizyk, prof. Antoni Rąbek (ojciec Justyny) przyznał planowane wcześniej dla mnie granty badawcze „młodemu, zdolnemu fizykowi z PW, współpracującemu z UW".

I pomyśleć, że wszystko to dotknęło mnie w 2020 r., ogłoszonym polskim Rokiem Fizyki.

CO MNIE ZADZIWIA

Wszechobecny internet



Katarzyna Łaniewska

Przed czterema miesiącami, kiedy Polskę zaatakował niewidzialny i podstępny koronawirus, zrozumieliśmy, jak ważną rolę odgrywa internet w przetrwaniu tego trudnego dla nas czasu.

Zobaczyliśmy, jak internet wchodzi w wiele dziedzin naszego życia, jak staje się niezbędny. Jak pomaga tym, którzy mają ograniczoną możliwość poruszania się, czy tym zamkniętym w domu na kwarantannie. Dał on możliwość przeżycia ludziom w samotności, kiedy nie mieli kontaktu z innymi. Był dla nich promykiem normalności, pomocą w kontaktach z rodziną i najbliższymi. Umożliwił dyskusje w radiu i telewizji. Przecież dziennikarze rozmawiali z gośćmi, którzy byli w swoich domach. Mogliśmy obserwować wystąpienia ministra zdrowia i premiera, którzy mówili o bezpieczeństwie i zawiadamiali nas, co się w Polsce dzieje.

W internetowe życie zaczęli wchodzić również ludzie kultury, którzy chcieli przekazać tym, którzy nie mogli iść do nieczynnego teatru czy na koncert, swoją piosenkę czy sztukę. Zaczęły się odważne występy artystów w domu, oddzielne nagrywanie i składanie tego w całość techniką dla mnie niewyobrażalną. I powstawało widowisko. Chóry i orkiestry mogły śpiewać i grać „razem".

Ludzie mogli pracować, nie wychodząc z domu. „Iść" do pracy, a jednocześnie w niej nie być fizycznie. Oczywiście część musiała pracować tradycyjnie, ale tzw. pracownicy biurowi mogli wypełniać swoje obowiązki zawodowe, pozostając w domu, i łączyć się służbowo z kolegami w kraju i za granicą. Instytucje i biura nie zostały zamknięte, działały online. Lekcje w szkołach dla dzieci i młodzieży również były prowadzone przez internet. Umożliwił on kontakt nauczyciela z uczniami, wsparcie w nauce i przygotowanie do egzaminów.

Patrzyłam z wielkim zdziwieniem, że internet jest obecny i pomocny w tylu dziedzinach naszego życia, ale i zakłopotaniem, że nie umiem się nim posługiwać. Jest on dla mnie wielką tajemnicą, ale widzę, jak wspaniale służy ludziom. Nie zastąpi on jednak kontaktu bezpośredniego – kontaktu aktora z widownią czy fizycznej bliskości w domu: dotyku, przytulenia czy pocałunku. Tego nam bardzo w tych trudnych czasach narodowej kwarantanny brakowało.

eprasa.pl 4fcee5af34

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Samochód żony



Aleksander Nalaskowski

Na początek przypowiastka, której przytoczenie mam nadzieję będzie zrozumiałe po lekturze tego felietonu. Kilka lat temu bardzo śpieszyłem się na arcyważne spotkanie. Garnitur, krawat, teczka, kluczyki i do garażu. Ale auto odmówiło posłuszeństwa. Tragedia? Nic z tego! Wróciłem do domu, wziąłem od małżonki kluczyki i pojechałem jej autem. Proste? Proste.

W zasadzie to już nie ma wątpliwości, że pandemia będzie nam jeszcze dość długo towarzyszyć. Tak szybko się od niej nie uwolnimy, o czym świadczy stale wysoka liczba zachorowań i zgonów. Wakacje i wzmożona ruchliwość społeczna, rodzinne odwiedziny, tradycyjnie na miesiące letnie przypadający czas wielu wesel będą stanowić dodatkowe okoliczności sprzyjające zmasowanemu przenoszeniu się wirusa. Przewidywany na jesień drugi szczyt pandemii wydaje się więc bardzo realny. W takim przypadku kolejne zawieszenie imprez masowych, koncertów, zawodów sportowych etc. wydaje się bardzo prawdopodobne. Jednak o ile bez kibicowania czy potańcówek jakoś przeżyjemy, zamknięcie w domu – zapewne z trudem – zniesiemy, o tyle kolejny wirusowy szczyt będzie już bardzo, bardzo niebezpieczny dla systemu oświaty. Wiosną jakoś sobie poradziliśmy, z naciskiem na „jakoś". Dzięki wielkiej improwizacji nauczycielskiej, w sposób niekiedy czysto amatorski, łataliśmy tę dziurę, jak umieliśmy. Trudno sobie jednak wyobrazić, że jesienią miałoby to podobnie wyglądać. Wtedy byliśmy zaskoczeni, to i każde rozwiązanie widzieliśmy jako dobre. Byle było. Takiej amatorki jednak po raz kolejny uprawiać nie sposób.

Przed nami dwa miesiące wolne od szkoły. Czy w tym czasie będzie pracował jakiś zespół ministerialny nad ewentualnymi rozwiązaniami na jesień? Czy szkoły otrzymają „do ręki" pakiet awaryjny do użycia w każdym przypadku, gdy z tego lub innego powodu nauczanie audytoryjne w dużych grupach będzie niemożliwe? Nie wiem i nie wiedzą tego nauczyciele. Obawiam się jednak, że możemy się cofnąć do improwizowanego zarządzania i rozwiązań serwowanych w cotygodniowych komunikatach ministerialnych. A to oznacza, że placówki i pracujący w nich pedagodzy zostaną z tym wszystkim sami, że okaże się, iż znów damy się zaskoczyć. To bardzo ryzykowne i niebezpieczne. Bo kolejna kilkumiesięczna wyrwa w funkcjonowaniu szkół może całą generację uczniów niebezpiecznie zdeformować, trwale okaleczyć. Ilu z nich może liczyć na systematyczną pomoc rodziców, na znakomite pomysły dyrektorów swoich szkół, na świetnych w nauczaniu zdalnym nauczycieli? Wszak tylko niewielka część. A co z resztą? Możemy sobie ot tak odpuścić rozwój kilku milionów dzieciaków? Stać nas na to? To naprawdę koniec żartów.

Powtarzam – nie wiem, czy w MEN ktoś (ani kto) nad tym pracuje. Może moje obawy są nieuzasadnione i niepotrzebne. Jednak na wypadek gdyby były uzasadnione, podsuwam władzy pewien pomysł. Jest nim swoista „narodowa burza mózgów". Jak ją wywołać? Bardzo prosto! Należy rozpisać ogólnopolski konkurs „Szkoła Bis". Konkurs z solidnymi nagrodami. Jego uczestnicy nadsyłaliby stworzone wedle ustalonych warunkami konkursu ram, dość szczegółowe, autorskie rozwiązania dla polskiej szkoły czasu nadzwyczajnego. Takie rozwiązania, które jak pociągnięcie uchwytu w uprzęży powoduje otwarcie czaszy spadochronu i bezpieczne lądowanie, gdy tylko zajdzie taka potrzeba. Szłoby jednak nie o pomysły na jedną placówkę czy ich zespół, ale o pomysły systemowe, całościowe dla polskiej oświaty. Oczywiście szczegółowe warunki i przebieg konkursu to niebłaha, ale osobna kwestia.

Głównym celem konkursu byłoby wyłonienie najlepszych pomysłów na stworzenie i „uzbrojenie" takiego pakietu rozwiązań systemowych, które zawsze byłyby gotowe do szybkiego uruchomienia. W standardowym czasie, wolnym od wszelkich nadzwyczajności, stanowiłyby systematycznie modyfikowany (w zależności od potrzeb i możliwości) zapas nienaruszalny. W każdej chwili możliwy do wykorzystania. Musiałby mieć on strukturę modułową. Dla edukacji wczesnoszkolnej byłby inny niż dla liceów, musiałby uwzględniać specyfikę przedmiotów, elementy kształcenia praktycznego etc. Byłby to w istocie cały komplet rozwiązań dla szkoły czasu nadzwyczajnego. Tak jak samochód małżonki w mojej przypowiastce.

W Polsce pracuje blisko 600 tys. nauczycieli. Tak wynika z danych GUS za rok 2019. Są wśród nich refleksyjni praktycy, doświadczeni dyrektorzy, osoby pilnie obserwujące polską oświatę i jej realia. Niemało jest też twórczych rodziców. Oczywiście specjalną grupę, szczególnie predestynowaną do generowania takich rozwiązań, stanowią tu pedagodzy akademiccy, wśród których są na pewno osoby z takimi pomysłami.

W tym wszystkim przeogromne znaczenie mają nasze doświadczenia wymuszone „napaścią pandemii". Jesteśmy o wiele mądrzejsi, wyciągamy wnioski z tego, co zaszło. Wszystko to razem składa się na potężny uśpiony kapitał, którego nie wolno nam zmarnować, który wręcz domaga się natychmiastowego zagospodarowania i wykorzystania, abyśmy chociaż raz byli mądrzejsi po szkodzie.

eprasa.pl 4fcee5af34

Ocalone miejsca pracy i uratowane firmy przez kompleksowe działania rządu

Po ponad 100 dniach epidemii rząd podsumował działania antykryzysowe związane z koronawirusem. Premier Mateusz Morawiecki podkreśla, że ratując zdrowie Polaków, trzeba było równocześnie ratować gospodarkę: przedsiębiorstwa i zatrudnionych w nich pracowników. Postawienie od samego początku na ochronę rynku pracy oznaczało, że w tych nadzwyczajnych czasach szczególna rola i wielka odpowiedzialność przypadnie Ministerstwu Rodziny Pracy i Polityki Społecznej

Mateusz Morawiecki podczas konferencji na PGE Narodowym zaakcentował, że wchodząc w „wojnę z COVID-19", nikt wcześniej nie przedstawił, w jaki sposób walczyć z jednoczesnym uderzeniem w stronę podażową, popytową, płynność firm i rosnące bezrobocie.

– Na pytanie, czy ratować zdrowie publiczne czy gospodarkę, wiemy, że trzeba było ratować gospodarkę po to, by ratować zdrowie i życie obywateli. To się nam udało – dodał Morawiecki. Premier podkreślał, że ratunek przyszedł w porę: w ciągu trzech miesięcy przekazane na polski rynek zostało 100 mld zł, co w sumie uratowało 5 mln miejsc pracy.

Sytuacja związana z pandemią wpływała od samego początku kryzysu negatywnie na rynek pracy – powodowała wzrost bezrobocia albo przynajmniej wielkie obawy pracowników o utratę zatrudnienia. Jednak dzięki wsparciu finansowemu państwa i zaangażowaniu w działania pomocowe w dużej mierze MRPiPS, stopa bezrobocia na koniec maja, wg danych GUS wyniosła 6 proc. – w sumie niewiele ponad 1 mln osób w maju figurowało w rejestrach urzędów pracy, to dużo mniej niż np. na koniec 2015 r., kiedy bezrobotnych było ponad 1,7 mln osób.

Polskie przedsiębiorstwa nie traciły kontraktów, bo zachowane zostały miejsca pracy.

– Najmniej kontraktów zostało utraconych dlatego właśnie m.in., że pozwoliliśmy przechować, ocalić miejsca pracy. Wy doskonale wiecie, szanowni przedsiębiorcy, jak trudno jest ocalić miejsca pracy, jak łatwo jest posłać kogoś na bezrobocie i stracić na zawsze możliwości prowadzenia działalności, możliwości ekspansji na rynki zagraniczne – mówił na PGE Narodowym polski premier.

Minister Marlena Maląg podkreśla, że z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy w ramach obecnych działań antykryzysowych została przyjęta ustawa o dodatku solidarnościowym. Mogą się o niego ubiegać osoby, które utraciły pracę po 15 marca br. lub ich umowa uległa rozwiązaniu z upływem czasu, na który była zawarta. Dodatek w wysokości 1,4 tys. zł netto wypłacany będzie tym, którzy złożą wniosek w ZUS za trzy miesiące: czerwiec, lipiec i sierpień. Efektem kompleksowych działań rządowych, w tym MRPiPS, jest też to, że po trudnym czasie dla polskiej gospodarki wzrasta dziś liczba firm, które się rejestrują.

(RG)

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

Tarcza Antykryzysowa

Pani minister Marlena Maląg dla tygodnika „Sieci"

Dzisiaj – w dobie walki ze skutkami pandemii koronawirusa – Polacy potrzebują wsparcia i ochrony ze strony rządu. Odpowiedzialny i sprawnie działający rząd premiera Mateusza Morawieckiego nie odwraca się od potrzeb Polaków, ale podejmuje adekwatne do tych potrzeb, skuteczne działania. Wdrożyliśmy rządowe tarcze antykryzysowe, po to aby zapewnić Polakom wsparcie w tym trudnym okresie.

Do przedsiębiorców trafiło już ponad 100 mld zł rządowej pomocy na zachowanie płynności finansowej, przede wszystkim w celu ochrony miejsc pracy, na wypłatę należnych pracownikom wynagrodzeń. Ochrona miejsc pracy jest priorytetem. Te 100 mld zł przeznaczyliśmy właśnie na ten cel, po to by polskie rodziny mogły przetrwać ten trudny czas spowodowany pandemią.

Dzięki tarczy antykryzysowej wsparliśmy 5 mln miejsc pracy. Cały czas uzupełniamy katalog rozwiązań antykryzysowych. Z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy przyjęliśmy i wdrożyliśmy przepisy dotyczące dodatku solidarnościowego w wysokości 1,4 tys. zł miesięcznie dla osób, które w okresie pandemii straciły pracę. Od września wzrośnie też wysokość zasiłku dla bezrobotnych do kwoty 1,2 tys. zł.

Staramy się realnie wspierać Polaków i ich rodziny. Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby chronić rodziny i polską gospodarkę w atmosferze globalnego kryzysu wywołanego koronawirusem. Według opinii ekspertów, w tym również zagranicznych, udaje się nam to z powodzeniem.

Tekst powstał we współpracy z MRiPS | 47/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Nie miejcie nadziei

Znany kompozytor oszukany przez „Gazetę Wyborczą”

Zbigniew Preisner awanturował się w mediach społecznościowych tak jak niektórzy pod sklepem Alkohole 24 h, gdy trwa półgodzinna przerwa techniczna. Jego oburzenie na prezydenta Dudę było wszechświatowe i wyrażone grzmiącym wpisem: „Dzisiaj na Małym Rynku w Krakowie z »Dudabusu« została bez mojej zgody wyemitowana moja piosenka »Miejcie nadzieję«. Co za bezczelność?! A. Duda, kandydat na prezydenta, łamie moje osobiste prawa autorskie. Informuję, że nie popieram Pana kandydatury i nie życzę sobie wykorzystywania mojej twórczości do Pana promocji”.



Ryszard Makowski

Gdy zwrócono artyście uwagę, że to nie sztab Andrzeja Dudy wykorzystał ten utwór, tylko grupa kontrmanifestantów spod znaku LGBT, ten nie mógł wyjść ze zdumienia. Przecież o tym, że z dudabusa profanowano jego utwór, dowiedział się z „Gazety Wyborczej”. A to przecież dla znamienitej części naszego środowiska artystycznego najwyższa instancja intelektualna. Krynica prawdy i nieomylności. Czy Zbigniew Preisner się pozbiera? Czy cios zadany mu przez hołubioną redakcję nie spowoduje trwałych zmian w psychice?

Wydukał jakieś niby przeprosiny: „Napisałem mój sprzeciw na podstawie relacji »Gazety Wyborczej«. Tyle w tej sprawie mam do powiedzenia”. Bo przecież niemożliwe, żeby się obudził, żeby zrozumiał, że ta gazeta funduje spreparowaną rzeczywistość dla nieumiejących myśleć samodzielnie i że zwyczajnie go podpuściła, żeby wykorzystać jego autorytet. Tu przydałby się nowy song mistrza: „Nie miejcie nadziei”.

eprasa.pl 4fcee5af34

***Michał Korsun prezentuje:* A Duda powiedział...**



Wycinki z przeszłości

Żart rysunkowy, który reprodukujemy obok, zatytułowany jest „Medycyna na gorąco". Przytulający się do zgrabnej pacjentki lekarz mówi: „Proszę oddychać, proszę pani, o tak – no, a teraz niech Pani liczy do tysiąca". Aluzja oczywista, dziś niepoprawna i mało który rysownik by coś takiego popełnił.

Spokojnie natomiast można dziś powtarzać ten żart, który ukazał się w tym samym numerze „Na Szerokim Świecie" z czerwca 1935 r.:

„Zapewniam pana – mówi gospodarz pensjonatu do małżeństwa – że państwo będą mieli tutaj wszystko, jak u siebie w domu...

Pan domu odzywa się na to: – Co pan mówi! A ja myślałem, że u was jest cicho i spokojnie".

Nic nie stracił na aktualności, zwłaszcza gdy ktoś na wakacjach stołuje się gdzie popadnie, ten dowcip dialog klienta z kelnerem:



„Proszę o zupę z muchą.

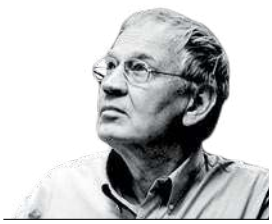
Dlaczego właściwie z muchą, panie dobrodzieju?

Proszę uważać dokładnie: mówię z muchą, to znaczy z jedną muchą – bo zwykle w zupie, które tutaj otrzymuję, jest wiele much".

Życzymy Państwu dużo zdrowia i mało much w wakacyjnych zupach!

(mk)

Ballada o złotej gałęzi
(fragment)



Leszek Długosz

Nachyliło nam to drzewo wśród sadu
Pod łaskawym niebem
Złotą gałąź...

Rosło dumne i uparte
Wbrew knowaniom okolicy
Wbrew gałęzi własnych zdradom

Bo słyszało i przebijał głos od spodu
Że tu jego miejsce słuszne
I ma szumieć, jak mu niosą podpowiedzi
Od korzeni głosy...
– Pieśni tkliwe
Surmy dumne
– Czarnoleskie strofy
I oprawne ręką pewnie na pół boską
Jak mu dźwięczą
Te diamenty
Mazowiecko chopinowskie

Rosło wierne
I niezłomne
I bez zawstydzenia proste
– Złotą gałąź nachyliło nam tu
Drzewo losu owe
Gdy już pora widać doszła

* * *

Zbiegli się mieszkańcy z dookolnych dziedzin
Podglądają jeden ku drugiemu –
Z tego drzewa przychylności
Dość rozumni, dość ofiarni
Z sercem czystym
– Złote jabłka czy zerwiemy?

Usłyszeli głos jak z nieba
– Rozpoznali, że to jest głos święty?
Jezus, Maryja... zawołali po dawnemu
– Wspomagaj!
Oby nam się udała
Tego roku wśród sadu...
Tymi czasy wiosennymi
Ta Ballada wyśniona
Upragniona
Czekana...
– Z sercem czystym z tej gałęzi nachylonej
Złote jabłka zerwiemy?

(Kraków, Osówek czerwiec 2020)

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 4fcee5af34



OD A DO ZYBERTOWICZ

Jadwiga na Jasnej Górze

Wbrew niektórym medialnym przekazom wicepremier Emilewicz nie wystąpiła podczas mszy. Głos zabrała już po zakończonej liturgii. Nie argumentowała na rzecz kandydatury Andrzeja Dudy

„Pani minister agituje z ambony na Jasnej Górze, a TVP transmituje wystąpienie kampanijne! Upadek wszystkich wartości!" – to poseł Dariusz Joński z SLD.

„Jeszcze w piątek episkopat wydał komunikat, że Kościół nie angażuje się w kampanię wyborczą. Dzisiaj J. Emilewicz agituje z ambony na Jasnej Górze" – to poseł Sławomir Neumann z KO.

„Skandal czy normalna rzecz?" – to fragment medialnej relacji z wydarzenia w Częstochowie na śląskim portalu.

I oczywiście lament anonimowych twitterowiczów: „Nie, nie i jeszcze raz nie. Jasna Góra, a w szczególności ambona pod obrazem Matki Boskiej, to nie jest miejsce dla polityków".

Także rzecznik Episkopatu Polski upomniał, że ambona jest przede wszystkim do głoszenia Słowa Bożego.

Może osoba świecka, w szczególności polityk, przemawiać z ambony kościelnej, czy nie?

W czasach kryzysu i zamętu Kościół ma prawo zajmować stanowisko w kwestiach społeczno-politycznych czy jednak wykracza wtedy poza swoją misję? Sztywnej granicy rozdzielającej Kościół od państwa bronią środowiska postępowe, które każdego niemal dnia zajmują się obalaniem wszelkich granic.

WSZYSTKO MA SWOJE GRANICE

A może nie ma? Wolno ingerować w święty wizerunek Matki Boskiej, to kolorując jej aureolę, to nadając wulgarną postać przypominającą intymne narządy kobiece? Czy jest OK doczepianie do plakatów przedstawiających naszego świętego Jana Pawła II naklejek obscenicznie nawiązujących do logo PiS? Dobrze jest okrzyknąć dziełem sztuki umieszczenie fotografii męskich genitaliów na krzyżu? Wolno zamieniać oprawcę z ofiarą i obarczać Polaków odpowiedzialnością za Holokaust? Czy eutanazja i aborcja są wystarczająco „naukowo" uzasadnione, skoro bazują na zacieraniu granicy między śmiercią a życiem? Jest prawomocną częścią dyskursu publicznego określenie „zorganizowana grupa przestępcza" w stosunku do legalnie działającej partii?

Tak czy nie? To zależy? Ale od czego? Od wytycznych Komisji Europejskiej? Od „imprimatur" „Gazety Wyborczej"? Od wyroku sądu? Od siły zorganizowanego hejtu na Facebooku? Świat Zachodu wiele granic już rozmazał. Zakwestionowano przecież nawet biologiczne różnice między mężczyzną a kobietą.

ZAMROZIĆ CHRZEŚCIJAŃSTWO?

Wbrew niektórym medialnym przekazom wicepremier Jadwiga Emilewicz nie wystąpiła podczas mszy. Głos zabrała już po zakończonej liturgii. Nie argumentowała na rzecz kandydatury Andrzeja Dudy. Objaśniała później, że w Częstochowie chciała przedsiębiorcom uświadomić, że polska gospodarka stoi nie tylko przed wyzwaniem kryzysu COVID-19, lecz o wiele poważniejszego – kryzysu tożsamości ludzkiej na świecie.

Papież Franciszek w roku 2016 podczas liturgii Wielkiego Czwartku umył nogi nie 12 mężczyznom, jak każe tradycja, ale grupie osób, w której było sześć kobiet, w tym uchodźcy. Iluż chrześcijan było wtedy skonfundowanych! Ukłon to w stronę reformatorów Kościoła, feministek? Uspakajano się: papież tym gestem chciał podkreślić powagę ówczesnego kryzysu uchodźczego w Europie.

Zwolennicy rozdziału Kościoła od państwa wszelkie publiczne uczestniczenie polityków w nabożeństwach uznają za niedopuszczalne. Postępowcy prostą i grubą linią chcą oddzielić Kościół od państwa. Dwa byty, które trudno bez uszczerbku ociosać gładko, a jednocześnie nie uznają naturalnej, biologicznej różnicy płciowej.

Wśród argumentów na rzecz rozdziału ołtarza i tronu są i głosy sensowne. Sojusz władzy kościelnej ze świecką może być społecznie niezdrowy. Może rodzić pokusy wikłania się we wzajemne interesy, które z dobrem wspólnym nie muszą iść w parze. Kościół przecież powinien być zdolny do zdystansowania się wobec państwa, gdy narusza ono wartości podstawowe.

Ale Kościół katolicki to organiczna część historii naszego narodu. Nie da się oddzielić początków krzepnięcia państwa polskiego od chrztu. Nie da się zrozumieć naszej odporności w obliczu traum zaborów, okupacji i komunizmu bez naszej wiary. W odczuciu wielu Polaków rola Opatrzności w dziejach ojczyzny jest obecna od wieków.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 23/0620/F

eprasa.pl 4fcee5af34

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII



100 książek w prezencie

Piękna książka o polskiej potrzebie wolności

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 | prenumerata@fratria.pl | www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **Słynne ucieczki Polaków** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 4fcee5af34

WYPŁATA NA LATA



Ekstra Pensja

Paweł jeszcze nie zagrał...

Tomek wygrał. Ty też możesz!

5000 zł miesięcznie przez 20 lat

Ekstra Premia **100 000 zł OD RĘKI**

Graj w punktach LOTTO i na **lotto.pl**

18+ W gry liczbowe i loterie mogą grać osoby, które ukończyły 18 lat.

eprasa.pl 4fcee5af34